

Gdzie są szczepionki
przeciw grypie

Proces brzeski
Poniżani, głodzeni, bici

Patologia, czyli co zrobisz
dla popularności

Więcej czadu!
Wracają węgiel, ropa i gaz

A portrait of Michał Dworczyk, a man with short brown hair and blue eyes, wearing a dark blue trench coat over a light blue shirt and a dark red tie. He is looking directly at the camera with a slight smile. His hands are visible, adjusting his tie; a gold ring is on his left ring finger.

MICHAŁ DWORCZYK GORĄCY KARTOFEL WŁADZY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



44 >

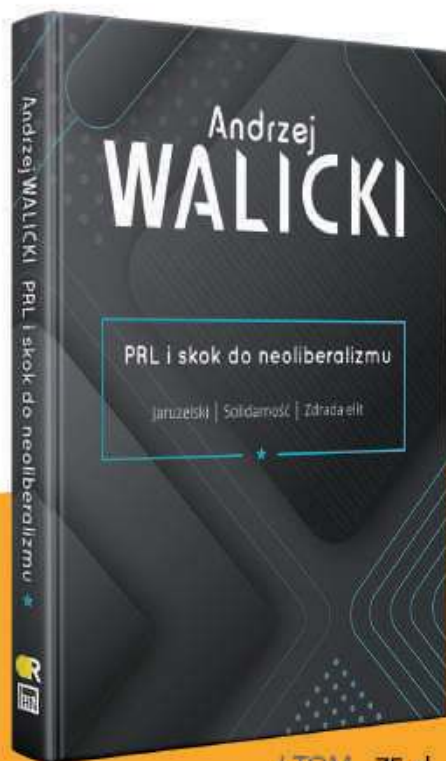
9 771509 311102

PO RAZ PIERWSZY W POLSCE TRYLOGIA PROF. ANDRZEJA WALICKIEGO

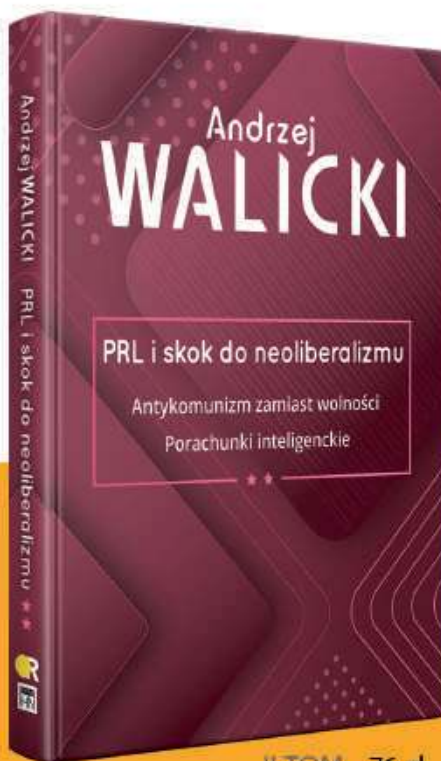
Jaruzelski
Solidarność
Zdrada elit

Antykomunizm
zamiast wolności
Porachunki inteligenckie

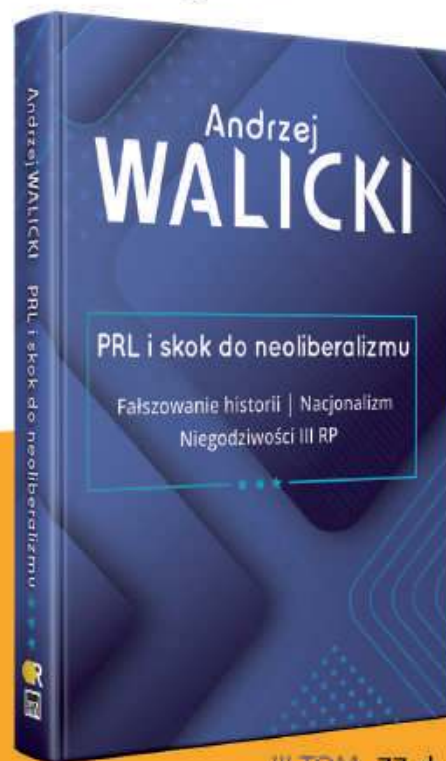
Fałszowanie historii
Nacjonalizm
Niegodziwości III RP



I TOM 75 zł



II TOM 76 zł



III TOM 77 zł



E-BOOKI

~~89,90 zł~~ 59,90 zł

PAKIET 3 TOMÓW - ~~228 zł~~ 190 zł

LEKTURĄ OBOWIĄZKOWA DLA KAŻDEGO INTELIGENTA

www.sklep.tygodnikprzeład.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Suwerenny jak Morawiecki

Na początek spróbujmy ustalić, kto przemawiał w imieniu Polski w Strasburgu. Wszystkie państwa były tam reprezentowane przez polityków mających moc sprawczą. Takich, którzy pełnią u siebie najważniejsze funkcje i podejmują kluczowe decyzje. W cywilizowanym świecie jest to zasada oczywista. Ale nie u nas. Choć w Strasburgu wystąpił premier Morawiecki, to wiadomo, że w polskich realiach jest to polityk, którego pozycja jest zależna od widzimisię prezesa Kaczyńskiego. Mateusz Morawiecki próbował się przebić do świata polityki już za rządów Tuska. A do PiS wszedł po plecach ojca. Kornel Morawiecki, choć trafił do Sejmu z listy Kukiza, szybko został przystawką PiS, by pomóc w karierze synowi. I pomógł. Załatwił mu posadę wicepremiera i dostęp do ucha prezesa. Okazało się, że młodszy Morawiecki ma taki smak na karierę i tak dobrze opanowane urabianie przełożonych, że Kaczyński odsunął przasną i skromnie wyedukowaną Beatę Szydło i zamienił ją na salonowca.

Na nieszczęście dla kraju kompetencje polityczne premiera są marne. Ledwo na etapie początkowym. Odwrotnie do wysokiego mniemania o sobie, które bierze się z ustawionych przez aparat rządowy gospodarskich wizyt. Lud pisowski, do którego premier trafia z wielkimi planszami, na których wypisane są dary dla miejscowych,

z radością bierze, co władza daje. Łatwo się wtedy zapomina, że jest także inna Polska, bardzo wobec niego krytyczna. Dla niej jest on nową wersją Pinokia.

W Strasburgu w imieniu Polski powinien przemówić prezes Kaczyński. Bo tylko on wie, co planuje. Ale nie po to prezes ma zderzaki. Posłużył się Morawieckim, którym pojechał zagrać z Unią w ciuciubabkę.

Nie udało się. Bo i nie mogło. Po raz pierwszy usłyszałem w różnych językach, że premier mojego kraju jest kłamcą, manipulatorem i oszustem siejącym zamęt. Tak mówili ważni politycy. A okłaskiwali Morawieckiego wyłączenie reprezentanci skrajnej prawicy i zwolennicy rozwiązania Unii. Morawiecki pod rękę z nimi to obraz groźny i zapowiedź złych czasów, które mogą nadejść szybciej, niż myślimy.

PiS robi wszystko, by Unia nie patrzyła mu na ręce. Ale przekonujących argumentów w sprawie praworządności nie ma. Próby wmówienia, że za rządów PiS sądownictwo nie jest upolitycznione, to kpina. W Europie dobrze wiedzą, czym jest Trybunał Konstytucyjny Przyłębskiej. Na zastąpienie debaty o praworządności dyskusją o zagrożeniu naszej suwerenności też się nie dadzą nabrać. Wystarczy zobaczyć, jak suwerenny jest polski premier.

BAKOWSKI



CZYTELNICY POMAGAJĄ

Na naszych Czytelnikach jak zawsze można polegać. Dziękujemy za informacje o miejscach, w których dotychczas kupowaliście tygodnik, a już go tam nie ma. Interwenujemy u kolporterów i chcemy wspólnie z nimi stworzyć efektywniejszą sieć sprzedaży PRZEGLĄDU. Apelujemy o bieżące informacje mejlowo:

a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl,
lub telefonicznie: 22 635 84 10 wew. 118

Wiemy, że są kioski i sklepy, które pod wpływem apeli Czytelników zamówiły PRZEGLĄD. Przypominamy, że sprzedawcy w kioskach i sklepach mają obowiązek sprowadzenia tytułu na prośbę czytelnika. Ale jest warunek – trzeba go tam kupować.



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Gorący kartofel władzy**
Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera
- 14 Polska wzmacnia potęgę amerykańskiego przemysłu**
Zbrojeniówka kuleje
- 16 Szczepionkowy kłops**
Gdzie są szczepionki przeciw grypie
- 18 Sadyzm w sieci**
Zarabianie na patologii
- 22 Egzorcysta zamiast psychiatry?**
Młodzież potrzebuje telefonu zaufania
- 26 Śmieci Wszystkich Świętych**
Cmentarze zalane plastikiem
- 43 Zielone kołowanie**
– odpowiedź na polemikę

PRZEGŁĄD ZWIĄZKOWY

- 25 Podatkowe wyzwania**
Jeszcze bardziej skomplikowane przepisy

ZAGRANICA

- 27 Z prochu powstałeś, w las się obrócisz**
Korespondencja z Niemiec
- 30 Więcej czadu!**
Upadają niezależni dostawcy energii
- 34 Słowacy klócą się o prawo do aborcji**
Czy będzie zaostrzenie przepisów?
- 36 Nie masz szczepienia, nie pracujesz**
Korespondencja z Rzymu
- 40 Bagdad pójdzie własną drogą?**
Po wyborach w Iraku
- 42 Badri 313 – nowa twarz afgańskich talibów**
Uzbrojeni i wyszkoleni

HISTORIA

- 44 Uwięzić opozycję!**
Proces brzeski – poniżani, głodzeni, bici

KULTURA

- 48 Przepis na idealnego pianistę**
Chopin na nowo
- 50 Kulturalia**
- 66 Anna Karpowicz-Westner**
Czułość świata

ZWIERZĘTA

- 52 Borsucze zamczysko**
W norce czyściocha

OBSERWACJE

- 54 Strata czasu**
Historia cofania zegarków
- 56 Erupcja popularności**
Turystyka wulkaniczna
- 58 Ocalić zapomniane**
Urbex – drugie życie ruin

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Suwerenny jak Morawiecki
- 13 Jan Widacki**
Nauka, nienauka, neonauka
- 21 Roman Kurkiewicz**
Laboratoria, Chopin, Pinokio, NadMatczak
- 33 Andrzej Romanowski**
Nihilisci
- 39 Tomasz Jastrun**
Wycisnąć cwaniaków
- 51 Wojciech Kuczok**
Szalupa Świerkockiego



PRZEPIS NA IDEALNEGO PIANISTĘ

Chopin na nowo



BORSUCZE ZAMCZYSKO

W norce czyściocha



56

OBSERWACJE

ERUPCJA POPULARNOŚCI

Turystyka wulkaniczna



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

f Dlaczego tak wielu Polaków wierzy w kłamstwa premiera?

Polacy uwielbiają bajki. W Polsce tradycja opowiadania bajek sięga czasów bp. Kadłubka, a niektórzy nawet sądzą, że Galla Anonima. W PRL opowiadano bajki, ale autorom brakowało talentów. Tym bardziej że mieli dużą konkurencję ze strony Kościoła katolickiego, którego tradycje opowiadania bajek liczą dwa tysiąclecia. Po roku 1989 twórczość bajkowa rozwijała się bez przeszkód i cenzury. Jednak dopiero niedawno stała się naszą produkcją eksportową, choć lepiej przyjmowana jest w kraju. Bajkowa rzeczywistość daje nam wytchnienie i nadzieję, że gdzieś za siedmioma górami, za siedzioma morzami jest takie miejsce, gdzie nie trzeba opowiadać bajek. Tak oczywiście być może, lecz wzorem klasyka, między bajki to włożę.

Adam Jaśkow

f Gazowy armagedon

Ciekawe, które to banki i fundusze spekulują na wyższości cen surowców, w tym ropy, gazu czy węgla? Goldman Sachs, J.P. Morgan, Bank of America? Jeszcze jakieś inne? Takie są uroki zderegulowanego rynku finansowego, gdzie ceny realnych towarów powiązane z aktywami finansowymi, tzw. derywatami.

Paweł Stawicki

Mieszkam w budynku spółdzielczym i gaz opłacamy w ryczałcie. Czyli dwoje zameldowanych opłaca zużycie gazu za mieszkania,

w których np. jest zameldowana jedna osoba, a mieszka pięć, a bywa że i więcej. Taki gazowy kotłoch w kapitalizmie.

Janusz Malendowski

f Wychowani na occie?

„Spóźnieni, ale ciągle bezkompromisowi wojownicy z PRL nadal tkają, że jedynym artykułem stale dostępnym w sklepach był ocet”, pisze Ewa Nowakowska w książce „Cie(r)ń szansy”. Ja na tym occie zagryzanym zapalkami wyrosłam, zdrowa i dorodna dziewczyna – w przeciwieństwie do dzisiejszej młodzieży. Cuda, ludzie, cuda!

Małgorzata Markiewicz

Na samym occie prawie 38 mln niewolników PRL by nie przeżyło. Udało im się dzięki temu, że przegryzali ocet zapalkami, gdyż – jak twierdzi styropianowa propaganda trzecio-czwartej RP – tylko te produkty były dostępne na sklepowych półkach w ciągu 44 lat trwania Polski Ludowej. Hołd należy też oddać świętym wyklętym, prawdziwym zwycięzcom II wojny światowej, którzy z lasu donosili upodlonemu narodowi smalec, bimber i ciepłą odzież, a ponadto w pocie czoła budowali dla nich miliony mieszkań, fabryk, szkół i szpitali.

Rafał Galicki

✉ Beton zamiast róż

Na mocy decyzji prezydenta Zabrza zaczęto zmieniać urokliwy kawałek ul. Roosevelta na parking. Zdewastowano trawnik z pasem róż. Wykopano ok. 800 krzaków róż. Zniszczono piękny cis. Rosną w tym miejscu 50-letnie drzewa, przeważnie klony. Zniszczono im koparkami korzenie, okopując je do 2 m w głąb – tnąc korzenie około 1 m od pni. Radny tej dzielnicy i okoliczni mieszkańcy starają się zatrzymać tę bestialską działalność. Właściwie to już niewiele jest do zniszczenia, żeby wszystko zalać betonem.

Elżbieta Więckiewicz-Kwiatkowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Będzie praworządność, będą pieniądze. Kanclerz Niemiec Angela Merkel, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i premier Mateusz Morawiecki. Bruksela, 22 października 2021 r.





PYTANIE TYGODNIA

W kogo najbardziej uderza wysoka inflacja?

DR HAB. ELŻBIETA CHOJNA-DUCH,
*prof. UW, była członkini Rady Polityki
Pieniężnej, była wiceminister finansów*

Jak sama nazwa wskazuje, wzrost cen towarów i usług konsumpcyjnych najbardziej uderzy w konsumentów – gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa. Zarówno w Polsce, jak i na świecie wyższe ceny są wynikiem zewnętrznych czynników: pandemii, ale głównie wzrostu cen surowców, zwłaszcza energetycznych. Towarzyszą temu inne czynniki podaży, ale także postępujący, również w Polsce, wzrost dochodów konsumentów. Kto będzie ofiarą lub beneficjentem inflacji? Zależy to głównie od jej trwałości. Europejscy bankierzy centralni i analitycy nie są zgodni w kwestii utrzymywania się jej w dłuższym okresie, duża część mówi o jej przejściowym charakterze. Jeżeli jednak będzie się utrzymywała, dotknie nas, jak wszystkich innych. Czy tak się stanie? Ryzyko wzrostu cen energii jest oczywiste. Jednak w Polsce przed utrwaleniem się inflacji w średnim okresie będzie chronił przewidywany wzrost dochodów pracowników i emerytów, korzystne per-

spektywy rozwoju gospodarki oraz dokonana podwyżka stóp procentowych.

DR MARCIN KĘDZIERSKI
*Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie,
Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego*

Według najnowszych danych GUS pensje w sektorze przedsiębiorstw wzrosły o prawie 9%, a więc bardziej niż inflacja. To oznacza, że wciąż nie uderza ona w pracowników sektora prywatnego, zwłaszcza większych firm. Jednocześnie od kilku lat mamy zamrożone płace w sektorze publicznym, więc dziś wzrost cen najmocniej uderza w pracowników budżetówki. W ramach walki z inflacją Rada Polityki Pieniężnej prawdopodobnie podwyższy stopy procentowe, więc w najbliższej przyszłości osoby mające kredyty muszą się liczyć z wyższymi ratami. Nie da się natomiast jednoznacznie powiedzieć, w wyborców której partii najbardziej uderzą wyższe ceny, dlatego że nie mamy danych na temat wzrostu wynagrodzeń osób pracujących w firmach zatrudniających mniej niż 10 osób, które są w Polsce bardzo liczne.

DARIUSZ STANDERSKI,
ekonomista, prawnik, Fundacja Kaleckiego

Inflacja nie sprawia większego problemu tak długo, jak długo wzrost cen jest niższy niż wzrost wynagrodzeń. Dlatego przede wszystkim tracą ci, którzy zarabiają niewiele, a ich pensje były zamrożone przez lata. To pracownicy budżetówki – nauczyciele, urzędnicy, pracownicy administracji sądów i szkół. Inflacja nie uderza wszędzie z taką samą siłą – o wiele więcej stracą np. osoby, które muszą dogrzewać mieszkania grzejnikami elektrycznymi lub piecykami gazowymi. Ceny energii elektrycznej i paliw pójdą w górę najszybciej i najbardziej. Bardzo szybko przełoży się to na ceny żywności, a to kolejne uderzenie w domowe budżety osób zarabiających najmniej. Szczególnie poszkodowani będą emeryci z niskimi emeryturami, zwłaszcza mieszkający w starej zabudowie, płacący coraz wyższe rachunki.

KUBA GIEREJ
czytelnik PRZEGLĄDU

W rolników. Wzrost kosztów produkcji jest najwyższy – od 60 do 300%.



GORĄCY KARTOFEL WŁADZY

Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera



Robert Walenciak,
Kornel Wawrzyniak

Dworczyk odgrywa kluczową rolę – załatwacza. Faceta niby fajnego, ale takiego, którego trzeba się bać, bo nie wiadomo, jakie miny zbiera w piwnicy.

Wprawdzie Jarosław Kaczyński zdążył już powiedzieć, że Michał Dworczyk jest nie do ruszenia, ale na kilometr widać, że szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów PiS najchętniej wystawia na koniec świata, żeby ludzie o nim zapomnieli.

Każdy bowiem dzień przynosi nowe związane z Dworczykiem sensacje. Od czerwca publikowane są w internecie skany z jego skrzynki mejlowej. Prywatnej, której używał do prowadzenia spraw politycznych i która została zhakowana przez tajemniczych włamywaczy. Teraz wszystko, co miało być tajemnicą, mamy na wierzchu. Pisma kierowane do Dworczyka, jego odpowiedzi, pisma, które były mu przesyłane do wiadomości.

Możemy więc patrzeć na kuchnię polityczną rządu. Obserwować, czym ci ludzie się zajmują, co myślą (i piszą) o innych, co pojmują

z otaczającego ich świata. Możemy zorientować się, jaka grupa ludzi obsługuje premiera, co ich interesuje, a co ignorują. I te informacje, wyciągnięte z poczty Dworczyka, zarówno ich, jak i jego kompromitują.

Już sam fakt, że szef kancelarii premiera używał prywatnej skrzynki mejlowej do służbowej korespondencji, powinien skończyć się dymisją. Bo świadczy to o jego absolutnym lekceważeniu norm bezpieczeństwa. Naraził przez to ludzi, z którymi korespondował.

Oczywiście możemy domyślać się, dlaczego Dworczyk używał skrzynki z portalu internetowego, a nie oficjalnej, rządowej. Pewnie nie chciał, żeby jego korespondencja była przeglądana przez ludzi z MSWiA, którzy odpowiadają za rządową łączność i jej bezpieczeństwo. Chciał w ten

sposób ukryć się przed ministrem Kamińskim i jego ludźmi.

Dodajmy do tego jeszcze jeden element – otóż Michał Dworczyk, zanim zaczął szefować KPRM, był wiceministrem obrony. To stanowisko powinno było nauczyć go traktowania norm bezpieczeństwa w sposób poważny. Jak się okazuje, nie nauczył.

Dlaczego więc Morawiecki i Kaczyński obeszlą się z nim tak łagodnie? Dlaczego nie wyrzucili go, mimo że naraża ich na ewidentne straty?

Kariera jak z podręcznika PiS

Dworczyk do PiS trafił z harcerstwa. Ale nie z ZHP, tylko z konkurencyjnego ZHR, Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Przeszedł tam drogę od zastępowego do członka naczelnictwa.

ZHR dał mu wszystko. Tam poznał żonę. Przez Konrada Ciesiolkiewicza, który był później rzecznikiem rządu premiera Kazimierza Marcinkiewicza, poznał też Adama Lipińskiego, jedną z najważniejszych postaci PiS. A przez Aleksandrę Wesołowską poznał jej ojca – Antoniego Macierewicza.

Ta znajomość przydała mu się już w roku 1999. Wtedy to policja znalazła w piwnicach bloku na warszawskim Solcu amunicję z II wojny światowej. Okazało się, że zbierał ją Michał Dworczyk, wówczas student V roku historii na Uniwersytecie Warszawskim. Nic na szczęście nie wybuchło, potem list w obronie Dworczyka pisali harcerze, określając go mianem „niefrasobliwego zbieracza militariów”, a poręczenie w jego sprawie złożył Antoni Macierewicz, wtedy przewodniczący Ruchu Katolicko-Narodowego. Sprawę udało się więc jakoś wyciszyć. Wielbiciel amunicji dostał 1,5 roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata, wyrok jest już zatarty...

Dworczyk, jak pokazuje jego kariera, wciąż o czymś zapomina, coś lekceważy. Jak ujawniła Bianka Mikolajewska z OKO.press, 12 razy źle wypełnił swoją deklarację majątkową. Nie wpisał do niej udziałów w spółce, nieruchomości, dochodu ze sprzedaży nieruchomości... Zapominał, nie wiedział, chciał coś ukryć? Jak na urzędnika państwowego to kompromitująca sytuacja.

A teraz mamy aferę mejlową, której też by nie było, gdyby przestrzegał procedur...

Wróćmy na chwilę do początków kariery Dworczyka. W latach 2001-2005 był współwłaścicielem biura podróży Pogranicze, które organizowało wyjazdy na Ukrainę i Białoruś. W roku 2005 wraz z przyjaciółmi założył Fundację Wolność i Demokracja, która miała pomagać Polakom na Wschodzie. Fundacja jest wydawcą zakazanych na Białorusi polskich pism – „Głosu znad Niemna” i „Magazynu Polskiego” oraz portali internetowych, m.in. Kresy24.pl. Wspiera także Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Podczas pierwszego rządu PiS Dworczyk już krążył przy władzy, był doradcą premiera Marcinkiewicza.

Koordynował prace nad tzw. pakietem ustaw polonijnych. Były wśród nich ustawa o repatriacji i ustawa o Karcie Polaka.

Oto więc podręcznikowa kariera człowieka prawicy – ZHR, zbieranie militariów, pomoc Polakom na Wschodzie, fascynacja „żołnierzami wyklętymi”. Nic więc dziwnego, że dobrze wszedł w środowisko PiS.

Początkowo był pod kuratelą Adama Lipińskiego. I to jego decyzją został rzucony na Wałbrzych. Tam otrzymał w wyborach jedynekę, tam też doznał pierwszej politycznej porażki, gdy światło dzienne ujrzały tzw. taśmy wałbrzyskie, pokazujące tamtejsze PiS jako środowisko ludzi demoralizowanych. Ale dał sobie z tym radę. Rozwiązując wałbrzyskie PiS.

Siła Dworczyka, czyli ja to załatwię

Ale tak naprawdę jego kariera rozkwitła dopiero, gdy trafił do KPRM. Nie było to takie proste, bo wpięty był wiceministrem obrony u Antoniego Macierewicza. Ale nie poległ politycznie wraz z nim, tylko płynnie przeskoczył na stanowisko szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Tam zaś w ciągu paru miesięcy zbudował własną pozycję. I nie jest to pozycja urzędnika, który kieruje kancelarią, tylko człowieka od gaszenia politycznych pożarów. Od załatwiania spraw nie do załatwienia.

Przykłady? Oto pierwszy z brzegu. Mamy rok 2018, czas po wyborach samorządowych. Dworczyk wsiada do rządowego samolotu na trasie Warszawa-Wrocław-Warszawa. Jest jedynym pasażerem. Po co tam leci? Okazuje się, że upadają właśnie rozmowy na linii PiS-Bezpartyjni Samorządowcy o przejęcie Sejmiku Województwa Dolnośląskiego. Ktoś musi ratować sytuację. Robi to Michał Dworczyk. Daje Bezpartyjnym Samorządowcom praktycznie wszystko, czego chcą, reaktywuje połączenie kolejowe z Lubinem, bo przecież chodzi o to, żeby sejmiku nie dostała PO.

Po wizycie we Wrocławiu leci do Katowic. Osobiście rozmawia z Wojciechem Kałużą, wybranym z listy PO działaczem Nowoczesnej. Kałuża ulega argumentom (ha, ha!) Dworczyka i to wystarczy. Rano PiS przegrywało Sejmik Województwa Śląskiego

jednym głosem, wieczorem go przejmują – głosem Kałuży.

A jeżeli chcemy ciągu dalszego, to warto przypomnieć kwiecień 2021 r. i głosowanie w Sejmie nad ratyfikacją Funduszu Odbudowy. PiS nie miało w tym głosowaniu zapewnionej większości, bo Zbigniew Ziobro i jego Solidarna Polska zapowiedziały, że będą przeciw. Trzeba było więc szukać poparcia gdzie indziej. Gdzie? Do Włodzimierza Czarzastego zadzwonił telefon. – Czy możemy się spotkać?

W ten sposób w ciągu paru dni szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów załatwił brakujące głosy. Przy okazji wywołując wojnę między Lewicą a PO.

Ale jeśli chodzi o przeciętnego Kowalskiego, to Dworczyk punkty zdobył przy innych przedsięwzięciach. To on tworzył szpital dla chorych na COVID-19 na Stadionie Narodowym. Że pracowało w nim dwa razy więcej personelu, niż było chorych? A cóż to ma za znaczenie, skoro można było posłać w Polskę piękne obrazki pokazujące troskę i rozmach władzy!

Szczepienia przeciwko covidowi? Teoretycznie powinien zajmować się tym minister zdrowia. Jednak pełnomocnikiem rządu do spraw szczepień został Dworczyk. Dlaczego on? Wiodocześnie Morawiecki uznał, że lepiej będzie liczył napływające dostawy szczepionek i je rozdysponowywał.

Dworczyk ma pewną cechę różniącą go od innych polityków PiS. Posiada pewne miękkie umiejętności, które sprawiają, że potrafi się dogadywać, także z politycznymi przeciwnikami. Nie obraża, nie pali za sobą mostów. Pozwala mu to coraz zrzęczniejszemu obracać się w świecie polityki. A jak ona wygląda i on w niej – pokazują ujawnione mejle.

Cień Błaszczaka

Przechodząc z MON do kancelarii premiera, Dworczyk przeniósł również swoje znajomości, zainteresowania i ambicje. Mejle to pokazują – wciąż próbuje wpływać na armię, zwłaszcza na zbrojeniówkę. Ustawiać tam kadry.

W mejlu z 26 marca 2018 r. zwraca się z prośbą do premiera Morawieckiego o interwencję w produkujących amunicję zakładach MESKO. Ma nawet pomysł, jak obsadzić właśnie zwalniające się stanowiska

► kierownicze w firmie: „Mateusz, chciałem wrócić do rozmowy ws. MESKA i prośby o pomoc. To największa firma w PL produkująca w swoich zakładach amunicję (zarówno do broni małokalibrowej jak i artylerii), rakiety oraz prochy. (...) Niestety firma jest od lat zarządzana nieudolnie, a patologie są konserwowane lub pogłębiają się. Nie potrafimy nawet zapewnić samodzielnej produkcji amunicji do broni małokalibrowej (karabiny, pistolety) używanej w WP”.

Następnie Dworczyk proponuje dwóch ludzi, którzy mieliby podjąć się restrukturyzacji firmy. Chodzi o Tomasza Stawińskiego i Łukasza Komendera. „Dwaj świetni fachowcy, z doświadczeniem biznesowym, sprawdzeni w zarządzaniu, twarde stąpający po ziemi, którzy mogą szybko osiągnąć pozytywne zmiany w MESKO (strata za zeszły rok na poziomie 20 mln), a w perspektywie ok. 5 lat polski przemysł amunicyjny postawić na światowym poziomie”, pisze Dworczyk. I dodaje: „Michał, który w końcu został powołany do PGZ, przekazał mi, że właśnie będą planować zmiany w MESKU, natomiast on ma na to minimalny wpływ – dlatego piszę do Ciebie. Krótko mówiąc, okazuje się, że – albo pomożesz Ty albo nikt. W załączeniu przesyłam

w 2015 r. W 2016 r. został przeniesiony do rezerwy kadrowej, gdy na jaw wyszły jego antyukraińskie i antysemityczne wypowiedzi, m.in. podziw dla Władimira Putina za zajęcie Krymu. Pułkownik wyszedł jednak z cienia po raz kolejny w 2018 r., kiedy Michał Dworczyk, już jako szef KPRM, zatrudnił go w roli swojego doradcy w specjalnym departamencie, nazywanym w kularach kancelarii „mądrym MON przy premierze”.

Płk Gaj jako doradca szefa KPRM miał szeroki dostęp do wrażliwych informacji o wojsku i obronności. W jednym z mejli przekazuje Dworczykowi wieści z terenu: „Panie Ministrze, otrzymałem tzw. głos ludu, czyli odezwał się człowiek »z terenu«. Oto co zakomunikował: Panowie z WAT zakwestionowali skuteczność rakiet GROM w zwalczaniu śmigłowców rosyjskich nowej generacji Ka-50 i Ka-52. Z jednej strony chodzi o uzbrojenie śmigłowca np. rakiety Wichr, ale chodzi też o system walki elektronicznej i opancerzenie śmigłowca. (...) Co do zdolności zwalczania śmigłowców Ka-50, Ka-52, Mi-28 to miałem spore wątpliwości wcześniej co do skuteczności GROM i zestawu PILICA, ale nie miałem wystarczającej wiedzy co do systemów walki elektronicznej tych śmigłowców”.

z 6 października 2019 r., w którym tajemniczy Winston Wolf (takie nazwisko nosiła postać z filmu Quentina Tarantina „Pulp Fiction”) doradza szefowi KPRM w sprawie spotu wyborczego: „Nazywam się Michał Dworczyk, pracuję jako szef kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego. Lubię pracę i pracuję ciężko, ale w tych wyborach niektórzy nerwowi politycy opozycji zarzucają mi, że jestem spadochroniarzem na Dolnym Śląsku. Wiecie co, chciałem im coś powiedzieć. To prawda”, pisze Winston Wolf w propozycji do spotu. Okazuje się, że propozycja została w dużej części wykorzystana we właściwym filmiku. Dworczyk wychodzi z KPRM, wygłasza bardzo podobną formułkę i zakłada ciemne okulary. Po czym oglądamy spadochroniarza wyskakującego z samolotu. To właśnie Wolf proponował scenę ze spadochroniarzem: „Widzimy Cię daleko, gdzieś tam lecisz, może uda się, że chwilę będziesz bliżej. Ale jak nie, to też jest ok. Słyszysz ciągle Twój głos z offu, gdzie opowiadasz, co zrobisz dla Dolnego Śląska”.

Jak się okazuje, nie tylko tajemnicza postać Winstona Wolfa zdawała się pomagać w działaniach PR-owych ministrowi Dworczykowi. We wrześniu 2021 r. na kanale „Poufna rozmowa” opublikowano wymianę wiadomości Dworczyka z dziennikarzem Krzysztofem Skórzyńskim, zajmującym się polityką w TVN 24. Wymiana mejli dotyczyła redagowania treści wystąpienia Dworczyka na konferencję prasową z 24 stycznia 2021 r. W wątku widać, że ktoś, kto odpowiada z adresu k.skorzynski@gmail.com, poprawia treść uprzednio wysłanej wiadomości, opatrując swoje zmiany komentarzami i pogrubieniem czcionki, m.in.: „to jest już wiadome i nie wiem, czy warto jeszcze to powtarzać”.

Skórzyński tym kontaktom zaprzeczył. Tłumaczył 17 września 2021 r. na swoim Twitterze, że nie otworzył listu od Dworczyka, jak i 26 tys. innych nieprzeczytanych mejli. W oświadczeniu dziennikarza czytamy: „Nigdy nie wymieniałem w tej sprawie mejli z ministrem Dworczykiem. Nigdy także, w żaden, podkreślam – w żaden sposób – nie »doradzałem« ani ministrowi Dworczykowi, ani jakimkolwiek innemu politykowi, w jakiegokolwiek sprawie! (...) Nie wiem, kto miał

Michał Dworczyk próbuje wpływać na armię, zwłaszcza na zbrojeniówkę. Ustawiać tam kadry. Tak obchodzi szefa MON Mariusza Błaszczaka.

CV obu panów, krótkie info o firmie i wyzwaniach, które przed nią stoją. Z góry dziękuję w imieniu Polskich Sił Zbrojnych, Michał”.

Tak się obchodzi ministra obrony, Mariusza Błaszczaka!

Przez trzy lata doradcą Dworczyka ds. wojskowych był płk Krzysztof Gaj. Jego historia jest sama w sobie bardzo interesująca. W wojsku od 1982 r., jednak przeszedł do rezerwy w 2011 r. Potem związał się z Centrum Studiów Strategicznych Antoniego Macierewicza. CSS kierował zaś Jacek Kotas powiązany ze spółką deweloperską Grupa Radius, kojarzoną z rosyjskimi służbami i oligarchami. Gaj wrócił do wojska, kiedy Macierewicz został ministrem obrony

W mejlach do Dworczyka płk Gaj przysyłał dokumenty, zdjęcia i schematy związane ze sprzętem i taktycznymi działaniami wojska. Większość tych informacji specjaliści od wojskowości uznali za zastrzeżone lub poufne, a więc jest to zdrada tajemnicy wojskowej. Wiadomości wyciekły na początku czerwca 2021 r. W konsekwencji płk Krzysztof Gaj odszedł z KPRM pod koniec tego samego miesiąca i można powiedzieć, że do tej pory jest jedyną osobą po stronie rządowej, która została ukarana w kontekście afery mejlowej.

Spadochroniarz

Dworczyk daje się też poznać od bardziej zabawnej strony. W mejlu



W ciągu kilku dni Michał Dworczyk zapewnił głosy potrzebne do ratyfikacji przez Sejm Funduszu Odbudowy mimo sprzeciwu Zbigniewa Ziobry i Solidarnej Polski.

być adresatem tego mejla, z pewnością nie ja. Mejl był jednym z ponad 26 tys. nieprzeczytanych w mojej skrzynce". Na podkreślenie swoich słów Skórzyński załącza *print screen* ze swojego telefonu ze zbliżeniem na ikonkę aplikacji pocztowej, na której widnieje ponad 26 tys. nieodebranych wiadomości.

Prowadzący kanał „Poufna rozmowa” zareagowali na oświadczenie Skórzyńskiego. 20 września opublikowali wpis dziennikarza z Twittera, a poniżej dołączyli *screen* z poczty Dworczyka, tym razem z 2010 r., w którym minister pisze na adres k.skorzynski@gmail.com: „Cześć Stary, dzięki za chęć pomocy. Wczoraj nie dałem rady wysłać materiałów. Wysyłam dziś, pro forma, bo wiem, że jest na 99% za późno, aby coś działać. Dzięki jeszcze raz, wierzę, że następnym razem lepiej uda się to wszystko przygotować. Pozdrawiam Michał”.

W połowie października portal press.pl poinformował, że decyzją TVN Grupy Discovery dziennikarz będzie zajmował się formatami niezwiązanymi z polityką.

Dworczyk dba też o kontakt ze swoimi fanami w mediach społecznościowych. „Panowie, ustalcie, który z Was odpowiada na wiadomości przesyłane na mój oficjalny FB. Wiem, że większość to schitt, ale

choć jednym okrągłym zdaniem trzeba odpowiedzieć. Tak aby każdego dnia wieczorem konto było »czyste«,” pisze Dworczyk do swoich asystentów w grudniu 2019 r. Stronę obserwuje obecnie 25 tys. osób.

PR nade wszystko

O tym, że dla Dworczyka i jego szefa Mateusza Morawieckiego sprawa PR, prezentowania się w mediach są niemal najważniejsze, świadczą kolejne mejle. Dowodzi tego korespondencja premiera z prezesem PAP Wojciechem Surmaczem. Znamy ją, bo premier kierował ją też do wiadomości Dworczyka.

„Wojtek – pisze więc premier do szefa agencji prasowej, teoretycznie, tak jak TVP, niezależnej od rządu – czy mógłbyś dać jakiegoś sprytnego dziennikarza, aby przeprowadził bardzo pilnie wywiad z panem prezydentem ws. Funduszu – narracja jest gotowa, tylko trzeba ładnie to wszystko ująć i poprzecinać pytaniami”.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, jak Morawiecki traktuje media, zwłaszcza te, które PiS zdobyło.

Zresztą Morawiecki nie tylko ustawia wywiad z prezydentem i zna jego treść, zanim jeszcze został przeprowadzony, ale też pilnuje, kiedy może się ukazać. W tym wypadku sprawa dotyczyła powstania Funduszu Medycznego z budżetem niemal

3 mld zł, którego inicjatorem miał być właśnie prezydent Duda. I Morawiecki pilnował, by to wydarzenie zostało jak najmocniej nagłośnione.

„Pan prezydent jest panem prezydentem i nie wiem dokładnie, jak to ułożymy, ale generalnie chodzi mi o treść”, kontynuował premier. „Wzgl. jeżeli decyzja będzie taka, że-bym ja do precyzował coś w podobnym wywiadzie można zrobić to tak że pan prezydent mówi o kilku sprawach jednocześnie – bardzo ważnych, a w tym także o tym funduszu a potem kilka godzin później jeszcze krótszy wywiadzik pięć pytań ze mną gdzie ja doprecyzuję tylko na temat tego funduszu w duchu jak niżej”.

W odpowiedzi po 34 minutach prezes PAP miał odpisać: „Działamy” i zapowiedzieć, że pytania już są gotowe i zostaną wysłane do prezydenckiego rzecznika Błażeja Spychalskiego i do doradcy premiera Mariusza Chłopika. „Myślę, że na jutro rano – żeby nie przegrzać – rozmowa z Tobą. I to już sobie zrobimy na spokojnie”, kończył Surmacz.

„Tak będzie najlepiej. Tak działamy. Dopilnuj tego, Wojtek!”, miał jeszcze napisać premier, a w odpowiedzi dostać zapewnienie: „Pilnuję 24/7”.

Mejle miały zostać wysłane 7 marca 2020 r. Tego samego dnia w serwisie Polskiej Agencji Prasowej pojawił się wywiad z prezydentem Dudą dotyczący Funduszu Medycznego. Jako autor wywiadu podpisany jest Rafał Białkowski. Wojtek dopilnował.

Ale wcześniej tak kordialnie nie było. Świadczy o tym korespondencja między ówczesnym szefem banku PKO BP Zbigniewem Jagiełłą, szefem KPRM Michałem Dworczykiem, prezesem PAP Wojciechem Surmaczem oraz premierem Mateuszem Morawieckim z lutego i marca 2018 r. Rzeczą dotyczy anglojęzycznej wersji PAP. Jak się okazuje, bardzo w sprawę jej powołania zaangażowany był wspomniany wyżej Jagiełło. Pisał on 18 lutego 2018 r. do Dworczyka: „Michał, mam pomysł i prośbę do Ciebie o dalsze kroki w sprawie tworzenia anglojęzycznej wersji PAP. Załączam kosztorysy od Wojciecha Surmacza”.

Jagiełło przesłał też Dworczykowi dokładną instrukcję, jak powinien zachować się na spotkaniu z Surmaczem: „Pytasz się, czy PAP

► ma korespondentów w Tel Aviwie, Berlinie, Brukseli, Paryżu, Londynie i Waszyngtonie (w Tel Aviwie – nie ma, to wiem, a gdzie tam są wakaty). Ubolewasz nad ich odpowiedzią i pytasz się, kiedy naprawią te błędy; mówisz, że polska racja stanu wymaga, aby skupili się na projekcie serwisu anglojęzycznego i pieniądze mają pochodzić z przyłączenia tej PW Rzeczpospolita; 1 marca mają Ci przedstawić aktualny stan realizacji tego projektu. Odmaszerować!!!”.

Dodajmy, że koszt serwisu, który był przedstawiony, to prawie 10 mln zł. A skąd ta suma: „To 20 dedykowanych osób (dziennikarzy, moderatorów, zarządzających projektem) x średnie wynagrodzenie 16 tys. zł brutto x 12 miesięcy. W tę kwotę wliczamy także honoraria dla współpracowników”, czytamy w kosztorysie, którego przygotowanie przypisywane jest prezesowi PAP.

W załączeniu przesyłam CV

W sieci można też znaleźć mejl do Dworczyka od Krzysztofa Nowiny-Konopki, byłego dziennikarza telewizji Trwam, obecnie pracującego w TVP. Wiadomość z 20 marca 2015 r.: „Michał, przesyłam CV i dziękuję za przekazanie go dalej. Pozdrawiam Krzysztof Konopka” – do wiadomości załączono CV.

Podobnego typu mejli jest cała masa. Jedne są wprost do niego, inne do wiadomości. Tak jak np. mejl z lipca 2020 r. od podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Pawła Jabłońskiego do Mateusza Morawieckiego. Dworczyka do tej korespondencji dołączył premier.

„Mateusz, pisał do premiera wice-minister, zgodnie z prośbą – bardzo

chętnie włączyłbym się w prace nad ustawą o służbie cywilnej w zakresie, w jakim dotyczy ona mojego resortu. Mamy prawie gotowy projekt ustawy o służbie zagranicznej – której celem jest m.in. stworzenie dodatkowej ścieżki naboru ludzi do dyplomacji (...). Ze wstępnych naszych analiz wynika, że byśmy taką ścieżkę mogli wprowadzić, potrzebne jest dodanie w ustawie o służbie cywilnej pewnego wyjątku, który pozwoli nam na większą swobodę w zatrudnianiu ludzi – żeby nie wpadali w reżimy konkursowe służby cywilnej”.

Innymi słowy, wiceminister namawia premiera, by do MSZ można było przyjmować po uważaniu „naszych ludzi”, uciekając od wszystkich procedur, typu wykształcenie czy znajomość języków obcych.

A skąd się biorą „nasi”? Po części pokazuje to korespondencja Dworczyka z ludźmi z województwa dolnośląskiego. Oto w mejlu z początku lutego 2016 r. pisowski radny Janusz Maniecki pisze do Dworczyka o sytuacji w powiecie dzierzoniowskim – na kogo uważać, z kim rozmawiać i w jaki sposób. W liście pojawia się też Romek, na którego trzeba uważać, „tak jak na wszystkich z wieloletnim stażem w PiS tutaj”. Pod koniec wiadomości Maniecki pisze: „Napisz do jakich instytucji i na jakie stanowiska jeszcze szukać tu ludzi”. Nie jest też zaskoczeniem, że w poprzednich wiadomościach od lokalnego polityka, jeszcze z końca grudnia 2015 r., widzimy załącznik z CV od Manieckiego: „Cześć, wysyłam swoje CV, tak jak się umówiliśmy. Zadzwoń albo napisz w wolnej chwili. Pozdrawiam. Janusz”.

Pomóż patriocie

Siła Dworczyka polega nie tylko na załatwianiu posad, ale także na tym, że może uruchomić konkretne pieniądze. Nawet takie, które w skali państwa są nieduże...

„Czołem Michale, pytanie dość dla mnie istotne, czy możecie kupić chociaż 500 egzemplarzy po 200 zł tego rocznicowego albumu” – autorem wiadomości jest Adam Borowski, kandydat PiS w wyborach parlamentarnych 2019, a sprawa dotyczy zakupu rocznicowych albumów „Niepodległa 1918”. „Muszę sprzedać szybko 1000 egz., by nie popaść w kłopoty”,

tłumaczy autor wiadomości. Dworczyk przekazuje wiadomość, pisząc: „Poproś jutro Tarczewską, żebyśmy kupili 200 sztuk o ile mamy na to kasę”. Wspomniana Tarczewska to Magdalena Tarczewska-Szymańska, dyrektor generalna KPRM. Z innych mejli wiadomo, że ostatecznie kupiono więcej albumów: „Michale, serdecznie dziękuję za to, że wzięliście 400 albumów... bardzo mi to pomogło”, czytamy w wiadomości z 1 września 2019 r. Borowski w rozmowie z portalem Onet potwierdził autentyczność wiadomości, dodając, że nie ma sobie nic do zarzucenia.

I trudno uważać inaczej – wszak chciał sprzedać i zarobić. Pytanie należałoby kierować raczej do Dworczyka. Że lekką ręką wydaje 80 tys. zł.

To jest zresztą *clou* afery mejlowej. Dworczyk i jego przełożeni próbują ją przemilczeć, ale z każdym tygodniem jest to coraz trudniejsze. Owszem, trudno przypuszczać, że na pocztę Dworczyka włamał się haker amator. Ewidentnie wygląda to na dobrze zorganizowane działanie. Strona, na której publikowane są mejle, też wygląda na przygotowaną i prowadzoną fachowo. Tropy prowadzą na wschód. Tak zresztą broni się Dworczyk, a wspiera go w tym Kaczyński, który napisał w komunikacie, że „najważniejsi polscy urzędnicy, ministrowie, posłowie byli przedmiotem ataku cybernetycznego” i że „został on przeprowadzony z terenu Federacji Rosyjskiej”. Dodatkowo PiS mówi, że część mejli może być fałszywką, więc lepiej ich nie czytać.

Ale takie działania są z zasady nieskuteczne. Mleko się wylało. Liczy się to, co ludzie widzą, a widzą ekipę Morawieckiego jako ludzi opętanych sprawami autoprezentacji, sprowadzenia mediów do roli lokajów, a do tego pochłoniętych załatwianiem posad i pieniędzy na różne partyjne przedsięwzięcia.

Dworczyk w tej ekipie odgrywa kluczową rolę. Załatwiacza. Faceta niby fajnego, ale takiego, którego trzeba się bać, bo nie wiadomo, jakie miny zbiera w piwnicy.

Robert Walenciak
Kornel Wawrzyniak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Z Galicji



Jan Widacki

Nauka, nienauka, neonauka

Wdobie pozytywizmu wyznaczano dość ostre granice między nauką a nienauką. Nazywano to zwykle linią demarkacyjną nauki i nienauki. Okazało się jednak, że sprawa nie jest wcale taka prosta, jak mogło się wydawać. Związki przyczynowo-skutkowe w świecie społecznym i ludzkich zachowaniach nie są tak jednoznaczne jak w świecie przyrody nieożywionej (co nawiasem mówiąc, też jest bardziej skomplikowane, niż kiedyś mogło się wydawać). Dziś nauki społeczne i nauki o człowieku odrzucają dość prostacki determinizm XIX-wiecznego pozytywizmu, ale nie odrzucają go jako takiego. Nikt znający współczesną naukę nie powie, że człowiek nie jest w swoich działaniach zdeterminowany. Oczywiście, że jest. Tyle że przyczyn zachowań ludzkich (także społecznych) nie można wiązać z jakimś jednym konkretnym czynnikiem. Wiadomo, że nasze zachowania (społeczne i indywidualne) są zdeterminowane, ale przez wielką liczbę rozmaitych czynników oddziałujących na nas wprost lub pośrednio, po drodze oddziałujących na siebie nawzajem. Dziś już nikt poważny nie będzie szukał jednego czy choćby głównego czynnika, który spowodował, że człowiek np. popełnił przestępstwo. Takie bardzo uproszczone teorie, uwzględniające tylko jeden czynnik, któremu przypisuje się jakąś moc sprawczą, nie tylko są na ogół nieprawdziwe, ale rażą naiwnością, służą też budowaniu rozmaitych teorii spiskowych. Ich siłą jest to, że w sposób prosty, jak się zdaje, rzekomo tłumaczą skomplikowane procesy. Wyobraźmy sobie, że wiedza naukowa (zbiór twierdzeń zweryfikowanych bądź weryfikowalnych) stanowi jeden zbiór, a wiedza nienaukowa (czyli zbiór twierdzeń niezawerifikowanych lub nawet z samej istoty nieweryfikowalnych, choć czasem prawdziwych, przy czym nie wiadomo, które z nich są prawdziwe, które nie) stanowi drugi zbiór. Dla pozytywizmu XIX-wiecznego granice tych zbiorów były ostre. Dziś uważamy, że tak ostre nie są. Są twierdzenia, które na pewno należą do jednego z tych zbiorów, a nie należą do drugiego, ale są też takie, o których nie wiadomo, do którego z tych zbiorów należą. Czyli granica między nauką a nienauką nie jest ostra, jest dość płynna. Postmoderniści idą jeszcze dalej, twierdząc, że nie ma żadnych granic między nauką, a nienauką.

Ten przydług, ale łudzący się, że mimo wszystko dość klarowny wywód był mi potrzebny do wykazania istnienia pewnej niebezpiecznej, a coraz bardziej wyraźnej tendencji. Jest nią deprecjonowanie nauki, zastępowanie ekspertów rozmaitymi pseudoekspertami, czasem zwykłymi hochsztaplerami. Gdy eksperci zarzucają pseudoekspertom braki w wiedzy i wynikające z tego błędne wnioski, stojący z boku obserwator wie tylko tyle, że jedni mówią tak, a drudzy zupełnie inaczej, a zatem prawdy albo w ogóle nie ma, albo

jest nie wiadomo po której stronie. Przykładów jest aż nadto dużo. Komisja badania wypadków lotniczych Laska i komisja Macierewicza. Zwolennicy szczepień i antyszczepionkowcy i w konsekwencji tysiące ludzi nieszczepiających się, bo albo uwierzyli antyszczepionkowcom, albo nie uwierzyli nikomu. Swego czasu premier Szydło szczerze wyznała, że nie wie, komu ma wierzyć: zwolennikom szczepień czy antyszczepionkowcom.

Szerzeniu się wiedzy alternatywnej wobec nauki sprzyja niewątpliwie internet. Także inne media, w tym tygodniki ilustrowane, na łamach których lansują się (albo są lansowani przez niedouczonego dziennikarza) rozmaici hochsztaplerzy, nawiedźcy i najzwyklejsi oszuści. Pojawiają się rozmaici „eksperci”, „trenerzy”, „edukatorzy” z dziedzin o naukowo, tajemniczo brzmiących nazwach, ale z nauką niemających nic wspólnego. Co z tego, że np. metody detekcji kłamstwa są przedmiotem badań naukowych od ponad 100 lat, a literatura naukowa na ten temat ma

Tendencja do lekceważenia nauki będzie się nasilać, tym bardziej że władze jawnie lekceważą uczonych.

rozmiary sporej biblioteki. Konkurencyjną wiedzę (i umiejętności) serwuje w mediach jakaś pani, która nie tylko „gołym okiem” rozpoznaje kłamstwo, ale nawet obiecuje wyuczyć tej sztuki (przez internet!) w tydzień każdego, kto jej wpłaci bodajże 1500 zł. Każdy może zachwalać swoje talenty, o których jest przekonany, i umiejętności, które sądzi, że posiada. Może, ale do nieprzekraczalnej granicy oszustwa. Jak jednak się okazuje, dla organów państwowych, do których powinniśmy mieć zaufanie, alternatywna nauka uprawiana przez wspomnianą panią jest tyle samo warta, ile dorobek ponad 100 lat naukowych badań. Poważna instytucja zaprasza ją z wykładem na organizowaną przez siebie konferencję!

Dla sędziego opinia biegłego będąca w całkowitej sprzeczności z nauką jest w pełni wiarygodna, gdyż „jest jasna i wewnętrznie niesprzeczna” i nadaje się dzięki temu do zacytowania w uzasadnieniu wyroku. Przykłady można by mnożyć. A ileż jest reklam alternatywnej medycyny przywracającej zdrowie i usprawniającej seks!

Ta tendencja do lekceważenia nauki będzie się nasilać, tym bardziej że władze jawnie lekceważą uczonych (przynajmniej tych „nie swoich”), marzą o stworzeniu klasy neouczonych, do czego przydatny jest im system punktowania publikacji, przy czym to minister przyznaje punkty. A ten jest większym uczonym, kto ma więcej punktów (od ministra).

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Polska wzmacnia potęgę amerykańskiego przemysłu...

...a polska zbrojeniówka kuleje. 70% środków wydanych na nowy sprzęt wojskowy trafi za granicę

Marcin Ogdowski

Trochę niepostrzeżenie, bez medialnej wrzawy, rząd PiS przepchnął zmiany w budżecie na 2021 r. Jedną z poprawek – dotyczącą zwiększenia o 6,9 mld zł finansowania armii – usiłował zablokować Senat. Zdominowana przez opozycję izba miała inny pomysł na wykorzystanie wspomnianej kwoty. „Są to środki na modernizację sił zbrojnych, a dokładnie na zakup czołgów Abrams. Ministerstwo Finansów wskazywało, że dodatkowe wydatki zapisane w nowelizacji budżetu są wydatkami prorozwojowymi. Zakup tego uzbrojenia nie przyczynia się do większej dynamiki gospodarczej, bo te środki wypłyną za granicę. Dzisiaj priorytetem powinna być służba zdrowia”, argumentował senator Kazimierz Klejna z Koalicji Obywatelskiej, przewodniczący Komisji Budżetu

budżetu na przyszły rok przewidziano, że MON otrzyma 57 mld zł, ale ten dokument musi jeszcze przejść całą procedurę legislacyjną. Zakładając, że PiS utrzyma sejmową większość, można przyjąć, że kwota ta nie ulegnie znaczącej korekcie. Mając z kolei w pamięci doświadczenia z nowelizacją, prawdopodobny wydaje się scenariusz korekty *in plus* już w trakcie obowiązywania budżetu. Niezależnie od tego, czy do niej dojdzie, realne nakłady na wojsko w 2022 r. i tak mają szansę przekroczyć 60 mld zł. Większość z dopisanych właśnie MON pieniędzy nie zostanie bowiem wydana w tym roku.

Skarpeta ministerstwa

Zgodnie z ustawą o dyscyplinie finansów publicznych, ministerstwa zobowiązane są zwracać środki niewykorzystane w danym roku budżetowym. Sposobem na uniknięcie

gwarantuje dodatkowe środki, które zostaną przeznaczone m.in. na zakup czołgów Abrams”, napisał na Twitterze minister obrony.

Tuż po powrocie z niedawnej wizyty w Stanach Zjednoczonych Błaszczak zadeklarował, że pierwsze Abramsy pojawią się w Polsce już w przyszłym roku. Tymczasem w planach zakupowych ministerstwa – nie tylko dotyczących FMSZ, ale całego budżetu MON – nie ma o tym choćby wzmianki. I być nie może, bowiem nie istnieje jeszcze żadna umowa z Amerykanami. W sprawie czołgów Polska jest dopiero na początku drogi – przed nami m.in. konieczność uzyskania zgody Kongresu na sprzedaż. Ma to nastąpić do końca tego roku, ale na etapie planowania budżetu MON, w tym zapisów dotyczących FMSZ, nie można było domniemywać kongresowej zgody. Stąd zapisy nieuwzględniające transakcji, pozornie sprzeczne z deklaracjami ministra i przewidywaniami opozycji. Dla porządku dodajmy, że całość przyszłej umowy na pozyskanie 250 Abramsów, sprzętu towarzyszącego, amunicji i pakietu szkoleniowego, ma opiewać na kwotę 23 mld zł. To dużo więcej niż zasilony właśnie FMSZ, co pozwala przypuszczać, że gros wydatków zostanie poniesionych po 2022 r.

Armia na zakupach

A na co MON wyda pieniądze w przyszłym roku? 13,5 mld zł pochłonięta pensje dla 115 tys. żołnierzy zawodowych, 35 tys. wotowców i 53 tys. pracowników wojska. W tej kwocie mieści się również uposażenie dla funkcjonariuszy SKW i SWW, 8 tys. kandydatów do służby wojskowej oraz tysiąca żołnierzy Narodowych Sił Rezerwy. 156 tys. byłych mundurowych otrzyma 8,24 mld zł z tytułu świadczeń emerytalno-rentowych.

MON otrzyma w tym roku 58,1 mld zł, czyli rekordowe 2,4% PKB.

i Finansów Publicznych. Na próżno. Sejm senacką poprawkę odrzucił, a Andrzej Duda – w typowym dla siebie, ekspresowym tempie – podpisał nowelę ustawy budżetowej. Zgodnie z nią, MON otrzyma w tym roku nie 51,2 mld zł, ale 58,1 mld zł, czyli rekordowe 2,4% PKB.

Tak wielkimi pieniędzmi MON nie dysponowało nigdy po 1989 r. Zaskakuje też dynamika zmian w wydatkach na zbrojenia. W 2015 r. rząd RP przeznaczył na ten cel 38 mld zł, dwa lata później koszty utrzymania armii spadły o ponad miliard, by w 2018 r. przekroczyć 40 mld zł. Rok później na obronność wydaliśmy 44 mld, w 2020 r. – 49 mld zł. Tegoroczny budżet oznacza, że w ciągu sześciu lat doszło do prawie 70-procentowego wzrostu nakładów. W projekcie

takiej sytuacji jest tworzenie funduszy celowych, których nie dotyczy ów reżim. Fundusz Modernizacji Sił Zbrojnych (FMSZ), gdzie trafi 6,3 mld zł ze wspomnianych 6,9 mld, jest więc czymś w rodzaju skarpety, w której MON trzyma swoje oszczędności. Po co? W projekcie ustawy budżetowej na 2022 r. przewidziano FMSZ na poziomie 10 mld zł i wydatki w jego ramach nie większe niż 200 mln zł. Żadne z zaplanowanych zakupów nie mają związku z Abramsami, o których wspominał senator Klejna, co wcale nie podważa prawdziwości słów polityka opozycji. Potwierdza ją... Mariusz Błaszczak. „Prezydent podpisał nowelizację ustawy budżetowej na 2021 r., dzięki której będzie prawie 7 mld zł więcej na wydatki obronne. Ustawa



Po nowelizacji budżetu na 2021 r. Wojska Obrony Terytorialnej dostaną 887 mln zł, o 24 mln więcej, niż planowano.

finansowanie na poziomie 3,5-4% PKB przez dekadę. Przekładając to na konkrety, przyszłoroczny budżet MON powinien zamknąć się w kwocie 80 mld zł. A później tylko rosnać. Bo lista potrzeb jest długa. W służbie wciąż pozostają ponad 40-letnie transportery BWP-1 (do wymiany jest ponad 1000 sztuk tego sprzętu), marynarka wojenna właśnie straciła zdolności podwodne (jeden okręt podwodny trafił do remontu), a program budowy fregat pozostaje wyłącznie programem. Kurczy się flota śmigłowców transportowych, pilnej wymiany wymagają pozbawione już amunicji raketowej śmigłowce uderzeniowe. Symboliczne możliwości ma, i będzie miała w najbliższych latach, obrona przeciwlotnicza.

A to tylko niektóre z priorytetów. Czy najważniejsze? Pandemia obnażyła strukturalną słabość polskiej służby zdrowia. Jasne jest, że bez zwiększenia nakładów co rusz będziemy mieli do czynienia z zapaściami, podobnymi do tej z przełomu 2020 i 2021 r. I że wówczas – jak w czasie drugiej i trzeciej fali COVID-19 – będą umierać ludzie w skali podobnej do niejednych działań zbrojnych. Wystarczy wsłuchać się w argumenty protestujących z białego miasteczka. A obszarów państwa dotkniętych kryzysem jest przecież więcej. Dość wspomnieć edukację, niewydolny i przestarzały system energetyczny czy całe gałęzie gospodarki odczuwające skutki lockdownu. W takim kontekście zwiększanie nakładów na wojsko wydaje się niewłaściwe, a nawet nieetyczne. Szczególnie gdy uświadomimy sobie, w jakim stanie znajduje się polski przemysł zbrojeniowy. Najlepiej świadczy o niej fakt, że 70% środków wydanych na nowy sprzęt trafi za granicę – głównie do USA (a w przyszłym roku istotną część także do Turcji). Zaorana w latach 90. zbrojeniówka nie jest w stanie stworzyć i wyprodukować bardziej zaawansowanych rodzajów uzbrojenia. Kupujemy więc za oceanem, czyniąc z budżetu MON coś na kształt Funduszu Aktywizacji Amerykańskiej Gospodarki.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Łącznie zatem wydatki osobowe wyniosą 21,7 mld zł, stanowiąc niemal dwie piąte przyszłorocznego budżetu ministerstwa. Podkreślimy przy okazji, że jest to istotna jakościowa zmiana, bo przez większość okresu III RP na pensje i emerytury przeznaczano aż połowę kasy MON (a bywały lata, że więcej). Przejadanie budżetu zwykle

remonty uzbrojenia, w czym mieści się przywracanie do jako takiego stanu czołgów T-72. *De facto* więc mówimy tu o kropłowce dla rodzimego przemysłu, bowiem utrzymywanie w linii tych przestarzałych wozów już dawno minęło się z sensem. 1,9 mld zł to pieniądze na zakup środków materiałowych – amunicji

W sprawie czołgów Abrams nie istnieje jeszcze żadna umowa z Amerykanami.

więzało się z ograniczaniem zakupów – utrzymanie etatów definiowano jako cel nadrzędny. W planach na 2022 r. lista wydatków na modernizację techniczną sił zbrojnych jest, jak na polskie warunki, imponująca i zamyka się w kwocie niemal 15 mld zł (bez FMSZ).

Prawie 3 mld zł pochłonie budowa systemu obrony powietrznej, 2 mld zł – przygotowania do pozyskania samolotów F-35. 1,5 mld zł wydamy na nowy sprzęt dla wojsk rakietowych i artylerii, 1,2 mld zł będą kosztować śmigłowce dla marynarki wojennej. Ale wojsko to nie tylko broń – na inwestycje budowlane przeznaczonych zostanie 2,1 mld zł, niezależnie od 800 mln zł, jakie planujemy wydać na projekty infrastrukturalne, związane z obecnością w NATO. Ponad 1,1 mld zł pójdzie na

(1 mld zł), mundurów, paliwa, smarów itp. Planowane jest zabezpieczenie 1,1 mld zł na prace badawczo-rozwojowe. Wojsko – jako instytucja żywotnie zainteresowana stanem infrastruktury drogowej – zapłaci też 500 mln zł daniny na rzecz Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg.

Czy to etyczne?

Armia jest jak studnia bez dna – ile by w nią włożyć, zawsze znajdą się niezaspokojone potrzeby. Zwłaszcza w wypadku wojska przez dekadę notorycznie niedoinwestowanego – a właśnie w takich warunkach funkcjonowała polska armia. Zdaniem specjalistów, by osiągnąć poziom natowskiej czołwki, konieczne byłyby zakupy sprzętu i uzbrojenia o wartości 150 mld zł. A to oznacza

Szczepionkowy klops

Szczepionkę przeciwko grypie zamówiono w tym roku dużo. Mimo to w aptekach ich nie uświadczymy. Co się dzieje?

Beata Igielska

Szczepionki zamówione, dostaw brak, ciągle czekamy. Ostatnio były we wrześniu. Jest zainteresowanie – mówi farmaceutka z warszawskiej apteki. – U nas od połowy września nic nie dostarczono, ludzie się złością – to aptekarka z Łodzi. Poznań: – Szczepionki nie są dostępne w hurtowniach, nie wiemy, o co chodzi. Rzuty pojedynczych opakowań sprzedają się w ciągu jednego dnia. Ostatnio pojawiły się szczepionki donosowe dla dzieci, ale spotykają się z niewielkim zainteresowaniem. Gąbin, małe miasto w centrum Mazowsza: – Hurtownia obiecała, że dostaniemy coś na początku października. Mamy koniec miesiąca i nic. Zainteresowanie podobne jak

biały personel musi być zabezpieczony na wypadek dużej czwartej fali covidu. Pracownicy ochrony zdrowia nie mogą sobie pozwolić na absencję. Bezpłatne szczepienia wymienionym grupom gwarantuje rozporządzenie ministra zdrowia z 27 sierpnia 2021 r. w sprawie metody zapobiegania grypie sezonowej w sezonie 2021/2022. Weszło w życie we wrześniu.

Prof. Adam Antczak z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, przewodniczący Ogólnopolskiego Programu Zwalczania Grypy, w rozmowie z PAP stwierdził, że szczepionki z agencji „słabo się rozprowadzają”. Jeśli zaś nie zostaną zużyte w ciągu sześciu tygodni, ulegają utylizacji. Bo? Polacy zazwyczaj szczepią się przeciwko grypie do końca października. Potem tempo słabnie. Zdaniem

pediatra, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. walki z COVID-19. – Boję się, że będzie problem, gdy przegapimy największą gotowość ludzi. Gdy szczepionki przyjdą, jak w ubiegłym roku, w grudniu, trafią do utylizacji. To wynika z opóźnień, z problemów z dystrybucją. Nie rozumiem, dlaczego agencja ściąga aż takie ilości z rynku. Czy ktoś policzył, ile dawek będzie potrzebnych do zaszczepienia grup wymienionych w rozporządzeniu? W ubiegłym roku niektóre szpitale zagwarantowały pracownikom szczepionki, kupując je z własnych budżetów. Bo nie bardzo wierzyły w zapewnienia agencji. Tak samo jest w tym roku: biały personel tu i ówdzie jest już poszczepiony zakupionymi szczepionkami, gdy te z agencji są za darmo. Konieczne jest dynamiczne zarządzanie ich zasobami, żeby szczepionki się nie marnowały – podsumowuje Grzesiowski.

Prof. Piotr Kuna, pulmonolog z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Astmy i Alergii Wydziału Lekarskiego w Łodzi: – Jako lekarz mogę wypisać jedno opakowanie szczepionki przeciwko grypie na pół roku. Uważam jednak, że w przypadku pacjentów po 65. roku życia oraz wszystkich chorych cierpiących na przewlekłe choroby układu oddechowego, sercowo-naczyniowe, cukrzycę i inne, należałoby podawać tę szczepionkę dwa razy w sezonie grypowym: jesienią i na początku kolejnego roku kalendarzowego. My naszych chorych edukujemy w trakcie każdej wizyty, widzę większe zainteresowanie szczepieniami niż w poprzednich latach. Ale co z tego, skoro skarżą się, że nie mogą tej szczepionki nigdzie dostać. Pewnie znów część partii przetrzymywana w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych zostanie zutyliзована. To zadziwiająca strategia walki z grypą. Szkoda, bo szczepienie zapobiega powikłaniom pogrypowym,

Duże dostawy szczepionek przejmują Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych. Dlatego jest problem z ich dostępnością w aptekach i przychodniach.

w ubiegłych latach. Przygraniczne Słubice: – Mieliliśmy jedną dostawę w tamtym miesiącu. Zainteresowanie? O szczepionkę przeciwko grypie pyta jedna osoba na dziesięć odwiedzających naszą aptekę. Na portalu Gdzie po lek informacja, że Vaxigrip jest dostępny w 0% aptek, Influvac w 22% aptek.

Marek Tomków z Naczelnej Rady Aptekarskiej sprawę widzi tak: – Szczepionki trafiają do aptek transzami, ostatnia była kilka dni temu, ale obecnie szczepionki wykupują najbardziej zdeterminowani pacjenci, potem sytuacja się uspokoi. Natomiast mnóstwo trafia do Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych na potrzeby bezpłatnych szczepień białego personelu, a także służb mundurowych, pacjentów DPS-ów czy hospicjów. Szczególnie

zaś Krzysztofa Bielaka, rzecznika prasowego RARS, nie odnotowano problemów z dystrybucją do punktów szczepień. Od 1 do 15 października dostarczono ponad 305 tys. dawek do 2616 punktów. Kolejna transza to 12 tys. Czyli wszystko działa. Czy na pewno?

Powinny być teraz

– Jest klops, ponieważ agencja przejmują naprawdę duże dostawy z głównego rynku. W związku z tym mamy problem z dostępnością w aptekach, w przychodniach. Szczepionki powinny być dostępne teraz. Jak przyjdą w grudniu, już nikt się nie zaszczepi. Grypa to zjawisko sezonowe. Po świętach Bożego Narodzenia Polacy nie chcą się szczepić – mówi dr Paweł Grzesiowski,



ILE KOSZTUJE GRYPA?

W ciągu roku w Polsce, w zależności od sytuacji epidemicznej (lata z epidemią lub bez epidemii), koszty pośrednie grypy wynoszą od 2,4 mld do 6,9 mld zł, tj. od 0,1% do 0,3% PKB. W ciągu roku wirus grypy zakaża od 12% do 15% mieszkańców. Wśród osób w wieku produkcyjnym na grypę zapada 1,8-2,3 mln rocznie, w tym w szczycie sezonu grypowego 1,1-1,5 mln osób. W okresie od grudnia 2019 r. do marca 2020 r. liczba zachorowań w tej grupie wyniosła 1,1 mln, natomiast od grudnia 2020 r. do 14 lutego 2021 r. zaledwie 0,2 mln. Notowany w Polsce poziom zachorowalności (ok. 5 mln) może powodować od 2,5 tys. do 5 tys. zgonów rocznie. W latach 2016-2019 na szczepienia przeciw grypie zgłaszało się 2-3% mieszkańców Polski, natomiast w pierwszym półroczu 2020 r., w związku z początkiem pandemii COVID-19, zaszczepiło się zaledwie 0,1% populacji kraju. Od jesieni 2020 r., z obawy przed groźbą jednoczesnego zachorowania na grypę i COVID-19, utrzymuje się w Polsce znaczny wzrost zainteresowania szczepieniami przeciw grypie.

Źródło: Wpływ grypy na społeczeństwo i gospodarkę kraju (<https://pracodawcy.rp.pl>)

takim jak: zapalenie płuc, zapalenie mięśnia sercowego, zawały, udary. Zmniejsza też ryzyko pobytu w szpitalach. Poprawia odpowiedź immunologiczną organizmu na inne wirusy, w tym na SARS-CoV2.

Farmaceuci do strzykawek

– Zamówionych zostało 4,5 mln szczepionek, zdecydowanie więcej niż w poprzednich latach. Dla porównania w 2019 r. było to 1,2 mln sztuk, a 120 tys. trafiło do utylizacji, bo nie było zainteresowania – tłumaczy Tomków. – Liczymy, że w tym roku zwiększy się wyszczepialność, bo wcześniej byliśmy na szarym końcu Europy, osiągając poziom 4% zaszczepionej populacji. Poza tym nowelizacja prawa uprawniająca

farmaceutów w aptekach do kwalifikowania do szczepień i szczepienia z pewnością zachęci pacjentów do szczepień – konkluduje Marek Tomków.

Chodzi o rządowy projekt noweli ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej i ustawy Prawo farmaceutyczne. Zyskał on kilka dni temu akceptację Sejmu, a wyniki głosowania pozwalają przypuszczać, że Senat również nie będzie miał nic przeciwko zaproponowanym zmianom. Idąc dalej, prezydent je podpisze. Zatem kwalifikować do szczepień będą mogli felczer, pielęgniarka, farmaceuta i ratownik medyczny.

O wprowadzenie tego rozwiązania farmaceuci wspólnie z Ogólnopolskim Programem Zwalczania Grypy apelowali od dawna, argumentując,

że szczepienia przeciw grypie w aptekach ułatwią pacjentom dostęp do szczepień dzięki skróceniu ścieżki lekarz-apтека-lekarz.

Wielokrotnie apelowała o to m.in. prof. Lidia Brydak, kierownik Zakładu Badania Wirusów Grypy w NIZP-PZH, kierownik Krajowego Ośrodka ds. Grypy. Takie szczepienia sprawdziły się na Zachodzie, np. w Anglii czy Holandii. Dlaczego zatem wszystkie szczepienia, a zwłaszcza te przeciw grypie osób dorosłych, nie mogłyby być wykonywane przez odpowiednio przeszkolonych farmaceutów, w aptekach spełniających warunki lokalowe? Może więc taka możliwość podniesie niżej procent zaszczepionych pracowników ochrony zdrowia, który według danych ECDC kształtuje się na poziomie 6,4%?

Dzięki szczepieniu w apteczkę pacjent nie będzie czekał na konsultację z lekarzem rodzinnym. Po wypisaniu recepty na szczepionkę pojedzie do apteki. Do tej pory, aby się zaszczepić, szczepionkę musiał dostarczyć do lekarza. W jakich warunkach ją transportował? Czy nie przerywał łańcucha chłodniczego? O to nikt nie pytał. Zdecydowanie więc szczepienie w apteczkę może zwiększyć liczbę zaszczepionych. Tym samym będzie mniej powikłań pogrypowych, spadną też koszty ponoszone przy ich leczeniu, będzie mniej zgonów.

W sytuacji, gdy w Polsce mamy mało lekarzy i są przepracowani, pomoc farmaceutów jest jak najbardziej wskazana. Absolwenci wydziałów farmaceutycznych są dobrze wyszkoleni, mają wiedzę na temat mechanizmów działania leków i ich metabolizmu w organizmie. Jeśli zostaną dodatkowo przeszkoleni w zakresie procedur związanych ze szczepieniem, będą pomocni.

W sezonie grypowym 2020-2021 odnotowano w Polsce ok. 1,78 mln zachorowań. We wcześniejszym sezonie zachorowało 4,85 mln osób. Spadek jest efektem pandemii koronawirusa. Ograniczono wówczas liczbę badań nad grypą, ale też maseczki antycovidowe i lockdown zmniejszyły transmisję wirusa.

Warto się szczepić, bo jak podkreślają eksperci, osoby zaszczepione przeciw grypie łagodniej przechodzą także COVID-19.

Jakub Dymek

W Sądzie Rejonowym Szczecin Prawobrzeże-Zachód 10 września rozpoczął się proces youtubera Łukasza W. Oskarżony – znany w internetowych wcieleniach jako Kamerzysta i Kamuś – odpowie wraz z dwójką innych osób za psychiczne i fizyczne znęcanie się nad osobą z niepełnosprawnością intelektualną. Na nagraniu pod tytułem „Jak daleko posunie się za pieniądze?” autorzy kanału Kamusia w serwisie YouTube, którzy wówczas cieszyli się ponad milionem obserwujących, zmuszali do niebezpiecznych i upokarzających czynności 18-letniego chłopaka, wychowanka placówki opiekuńczej, jak wkrótce się okazało. Nie było to nagranie przypadkowe, ukryta kamera czy kawał, który wymknął się spod kontroli. Upokorzenie bohatera filmiku było zaplanowane i realizowane świadomie. W ciągu kilku godzin nagranie nabiło setki tysięcy kliknięć – po to, żeby nabijać kliknięcia i „robić zasięgi”, przecież je stworzono.

W tym momencie trzeba odpowiedzieć na przynajmniej kilka pytań, z których „jaka kara może spotkać oskarżonych?” wcale nie jest najważniejsze. Jak to było możliwe? Dlaczego ten rodzaj sadystycznej rozrywki jest w Polsce popularny? I dlaczego YouTube przyciąga tego rodzaju filmy i widownie?

Z takich można się pośmiać

Nagranie, które stało się powodem prokuratorskiego oskarżenia, pojawiło się na YouTube 9 kwietnia. Nie warto obszernie opisywać jego treści, a oryginalny materiał zniknął już z sieci. Wystarczy jednak parę cytatów z opisującego tamtą sprawę na bieżąco tekstów Adama Zadwornego ze szczecińskiej „Gazety Wyborczej”, żeby zrozumieć naturę pomysłu Kamerzysty i spółki. „Na filmie, który wywołał falę oburzenia i śledztwo, widać, jak młody mężczyzna – zachęcany przez swoich oprawców pieniądze – je ziemię, skacze do kontenera na śmieci, rozbija sobie na głowie cegły, nabijając sobie dużego guza. Półnagi, cały w błocie i brudzie, wchodzi do jednego z dyskontów. W kulminacyjnym momencie – nakręconym w przestronnym salonie



W szczycie popularności Kamerzysty zebrał łącznie 3,3 mln obserwujących.

Usieciowiony sadyzm

Na platformach wideo można się znęcać nad osobą z niepełnosprawnością albo bić własną babcią. I jeszcze na tym zarobić

– uczestnicząca w nagraniu dziewczyna poleca, by chłopak zjadł kocie odchody znajdujące się w kuwecie. Chłopak robi to, po czym dostaje polecenie, by pocałował nieświadomą niczego przypadkową dziewczynę.

których twórcy pokazują, zachęcają lub dopuszczają się patologicznych zachowań – stąd „pato” – dla widowni, która im za to płaci. Podczas pato streamów dochodziło już do bicia członków rodziny (w tym okładania podeszłej wiekiem babci kulami ortopedycznymi), namawiania nieletnich do rozbierania się przed kamerą, upijania

siebie i innych do nieprzytomności, wymiotowania i oddawania moczu na podłogę. Dlaczego patoyoutuberzy i streamerzy to nagrywają? Bo mogą, bo są na to widzowie i bo się to opłaca.

Główną rolę w patotreściach gra alkohol.

– Czy ty zawsze musisz przyprowadzać niedorozwiniętych ludzi? – pyta swojego kompana Kamerzysty.

– Tacy są najlepsi, można się z nich pośmiać – odpowiada Barber z fioletowymi włosami. – Stary, on za 200 zł zje gówno świń”.

Ewentualny wyrok skazujący szczecińskiego sądu może być dla youtube'owej branży szokiem, bo kanał Kamerzysty miał idącą w miliony widownię. Ten film nie był pionierski. Kwieciowe nagranie wpisywało się w już istniejący i popularny nurt patoyoutuberstwa i patostreamów. Czyli filmów i transmisji na żywo,

Lajki, donejty i procenty

Widownia ogląda patostreamy dla „dymów”, czyli awantur, a nie dlatego, że ich autorzy znani są z ciekawych spostrzeżeń. Główną rolę w patotreściach gra alkohol. To, co robią i jak daleko posuną się pijani bohaterowie filmów, motywuje do

oglądania. Ale alkohol jest też potrzebny samym twórcom, by przekraczać granice – swoje i cudze. Czasami jest jedyną „atrakcją” nagrania – gdy poza piciem i przeklinaniem nic się na nim nie dzieje – a czasami tylko elementem bardziej skomplikowanego scenariusza. Do tego jeszcze wrócimy.

Awantury, przemoc, poniżanie lub zwyczajne wystawianie na publiczny ogląd i pośmiewisko ludzi ubogich lub chorych służy do utrzymania przed ekranem ciekawskich spojrzeń. Im więcej galek ocznych i czasu spędzonego przed ekranem, tym większa szansa, że ktoś przeleje „donejt” – czyli napiwek – albo zasponsoruje kolejne dymy. Dobrze widoczny numer konta, dane do przelewu albo link do płatności są tak samo, albo nawet bardziej, istotnym elementem patotreści jak awantura.

Co nie bez znaczenia, adresatami patotreści w serwisach wideo i na platformach streamingowych – czyli transmisji na żywo – są dzieci i młodzież. Zrealizowane przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę i Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich badanie z 2019 r. pokazało, że 37% nastolatków zetknęło się z patotreściami. Nawet jeśli tylko część z nich deklaruje, że nagrania im się podobają i dzielą się nimi ze znajomymi, to i tak mowa o setkach tysięcy widzów i liczącej miliony młodych ludzi grupie docelowej. Dużo bardziej precyzyjne liczby mają same platformy cyfrowe, ale z oczywistych powodów nie pochwalą się nimi.

YouTube ogłaszał walkę z patotreściami już w 2018 r. Jeśli był jakiś sukces tej kampanii, to było nim wypchnięcie najbardziej znanych i kontrowersyjnych autorów na serwisy mniej znane (i jeszcze mniej kontrolowane). Ale patoyoutuberzy wracają, znajdują nowe formuły i przeciskają się przez sito regulaminów. Nawet bardzo przychylny dla YouTube’a artykuł w portalu naTemat z 2018 r. wyliczał znane kanały, które nic sobie nie robią z walki z patotreściami. „Daniel Magical dalej sobie świetnie radzi. To od niego zaczął się patostreaming. Chłopak nie został jeszcze zdjęty z platformy, bo nie narusza Wytycznych dla społeczności. Gdy ktoś pije wódkę, bije się z innymi i przeklina – nie przekreśla to z kanału. Może być za to

oznaczony jako tylko dla dorosłych”, przypominał w swoim tekście Bartosz Godziński. „Daniel zdaje sobie z tego sprawę i choć jego transmisje nie należą do najambitniejszych, nikogo już nie obrażają. (...) Nawet dziś w karcie na czasie jest stream z jego udziałem”.

I choć Daniel długo sobie na YouTube świetnie radził, ostatecznie jego karierę przerwał dopiero wyrok sądu. Patostreamer tylko do 2019 r. doczekał się trzech procesów karnych – za pobicie, publiczne pochwalanie przestępstwa i nakłanianie

do składania fałszywych zeznań. Sąd, skazując go za to ostatnie, nakazał znalezienie normalnej pracy zarobkowej i zakazał udostępniania jakichkolwiek materiałów w sieci, gdzie pojawiałyby się alkohol, przemoc lub wulgaryzmy. „A piwo, wysoki sędzie? To już niczego nie mogę nagrywać?”, dociekał skazany.

Za ile warto

Nie wszystkie patotreści są tak samo okrutne. Ale w Polsce nie jeden Kamerzysta wpadł na pomysł ▶

WYDANIE NA
4K ULTRA HD™ I BLU-RAY™

ŚRÓDZIEMIE™

31 DYSKÓW - KOMPLETNA KOLEKCJA

HOBBIT™ | WŁADCA PIERŚCIENI™

KINOWA I ROZSZERZONA WERSJA
HOBBIT - NIEZWYKŁA PODRÓŻ™ • PUSTKOWIE SMAUGA™ • BITWA PIĘCIU ARMII™
WŁADCA PIERŚCIENI - DRUŻYNA PIERŚCIENIA™ • DWIE WEŻE™ • POWRÓT KRÓLA™

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja

► wykorzystywania w swoich produkcjach osób bezdomnych, uzależnionych od alkoholu czy niesamodzielnych. Jesienią 2021 r., czyli kiedy proces Kamerzysty był już w toku, karierę zrobił film o „weselu bezdomnych w pałacu”. Autor wpadł na pomysł, że wynajmie salę weselną z obsługą

Czasami ktoś zbiera w ten sposób na wódkę, czasami sprofesjonalizowani streamerzy mają z tego drugą pensję. Nikt chyba do tej pory nie opracował w szczegółach szacunków na temat zarobków gwiazd tego nurtu. W 2019 r. na stronach „Gazety Wyborczej” Sylwia Czubkowska pisała, że Daniel Magical – ten kilkukrotnie

i podkreśla, że dba o bezpieczeństwo swoich widzów. W szczycie popularności Kamerzysty zebrał łącznie 3,3 mln (!) obserwujących. Powtórzymy, 3,3 mln na dwóch tylko kontach, ok. 10% populacji Polski.

Autor filmu „Jak daleko się posunie?” szedł prosto drogą, jaką podsunęły mu algorytmy – każdy kolejny eksces musi być mocniejszy niż poprzedni, bo od tego zależy utrzymanie widzów. Platformy cyfrowe wynagradzają zaangażowanie, więc nawet jeśli

ludzie oglądają film tylko po to, by wyrazić szok, oburzenie czy niesmak – to *per saldo* jest to korzyść dla obu stron tej działalności, platformy i twórcy. Algorytmu nie obchodzi to, co robisz na kanale, ale ile zainteresowania – a więc i zysku dla platformy i reklamodawców – tworzysz.

Dobrze widoczny numer konta, dane do przelewu albo link do płatności są tak samo istotnym elementem patotreści jak awantura.

w pałacowych wnętrzach, wyda na to kilkadziesiąt tysięcy złotych, a na imprezę zaprosi bezdomnych. Całość miała być kuriozalnym skrzyżowaniem działalności charytatywnej z kręconym na żywo eksperymencem na żywych ludziach, którym udostępniono alkohol i smaczne posiłki w zamian za możliwość nagrywania ich upojenia, niezręczności i nieuniknionej awantury z obsługą.

Film wywołał oburzenie, oburzenie przyciągnęło odbiorców, YouTube zareagował tak, że mogą go oglądać pełnoletni widzowie. Dziś jest ich 441 tys. – tyle wyświetleń odnotował film do połowy października. Po miesiącu autor nagrania wrócił do swoich bohaterów – na nagraniu widać, jak pije z nimi alkohol, a ludzie bełkotliwie błagają o kolejne pieniądze. Pierwszy komentarz pod filmem od widza: „Dzięki tym filmom zrozumiałem, że nie warto takim ludziom pomagać”. Ten film nie ma już ograniczeń wiekowych i każdy może zajrzeć w życie „młodej pary”. Numer konta autora nagrania jest bardzo dobrze widoczny.

Czy patostreamerzy i patoyoutuberzy zarabiają krocie? Nie zawsze.

skazany – mógł zarabiać nawet 15 tys. miesięcznie. Wiemy na pewno tyle, że komornik kazał zająć m.in. jego wart 6 tys. zł telewizor i konsolę Playstation, które Daniel kupił sobie z wpłat od fanów. Kamerzysta to jeszcze inna liga, bo jego idące w miliony liczby wyświetleń

Adresatami patotreści w serwisach wideo i na platformach streamingowych są dzieci i młodzież

same z siebie generowały imponujące zyski reklamowe, a to i tak było jedno z kilku źródeł jego dochodu. Zdążył też nagrać płytę, pokazać się na galach walki w oktagonie i przewinąć przez pół tuzina innych patocielebryckich przedsięwzięć. Patotreści zaczęły się w Polsce na YouTube i platformach streamingowych, ale urosły do rangi branży samej w sobie.

Więcej, mocniej, szybciej

Przypadek Kamerzysty i jego współników nie jest jednak wyłącznie historią ludzkiego okrucieństwa i sadyzmu połączonych z parciem na szkło. Patostreamerzy są produktem modelu biznesowego platform cyfrowych, które wynagradzają kontrowersję, oburzenie i skandal. Kamerzysta robił to, co robił, dlatego że mógł na tym zarabiać. Nie tylko w postaci waluty popularności, lajków i szerów, ale w czysto monetarnych kategoriach. A platformy cyfrowe dały mu taką możliwość, zapewniając bezpośredni dopływ gotówki zarówno od reklamodawców, jak i przelewających mu pieniądze nieletnich fanów. Dziś YouTube oczywiście odcina się od Łukasza W.

Sięgnięcie po oszustwo, przemoc, upokarzanie innych i sadyzm nie są więc wypadkiem przy pracy czy „błędem w systemie”. Przeciwnie, to co robił Kamerzysta, jest w prostej linii konsekwencją tego, do czego prowadzi logika platform cyfrowych.

Wiemy to także dlatego, że sam oskarżony dziś Łukasz W. – jak donoszą media – próbował w życiu różnych oszustw: współpracował z celebrytą od wybielania zębów Piotrem Kaszubskim, miał też podobno rozdawać fałszywe kupony zniżkowe do McDonalda, które tak naprawdę służyły SMS-owym wyłudzeniom. Jednak według relacji jego znajomych świadomie wybrał streaming, youtuberstwo i internetowe celebrytstwo, bo ze wszystkich szemranych pomysłów ten wydał się najbardziej opłacalny.

Można bardzo wiele krytycznych rzeczy powiedzieć o tradycyjnych mediach, ale żadne z nich nie stworzyło jeszcze możliwości monetyzowania tortur i usieciowionego sadyzmu. Konta naśladowców Łukasza W. nadal zarabiają pieniądze dla tych samych platform, nawet jeśli on siedzi dziś w areszcie.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Wubiegłym tygodniu byliśmy świadkami ekscesów autorstwa politycznych i profesorskich elit. Nawet nie wiem, czy uda mi się je wszystkie choćby w skrócie wymienić. Obejrzelśmy coś jakby benefis polskiej próżności, bylejakości, zadufania i nieuctwa w wykonaniu najważniejszych osób w państwie i ich politycznych adwersarzy. W przeciwieństwie do wyników konkursu chopinowskiego, których wedle słów prezydenta Dudy „nie kwestionuje nikt”, w moim konkursie nie wiadomo, kto jest niekwestionowanym zwycięzcą. Andrzej Duda z werdyktem się zgadza, choć wyznał bez skrępowania, że zwycięzczy nie słyszał.

W wyścigu bierze zatem udział Andrzej Duda, który uczy się wprowadzić cały czas, ale wciąż nie dał rady przyswoić sobie dość podstawowej zasady, że jeśli na czymś się nie zna, nie brało się udziału, nie słyszało – to może lepiej zamilczeć. „Nie znam się, ale się wypowiem”, to jednak nieusuwalna praktyka nie tylko tego polityka. Otrzymaliśmy więc z ust prezydenta wyznaczenie: „Bardzo jesteście dumni

w twitterowej potyczce (ta forma sporu trafiła już do teorii retorycznej pod nazwą „mataczki”) z liderem Razem Adrianem Zandbergiem. I tak Matczak jednym tchem zapewnia, że nikt go nie zmuszał do pracy po kilkanaście godzin na dobę, i na tym samym oddechu dodaje, że zmusili go bolszewicy, bo on musiał po nich Polskę naprawiać. Matczak wyznaje szczerze, że chciał jak najlepszego życia dla siebie i swoich najbliższych, i natychmiast serwuje dobre rady dla lewicy, która chce przyzwoitego, niesięgającego Matczakowych wyżyn, poziomu życia. Matczak uważa kpinę za agresję, chyba że to on kpi. Matczak – podobnie jak Molierowski pan Jourdain, nie wiedział, że mówi prozą – nie ma pojęcia, że mówi bełkotliwymi bon motami neoliberalnej nowomowy. Jest tak zachwycony własną frazą i tembrzem retorycznych szpil, że nie zauważa, kiedy został memem. Dobrze, że Polskę po Matczaku będą budować ludzie, którzy oprócz godziwej pracy i płacy chcą mieć inne życie, o które zresztą przyjdzie im ciężko zawalczyć, bo świat, który zostawia im kapitalizm, „szesnastogodzinnychsiedemdniowygodniu”

Labolatoria, Chopin, Pinokio, NadMatczak

z tego, że Chopin był Polakiem, że pochodził z naszego kraju, że stąpał po tej ziemi, także po Warszawie”. Prezydent pokusił się też o zwizualizowanie muzycznych dokonań polskiego kompozytora: „Słyszymy w tej muzyce po prostu Polskę. Kiedy słyszymy tę muzykę, widzimy płynącą Wisłę, widzimy pochylone wierzyby, widzimy pola, krajobrazy tak charakterystyczne dla naszego kraju”. Ale nagle Duda dokonał niebezpiecznego kosmopolitycznego zwrotu: „Tak naprawdę – Chopin jest Polakiem, ale jego muzyka nie jest dzisiaj muzyką polską. Popatrzcie państwo – młodzi artyści z całego świata. Jestem przekonany, że każdy z nich słyszy w tej muzyce swoje. I oddaje, grając swoje, interpretując wspólnie utwory Chopina. Dzisiaj być może pobrzmiewa w nich rozszalały ocean, na którym żeglarze walczą o przetrwanie swojej łodzi; być może wysokie szczyty gdzieś w dalekich górach; szumi wiatr w drzewach, których w Polsce nie ma...”. I wszystko to bez słuchania. Rozmach interpretacyjny zachwyca albo i poraża.

W swoim krasomówczym maratonie trudu retorycznego ani na chwilę nie ustaje zasłużony obrońca konstytucji, prof. Marcin „tata Maty” Matczak, którego z intensywnością radzieckich katusz drukuje „Gazeta Wyborcza” częściej niż teksty wszystkich naczelnych tego periodyku razem wziętych. W ostatnich dniach prof. Matczak zasypuje nas fajerwerkami swojego kunsztu w temacie kultu 16-godzinnego dnia pracy, który przyniósł mu karierę profesorską i pozycję współnika w kancelarii prawniczej, pozwalając zachować dobre relacje z żoną i synem. Apologia ciężkiego zapierdolu, nieznanego późniejszym pokoleniom, wciągnęła profesora w ferwor szafowania samosprzecznymi argumentami

Matczaków, jest na granicy zagłady. Nie wiem, czy jest mi przykro, kiedy patrzę, jak kompleksy profesora, który w dzieciństwie „kopał studnie, nosił worki ze żwirem, ładował obornik ze stajni na przyczepę, wstawał o trzeciej nad ranem, żeby ściąć pieczarki, zanim przerosną i stracą na wartości”, nie pozwalają mu zdjąć końskich okularów własnej, skrajnie uprzywilejowanej pozycji. Nie można tyle wymagać, w końcu jest tylko profesorem, a jeśli jego przykład jest ilustracją jakiejś nadprzeciętności, to trzymajmy się od niej jak najdalej.

Inny as polskiej elity politycznej, premier Mateusz Morawiecki, podczas swojego tyle brawurowego, ile buńczucznego wystąpienia w Parlamencie Europejskim, na oczach całej Europy otrzymał wsparcie wyłącznie ze strony skrajnych faszystujących środowisk oraz figurkę Pino-kia, kłamczuszka nad kłamczuszkami. Ale zniósł to godnie. Za te i przede wszystkim za przyszłe pieniądze? Można, warto. Dość fałszywego wstydu.

Podobnie jak nie zawstydzi nic kolejnego profesora bez kompetencji, ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka, który z niezmaczonym zachwytem samym sobą i swojego przekazu prezentował założenia fundamentalistycznej ofensywy paraedukacyjnej, mając za plecami planszę prezentującą „Labolatoria przyszłości”. Labolatoria. Zaraz się dowiemy, że za błąd wyrzucono stażystkę, a minister nie ma za co przeproszać.

O Sikorskim, Kempie i Pawłowicz już nie mam siły perorować. Idźcie już spać i nie mówcie nawet przez sen.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Egzorcysta zamiast psychiatriy?

Co miesiąc 70 dzieci próbuje popełnić samobójstwo, tymczasem Ministerstwo Zdrowia unieważniło konkurs na telefon zaufania

Anna Stachowiak

Setki tysięcy dzieci wymagają pomocy psychiatrycznej, tymczasem w Polsce brakuje co najmniej 300 lekarzy tej specjalności. Kolejni składają wypowiedzenia. Nie ma kto leczyć, a liczba samobójstw wśród najmłodszych wciąż rośnie. Mamy zapaść.

Pandemia pogłębiła problemy psychiczne wśród dzieci i młodzieży. Coraz więcej najmłodszych próbuje odebrać sobie życie. Coraz częściej – skutecznie. Tymczasem psychiatria dziecięca od lat przeżywa kryzys. Jego tragicznie jaskrawym przykładem jest sytuacja w warszawskim Instytucie Psychiatrii i Neurologii. Z końcem września wypowiedzenia złożyło tam pięciu z sześciu psychiatrów z Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży.

107 śmierci

Sytuacja w warszawskim instytucie to tylko wycinek rzeczywistości, który doskonale obrazuje sytuację: było źle, jest tragicznie. Weźmy liczby: z ubiegłorocznego raportu Najwyższej Izby Kontroli wynika, że w latach 2017-2019 wsparcia psychiatrycznego lub psychologicznego wymagało 630 tys. dzieci i młodzieży – niemal co dziesiąty młody człowiek poniżej 18. roku życia. Co najmniej, bo statystyki zawsze są zaniżone. Tymczasem w połowie polskich szkół nie ma nawet psychologa, który byłby w stanie rozpoznać kryzys psychiczny u dziecka. Dalej – miesięcznie 70 dzieci próbuje popełnić samobójstwo. Specjaliści podkreślają, że w Polsce liczba dzieci wymagających większej opieki nie odbiega od reszty Europy, jednak znacznie różni się sposób jej realizowania.

Rośnie liczba prób samobójczych. I rośnie ich skuteczność. W 2017 r. próbowało się zabić 730 dzieci. W 2018 r. – 772.



W latach 2017-2019 próbowało odebrać sobie życie 1987 dzieci.

W pierwszym półroczu 2019 r. – aż 485. W latach 2017-2019 próbowało odebrać sobie życie 1987 dzieci. Zmarło 250. W 2020 r. życie odebrało sobie w Polsce 107 dzieci i nastolatków, rok wcześniej – 98.

W 585 przypadkach przyczyną zamachów samobójczych była choroba psychiczna, a w 374 – zaburzenia psychiczne. Tylko czy to ma znaczenie?

Ważne, że nie udało im się pomóc. A nie udało się, bo nie ma systemu wczesnego reagowania ani wystarczającej liczby specjalistów. Wnioski z raportu NIK są druzgocące.

W marcu 2019 r. jako psychiatry dzieci i młodzieży pracowało 419 lekarzy; 169 było w trakcie specjalizacji. Według krajowego konsultanta w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży brakowało minimum 300 lekarzy tej specjalności. Jedna trzecia lekarzy miała powyżej 55 lat,

co NIK wskazywała jako „niekorzystną strukturę wiekową kadry”. Problem jest systemowy: choć psychiatria dzieci i młodzieży została wpisana przez ministra zdrowia na listę specjalności priorytetowych, udało się obsadzić zaledwie 39 ze 161 miejsc szkoleniowych.

Co gorsza, choć lekarzy tej specjalności brakuje wszędzie, są miejsca, gdzie te braki są szczególnie dotkliwe. Z raportu NIK wynika, że najgorzej jest w województwach lubuskim i podkarpackim, a stosunkowo lesza sytuacja jest w województwie łódzkim. W pięciu województwach nie funkcjonował żaden dzienny oddział psychiatryczny, a w województwie podlaskim brakowało oddziału całonocowego.

Dane gromadzi też Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce. Wynika z nich, że prawie 31% nastolatków uważa, że w pandemii ich nastrój się pogorszył. 9,2% przyznało, że się

okaleczało, a 4,4% podczas lockdownu robiło to częściej niż przed pandemią. Z tych danych wynika również, że w pierwszym okresie pandemii 2,9% respondentów w wieku 15-17 lat próbowało popełnić samobójstwo. Gorzej czuły się dziewczyny, to one częściej skarżyły się na obniżone samopoczucie.

Nie ma miejsc, nie ma lekarzy

Warszawa jest emblematyczna. Oddział dziecięcej psychiatrii, który działał w IPiN, był jedyny w mieście. Miejsc było 28 – tyle jest łóżek – ale pacjentów i pacjentek, jak podawała „Gazeta Wyborcza”, było ponad 40. To tutaj trafiały dzieci po próbach samobójczych, z zastrzeniami psychotycznym czy z zaburzeniami spektrum autyzmu. Gdzie trafią teraz? Lekarzy już nie ma. Złożyli wypowiedzenia. Powodem ich decyzji miał być brak kompromisu w negocjach z dyrekcją. Poszło głównie o pieniądze. Radio TOK FM informowało, że psychiatrzy oczekiwali podwyżki ich wynagrodzeń w dwóch transzach po 1000 zł brutto.

Ta propozycja została odrzucona. Szefowa kliniki, prof. Barbara Rembek, konsultantka krajowa ds. psychiatrii wieku rozwojowego, mówi, że choć decyzja lekarzy oznacza *de facto* koniec opieki psychiatrycznej dla dzieci na Mazowszu, to rozumie ich postępowanie. „Poświęcenie ma swoje granice. (...) Wiem, jak trudne to dla nich decyzje. Liczę, że uda się znaleźć wyjście z tej sytuacji i zagwarantować lekarzom godne warunki pracy. Tak, by nie musieli szukać dodatkowego zatrudnienia w innych szpitalach lub prywatnych poradniach i mogli zająć się wyłącznie pacjentami kliniki”.

120 dni oczekiwania

Eksperti mówią o „stomatologizacji” psychiatrii. To oznacza, że lekarze, owszem, są – ale prywatnie. Tyle że nie wszystkich na taką wizytę stać. Tymczasem to decyzja, która często oznacza życie lub śmierć, bo w sytuacji kryzysu psychicznego u dziecka czekać nie można, trzeba działać natychmiast. A na wizytę z NFZ długo się czeka. Z cytowanego już raportu NIK wynika, że z roku na rok rośnie liczba pacjentów

oczekujących na leczenie: w 2017 r. były to, w skontrolowanych poradniach, średnio 564 osoby, w 2018 r. 661 osób, a w 2019 r. – 1036. Średni czas oczekiwania na wizytę wydłużył się z ponad 44 dni w 2017 r. do 56 w roku 2019 r. W jednej z poradni średni czas oczekiwania wynosił aż 120 dni.

Dobrze podsumował tę sytuację Jakub Kosikowski, lekarz onkolog. „Odejść do sektora prywatnego, zarabiać kilka razy tyle, lecząc mniej skomplikowane przypadki. To jest paradoks polskiej ochrony zdrowia. Na Zachodzie najbardziej elitarne specjalizacje, osoby prowadzące najtrudniejsze terapie i zabiegi, zarabiają najwięcej. U nas najmniej. Więc odchodzą”, napisał na Twitterze.

„(...) płaca jest za niska, odpowiedzialność NIEWYOBRAŻALNA. (...) Autorytety wzywają »bierzcie dyżury dla idei, by utrzymać ten oddział«. Mechanizm dla idei nie naprawi mojego samochodu. Pani w sklepie dla idei nie sprzeda mi jedzenia, a bez jedzenia umrę. Bez specjalistów zdrowia psychicznego, dobrze opłacanych, będą umierać dzieciaki. Ale

Samobójstwa są drugą przyczyną śmierci dzieci i młodzieży. Stanowią 30% zgonów małoletnich.

kogo to obchodzi?”, napisała z kolei w mediach społecznościowych Maja Herman, specjalistka psychiatrii z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Temat kryzysu psychiatrii dzieci i młodzieży podjęli także lekarze w Białym Miasteczku pod KPRM. 13 września był dniem poświęconym właśnie temu zagadnieniu.

– Psychiatria jest najjaskrawszym przykładem tego, jak jest źle. Dla psychiatrii dziecięcej to hasło („Nie ma medyków, nie ma leczenia”) jest w stu procentach prawdziwe i aktualne, bo w tej chwili w Polsce nie ma lekarzy dla dzieci i młodzieży. Cztery lata temu Porozumienie było na głodówce i mimo że problem wybrzmiał, do dziś punkty nie zostały zrealizowane. Dziś znowu spotykamy się po to, żeby porozmawiać o tym, co należy poprawić w psychiatrii – mówił Piotr Pisula z Porozumienia Rezydentów.

W podobnym tonie wypowiedziała się Anna Bazydło, która jest w trakcie specjalizacji z psychiatrii dorosłych. – Jedną z głównych przyczyn śmierci w Polsce są samobójstwa, a wśród dzieci i młodzieży to druga przyczyna, ponieważ stanowią 30% wszystkich zgonów małoletnich w Polsce, i to jest dramat.

Mimo planowanej – i wdrażanej – reformy, w połowie szkół nie ma nawet poradni psychologicznej. Na wizytę u psychiatry trzeba długo czekać. Dzieci i ich rodzice są zostawieni sami sobie. A to – dosłownie – śmiertelnie niebezpiecznie.

Telefon zaufania poprowadzi ksiądz

Przemoc instytucjonalna wobec dzieci jest faktem. Podczas gdy minister edukacji na doniesienia o wzrastającym stresie uczniów i uczennic reaguje jowialnym *take it easy*, Ministerstwo Zdrowia zaprzestaje finansowania telefonu zaufania dla dzieci. Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich poinformowało niedawno, że ministerstwo unieważniło konkurs na wybór realizatorów zadania „Centra

Wsparcia dla dzieci i młodzieży oraz dla osób dorosłych w kryzysie psychicznym” w 2021 r.

Taki telefon od 2008 r. prowadzi Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę (dawniej Fundacja Dzieci Niczyje). Prowadzi skutecznie: od początku jego działania specjaliści fundacji odebrali ponad milion telefonów od młodych ludzi. W porozumieniu z policją podjęto 754 interwencje w sprawie dzieci, których życiu zagrażało niebezpieczeństwo.

Zasady konkursu już raz zmieniono – w 2016 r., fundacja nie dostała wtedy dofinansowania na rok 2017. W efekcie musiała ograniczyć działalność i mogła pomóc mniejszej liczbie dzieci. A to było śmiertelnym zagrożeniem. Bo do fundacji dzwonią dzieci, które nie chcą pogadać o serialu czy kreskówce, dzwonią te, które wymagają pilnej pomocy.

W tym roku konkurs na prowadzenie telefonu zaufania dla dzieci

► i młodzieży znowu został unieważniony. Minister Adam Niedzielski tłumaczył: „W ramach postępowania nie został spełniony jeden z warunków, który był ważny. Czym prędzej będziemy starali się tę infolinię czy telefon zaufania dla dzieci i młodzieży zorganizować”. Z kolei rzecznik prasowy resortu mówił w TVN 24:

od decyzji się odwołała, jednak 1 października otrzymała informację, że odwołanie zostało rozpatrzone negatywnie.

Nowy rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek napisał, że decyzja o anulowaniu konkursu budzi wątpliwości, tym bardziej że komisja konkursowa przyznała ofercie Fundacji

zdaniem resortu zdrowia wyjaśnienia nam się nie należą”, poinformowała w komunikacie.

Za to całodobowy telefon zaufania – o numerze 800 800 605 – uruchomiło Ministerstwo Edukacji, które – bez konkursu – przyznało dofinansowanie fundacji Auxilium. Przemysław Czarnek przeznaczył na ten cel 170 tys. zł, a telefon ma na razie działać przez dwa miesiące. Telefonem zaufania będzie się opiekował ks. Józef Partyka, z wykształcenia psycholog, z zamiłowania egzorcysta.

Wszystko to dzieje się w kraju, w którym od początku pandemii nikt z rządu nie zwrócił się bezpośrednio do uczniów i uczennic, nie wytłumaczył im, co się dzieje, nie zapewnił o tym, że ktoś nad nimi czuwa – jak to było w Nowej Zelandii, Finlandii czy Danii. W tym samym kraju, w którym toruńska nauczycielka, która na lekcji poruszyła temat depresji, została zawieszona w obowiązkach.

Anna Stachowiak

Choć komisja konkursowa przyznała ofercie Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę prawie maksymalną liczbę punktów, nie dostała ona dofinansowania.

„Tu chodzi o uruchomienie telefonu, a nie wsparcie jednej czy drugiej fundacji”. Zapewniał przy okazji, że wkrótce „ten telefon ruszy”.

Ministerstwo oferty analizowało dogłębnie, bo przez prawie pół roku. Po tej wnikliwej analizie uznało, że Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, która telefon pod numerem 116 111 prowadzi od kilkunastu lat, kompetencji jednak nie ma. Fundacja

Dajemy Dzieciom Siłę prawie maksymalną liczbę punktów, a prowadzony przez nią telefon zaufania jest dużym wsparciem dla młodzieży, szczególnie w czasie pandemii.

Do sprawy odniosła się też Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. „Podobnie jak sam konkurs został odwołany bez podania przyczyny, tak w piśmie również trudno szukać jakichkolwiek wyjaśnień. Widocznie



W bieżącym numerze także:

- Ana Elena Correa
Jak uwięziono Belén
- Frédéric Lemaire
Wierzyiele uwielbiają długi
- Tomasz Opaliński
Chłopi w sądach Księstwa Warszawskiego
- Jarosław Pietrzak
Ciała, dzieła, granice
- Florentyna Gust
Wiara i czucie w Wenecji

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

Podatkowe wyzwania

W ustawie wprowadzającej Polski Ład rząd jeszcze bardziej skomplikował przepisy podatkowe

Norbert Kusiak



Wkrótce poznamy ostateczny kształt przepisów podatkowych Polskiego Ładu – największej i najistotniejszej reformy prawa podatkowego ostatnich lat. Rząd zapowiedział w nim historyczną obniżkę podatków, na której ma zyskać 18 mln podatników, w tym prawie 9 mln przestanie płacić podatek PIT. Polski Ład to 14 mld zł więcej w portfelach Polek i Polaków – chwalił się rząd na posiedzeniu Rady Dialogu Społecznego i zapewniał, że niebawem podatki będą sprawiedliwe i prostsze. Czy aby na pewno?

Pracownicy od dawna czekają na fundamentalną zmianę systemu podatkowego, która przybliży nas do standardów obowiązujących w najbogatszych państwach Unii Europejskiej. Stosują one progresywny klin podatkowy, co oznacza, że osoby o wysokich dochodach obciążone są podatkami i składkami w większym stopniu niż osoby nisko zarabiające. System podatkowy w Polsce jest natomiast regresywny, tzn. bardziej obciąża podatników, którzy wykazują niskie dochody. Uprzywilejowuje ponadto osoby prowadzące działalność gospodarczą i pracujące na podstawie umów cywilnoprawnych. Sytuacja ta pogłębia dualizm na rynku pracy. Polski Ład ma ambicje to zmienić. Dlatego rząd zaproponował podniesienie kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł oraz podwyższenie do 120 tys. zł progu dochodów, po przekroczeniu którego ma zastosowanie 32-procentowa stawka podatku. Zmiany te realizują postulaty OPZZ zgłaszane w ciągu ostatnich kilku lat, także w trakcie prac Rady Dialogu Społecznego. Z pewnością stanowią największą wartość dodaną Polskiego Ładu oraz krok w kierunku silniejszej progresji podatkowej.

Warto podkreślić, że kwota wolna jest obecnie zawstydzająco niska. Oczywiście jej wzrost jest rozwiązaniem pożądanym z punktu widzenia dobra ogółu podatników, ale również korzystnym dla państwa. Pozostawienie więcej pieniędzy w portfelach podatników, szczególnie tych o najniższych dochodach, przyczyni się do wzrostu popytu krajowego i zagwarantuje wyższe wpływy do budżetu państwa z tytułu podatków pośrednich. Niestety, nowe rozwiązanie ma też systemowe wady. Polski Ład nie gwarantuje bowiem automatycznej waloryzacji kwoty wolnej i drugiego progu podatkowego, co oznacza, że za kilka lat znikną korzyści z wprowadzenia zmian przyjaznych podatnikom. Jakakolwiek podwyżka wynagrodzenia albo podjęcie przez pracownika dodatkowego zatrudnienia będą powodować wzrost opodatkowania. W tym zakresie nic się nie zmieni – korekta przedziałów skali podatkowej oraz wysokość kwoty wolnej wciąż będą uzależnione wyłącznie od decyzji polityków. W ocenie OPZZ rząd ma jeszcze czas na refleksję i wypracowanie transparentnej formuły waloryzacji w tym zakresie, która złagodzi regresywność systemu podatkowego.

Warto przy tej okazji znacznie zwiększyć wysokość pracowniczych kosztów uzyskania przychodów. Dziś wynoszą one tylko

250 zł miesięcznie i są za niskie w stosunku do wydatków, które ponoszą pracownicy. Dojazdy do pracy, zakup odzieży i posiłków – wszystko to kosztuje coraz więcej, szczególnie przy blisko 6-procentowej inflacji. Niestety, tu także, podobnie jak w wypadku kwoty wolnej, nie przewidziano mechanizmu, który zapewni ich automatyczny wzrost. Szkoda, ponieważ rozwiązanie to promuje umowy o pracę i legalne zatrudnienie.

Słabością Polskiego Ładu jest z pewnością brak spójności w zakresie opodatkowania emerytur. Z jednej strony rząd zachęca Polki i Polaków do nieprzechodzenia na emeryturę zaraz po osiągnięciu wieku emerytalnego, z drugiej zaś karze ich za dłuższą aktywność zawodową. Co prawda, 65% rencistów i emerytów przestanie płacić podatek PIT w związku z podniesieniem kwoty wolnej, ale część emerytów o dochodach wyższych niż 5000 zł zapłaci wyższy podatek. Stanie się tak, ponieważ nie będą oni mogli skorzystać z tzw. ulgi dla klasy średniej. Uwzględniając aktualne problemy rynku pracy, rozwiązanie to nie będzie sprzyjać wydłużaniu aktywności zawodowej, dlatego rząd powinien wycofać się z forsowania tego pomysłu.

Na aprobatę zasługuje z kolei zastosowanie formuły nieodliczanej od podatku składki zdrowotnej. Dziś pracownicy ponoszą większy ciężar ubezpieczenia zdrowotnego, ponieważ składkę odprowadzają proporcjonalnie do swoich dochodów, podczas gdy przedsiębiorcy płacą niższą, zryczałtowaną składkę. Rząd chce to zmienić – wszyscy zapłacą składkę liczoną od dochodu.

Wynoszące 250 zł koszty uzyskania przychodów są za niskie w stosunku do wydatków, które ponoszą pracownicy.

W efekcie zwiększą się nakłady na opiekę zdrowotną, docelowo do 7% PKB. Jest to szczególnie ważne w okresie postpandemicznym. Liczymy na to, że składka w całości trafi do Narodowego Funduszu Zdrowia i że wkrótce zostaną opracowane programy poprawy dostępności do usług medycznych. Bez tego trudno będzie przekonać pracujących i przedsiębiorców do rzetelnego płacenia wyższej składki zdrowotnej.

Analizując ponad 250 stron ustawy wprowadzającej Polski Ład, trudno nie dostrzec, że rząd jeszcze bardziej skomplikował przepisy podatkowe. Już sam algorytm pozwalający skorzystać z ulgi dla klasy średniej stanowi nie lada wyzwanie dla doradców podatkowych i księgowych. A przecież zmniejszenie obciążeń podatkowych obywateli można osiągnąć za pomocą prostszych i skuteczniejszych instrumentów. Wystarczy wprowadzić silniejszą progresję podatkową poprzez ustanowienie nowych stawek i progów podatkowych zamiast budzącego wiele wątpliwości algorytmu. Rząd nie chce jednak skorzystać z dobrych i sprawdzonych praktyk. Wszystko wskazuje więc na to, że w przyszłym roku podatki nie będą prostsze w stosowaniu. Pozostaje mieć nadzieję, że będą choć trochę sprawiedliwsze.

Norbert Kusiak jest dyrektorem Wydziału Polityki Gospodarczej i Funduszy Strukturalnych OPZZ

ŚMIECI WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Po 1 listopada na jednym grobie znajduje się od 3 do 9 kg ozdób

Paula Leśniewska

Trzy, dwa, jeden, start! Zawody na najbardziej kiczowato-bogate przybranie grobu bliskich właśnie się rozpoczęły. Już od początku października w marketach zalegają ogromne palety ze zniczami wszelkiej maści. Kolorowe serca, popękane kule, plastikowe aniołki i róże, tu złoty Jan Paweł II, tam świecąca na niebiesko figurka Jezusa. Bogactwo i przepych, jak to na Wszystkich Świętych i Złoty Tydzień przystało, bo wiadomo – im więcej postawi się na grobie, tym lepiej. Pod tym względem Polacy są ewenementem w Europie. Według szacunków branży w 2018 r. na same znicze Polacy wydali ok. 600-700 mln zł. A po wszystkim zostały góry śmieci, wysypujące się z zawsze za małych kontenerów. Jak wyliczają specjaliści od gospodarowania odpadami, po obchodach dnia Wszystkich Świętych na jednym grobie znajduje się od 3 do 9 kg ozdób, które z reguły trafiają do kosza maksymalnie po kilku miesiącach od zakupu. Jak mówi dr inż. Emilia Den Boer z Katedry Inżynierii Ochrony Środowiska Politechniki Wrocławskiej, zakładając średnią ilość 6 kg ozdób na grób, największe wrocławskie cmentarze, Osobowicki i Grabiszyński, co roku zasilają wysypiska śmieci ponad tysiącem ton odpadów, głównie plastikowych. Większość z nich nie nadaje się do recyklingu. Ba, większość trudno nawet odpowiednio posortować. Dlatego najbardziej ekologiczny jest po prostu umiar.

Niby znicze są szklane, więc wydaje się, że można je wyrzucić do zielonego pojemnika. Niestety, tak nie jest – szklane pojemniki często mają inny skład chemiczny niż butelki i słoiki. Skutek jest taki, że topią się w innej temperaturze, więc nie nadają się do recyklingu. Wiele z nich ma też na stałe przyklejone plastikowe elementy

albo pobrudziły się stearyną – w takich wypadkach znicze powinny wyładować w pojemniku na odpady zmieszane. Podobnie jest ze zużytymi plastikowymi wkładami i zniczami ceramicznymi. Są zbyt brudne, by mogły zostać powtórnie przetworzone. Mimo to, z punktu widzenia ilości śmieci, plastikowe wkłady to lepszy wybór niż ciągłe kupowanie nowych, dużych zniczy. Na cmentarzu Północnym w Warszawie zaczęły nawet działać „zniczodzielnie”, czyli regały, na których można zostawić



Na wielu cmentarzach co roku pojawia się ten sam problem – jeden kontener na wszystkie śmieci.

nieszkodzone znicze bez wkładów. „Kto potrzebuje, dokupi wkład i znicz będzie gotowy do wykorzystania”, reklamuje projekt Urząd Dzielnicy Bielany. „Zniczodzielnie” stoją także m.in. na cmentarzu w Batowicach koło Krakowa i na cmentarzu obok kościoła pw. Trójcy Przenajświętszej w Rudzie Śląskiej-Kochłowicach. Jak jeszcze można ograniczyć zniczowe śmieci?

– Ciekawą opcją są znicze gliniane – mówi Eliza Sobczuk, autorka bloga Pokolenie Zero Waste. – Po ich wypaleniu można po prostu dokupić wosk i knoty i ponownie je zalać. Myślę, że najtrudniejszymi zniczami do reanimacji są te elektroniczne. Ich jakość pozostawia wiele do życzenia, więc gdy przestają działać, naprawa jest

najczęściej niemożliwa. Nie powinno się wyrzucać ich do kontenera, najlepiej oddać do punktu zbiórki elektrośmieci. Specjalne kosze znajdują w niektórych sklepach czy galeriach handlowych. Zużyte elektryczne znicze można też oddać do swojego PSZOK-u, czyli Punktu Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych.

Wbrew pozorom sztuczne kwiaty nie zawsze są plastikowe. Często są wykonane z mieszanek materiałów – m.in. poliestru, bawełny, lateksu, gumy. W takim wypadku nie mogą być poddane recyklingowi i trzeba je wyrzucić do odpadów zmieszanych. Między innymi z tego powodu znacznie lepiej ozdobić grób żywymi kwiatami. – Gdy zwiędną, trzeba wyrzucić todygi do kontenera na bioodpady (tylko koniecznie bez ziemi) lub na

kompost, jeśli mamy kompostownik. Sztuczne kwiaty mają jednak swoje zalety, nie chcą ich całkiem demonizować. Najważniejsze, żeby nie traktować ich jednorazowo. Wiązanki z tworzywa sztucznego mogą stać na grobie naprawdę długo. Elementy z bukietu można też wyjąć, oczyścić i przerobić na nową kompozycję – mówi Eliza Sobczuk.

Na wielu cmentarzach co roku pojawia się ten sam problem – jeden kontener na wszystkie śmieci. Tylko cmentarze komunalne, czyli zarządzane przez miasto, mają z góry ustalony obowiązek segregacji. Te podległe parafiom są zależne od ich decyzji.

W praktyce często oznacza to postawienie na cmentarzach wyłączanie kontenerów na odpady zmieszane. Bardziej uparci biorą nadające się do powtórnego przetworzenia śmieci ze sobą, ale większość wyrzuca, jak leci. Dlatego już od lat i władze miast, i księża apelują do ludzi o zachowanie umiaru w świątecznych zakupach. – Ja wychodzę z założenia, że tego dnia najważniejsza jest pamięć o bliskich zmarłych i na tym się skupiam. Stos zniczy i kwiatów, sztucznych czy prawdziwych, jest do tego całkowicie zbędny – mówi Eliza Sobczuk. Mimo to Polacy kupują na potęgę. A przed cmentarzami już widać morze kwiatów.

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

Łukasz Dąbrowiecki
Korespondencja z Niemiec

Jest ciepłe październikowe popołudnie, jesień właśnie eksplodowała pełnią barw. Mijając schowany wśród zieleni wiejski obiekt sportowy, wspina się asfaltową drogą na zbocze w stronę lasu. Na pierwszy rzut oka wygląda jak każdy inny. Drogowskazy dla turystów pieszych, oznaczenia tras rowerowych, punkt zbiorczy weekendowych spotkań dla biegaczy. Obok, wyglądający na tablicę turystyczną, panel informacyjny rozciągającego się na terenie 60 ha lasu pochówkowego – FriedWald Schönbuch. Nie ma w nim kamieni nagrobnych, prochy złożono w biodegradowalnych urnach wśród korzeni drzew. Od 20 lat ten rodzaj wiecznego spoczynku zyskuje popularność w krajach niemieckojęzycznych.

Najśłynniejszy szwajcarski grabarz

Ueli Sauter wychował się wśród nagrobków. Urodził się w 1941 r. w północnoszwajcarskim kantonie Turgowia. Jego ojciec był kamieniarzem. Kilkuletni Ueli uległ wypadkowi. Kamień nagrobkowy upadł mu na nogę. Obrażenia były poważne i lekarze zaordynowali amputację kończyny. Ojciec się nie zgodził. „Albo chłopiec przeżyje z dwiema nogami, albo umrze”, orzekł. Ueli przeżył i uważa, że ojciec podjął dobrą decyzję.

W młodości studiował elektrotechnikę. Otworzył nawet firmę w tej branży, ale wtedy zdarzyło się coś, co odmieniło jego życie na raz pierwszy. W 1971 r. namówił przyjaciela, by ten zamiast jechać samochodem, odbył podróż koleją, ponieważ jest bezpieczniejszym środkiem komunikacji. Graniczący z nieprawdopodobieństwem pech chciał, że pociąg, którym jechał przyjaciel, miał wypadek i przyjaciel zginął. Sauter zapisał się na kurs parapsychologii i przez 20 lat organizował seminaria astrologiczno-ezoteryczne. Dziś jest sceptycznie nastawiony do tamtej działalności i nie chce mieć nic wspólnego z ezoteryką, uważa się za niewierzącego. Ale jak mówił szwajcarskiej „Tagblatt”: „Był to miły czas”. Poznał wówczas wielu interesujących ludzi.

Z prochu powstałeś, w las się obrócisz

Od 20 lat w krajach niemieckojęzycznych
rośnie popularność pochówków
w naturalnym środowisku



Jednym z nich był ezoteryk mieszkający w Anglii. Jego odejście było przyczyną kolejnego zwrotu w życiu Sautera. Przyjaciel przed śmiercią przekazał życzenie, by jego prochy spoczęły wśród gór, na szwajcarskiej ziemi. Sauter sprowadził urnę z prochami do kraju. Nie wiedział jednak, co dalej. Poszedł do sauny. Gdy z niej wyszedł, powiedział do żony: „Zarobimy kiedyś dużo pieniędzy”. Tylko się zaśmiała. Podobnie jak koledzy, którym wyznał, że wymyślił cmentarz na nowo. Był rok 1993.

FriedWald – Las Pokoju

Tablica informacyjna na skraju lasu powiadamia mnie, że „konceptja miejsca jest niezależna od wyznań i wolna od społecznych ograniczeń”. Z zawieszanej na słupku skrzynki wyciągam bezpłatną mapkę terenu i wchodzę w las. Główny trakt jest utwardzony tak samo jak w innych częściach tego najstarszego w Badenii-Wirtembergii leśnego parku przyrodniczego. Zaraz za wejściem zaglądam do leśnego zaułka oznaczonego jako „Miejsce modlitwy”. To mała polana, na której ustawionych jest kilka prostych ławek z surowych desek,

podpartych na kawałkach obróconych na bok pni. Wbrew sygnalizowanej ponadkonfesyjności znajduje się tu też wysoki drewniany krzyż. Nie ma żadnych innych inskrypcji, cytatów, symboli, dookoła tylko zarośla i korony drzew nad głową.

Wracam na alejkę. Wzdłuż niej i w głębi lasu na pniach drzew pojawiają się małe czarne tabliczki z napisami wypisanymi białymi literami. Zawieszone są na wbitych w pień gwoździach. Okrągłe przypominają numerki z szatni. Zdarzają się także większe, prostokątne, z nazwiskami oraz datami narodzin i śmierci. Niektóre dodatkowo zaopatrzone są w sentencję lub cytaty. Z Goethego, z Rilkego, znajdują i fragment refrenu słynnego „Hymnu” Leonarda Cohena po angielsku: *There is a crack, a crack in everything. That's how the light gets in.* Obecne są też grawerowane symbole: ptak w locie, liść młotkora, róża. Dążenie do roztopienia się naturze w sposób niepozostawiający śladu mierzy się z potrzebą zaznaczenia indywidualności.

Ścieżka zakręca, prowadząc pod górę. W niszach utworzonych w poszyciu co pewien czas ustawiona jest drewniana ławka. Czy dotrą do niej ▶

► osoby w podeszłym wieku? Te poruszające się na wózku czy przy pomocy balkonika mają małe szanse. Jeśli ktoś chce odwiedzać zmarłych, musi zachować sprawność. Las jest piękny, mieszany, z przewagą drzew liściastych. Są w różnym wieku, zdarzają się leciwe, na oko 200-letnie dęby i buki. Gdy świeci jesienne słońce, wszystko płonie na złoto, pomarańczowo i czerwono.

Od start-upu do usług komunalnych

Kilka lat zajęło Saunterowi przejście przez meandry szwajcarskiego systemu prawnego, zanim mógł założyć pierwszy „Friedwald” we własnym kawałku lasu w Turgowii.

FriedWald – nazwa, którą opatentował – to gra słów. Cmentarz po niemiecku to *Friedhof* (*Hof des Friedens* – Dwór/Zagroda Pokoju). Dosłownie więc *FriedWald* to las pokoju, semantycznie las wiecznego spoczynku, co można również tłumaczyć jako las pochówkowy, pogrzebowy lub cmentarny. Obecnie w Szwajcarii istnieje 70 takich obszarów prowadzonych przez współpracowników założyciela na zasadzie franczyzy. Znajdują się głównie w północnych i środkowych kantonach niemieckojęzycznych, w innych jakoś się nie przyjęły. W 2000 r. Saunter

funkcjonują również przedsiębiorstwa lokalne.

Od trzech lat nie jest to zresztą wyłącznie dziedzina działalności firm prywatnych. W 2018 r. w Brandenburgii, gdzie działało wcześniej sześć spółek prywatnych, powstał również pierwszy komunalny las pogrzebowy. Gmina Beelitz pod Poczdamem przeznaczyła na ten cel fragment należącego do niej boru sosnowego. „Chciałem czegoś, co nam odpowiada, a nie czegoś, co jest oferowane w całych Niemczech” – mówił gazecie „Tagesspiegel” burmistrz Beelitz, Bernhardt Knuth. – „Jesteśmy Brandenburgczykami, kształtują nas sosnowe lasy”. Liczba gmin organizujących komunalne cmentarze leśne rośnie.

– zarezerwowane dla kilku urn z tej samej rodziny lub grupy przyjaciół, podobnie jak groby rodzinne na cmentarzach tradycyjnych. „Drzewo indywidualne” lub dla partnerów – z gwarancją, że nikt inny nie zostanie przy nim pogrzebany. Wprowadzono również tzw. opcję bazową ze skróconym czasem spoczynku, określonym ustawowo na minimum 15 bądź 30 lat, o czym decydują szczegółowe uwarunkowania.

Ceremonia pogrzebowa również może przebiegać różnorodnie. Są to zarówno duże wydarzenia z zespołem i muzyką na żywo, jak i ciche pogrzeby w małych grupach. Można wybrać mówcę pogrzebowego, świeckiego lub duchownego.



W Szwajcarii prochy są rozsypywane wokół drzewa, w Niemczech i Austrii składane są w biodegradowalnych urnach pośród korzeni.

sprzedał prawa do marki FriedWald® do Niemiec. Kwota transakcji nie została ujawniona, ale wydaje się, że sprzedający zrealizował obietnicę daną żonie.

Pierwszym lasem pogrzebowym w Niemczech był Reinhardswald niedaleko Kassel, otwarty w listopadzie 2001 r. Obecnie największa z firm branży w Niemczech deklaruje, że dokonała ponad 152 tys. tego typu pochówków, a ponad 355 tys. osób zarezerwowało drzewo lub miejsce przyszłego spoczynku w jednym z oferowanych obszarów leśnych. Pod koniec 2020 r. dwie największe spółki FriedWald i RuheForst mogły zaproponować miejsca spoczynku w ponad 140 obszarach leśnych na terenie RFN. Obok ogólnokrajowych

W Szwajcarii prochy są rozsypywane wokół drzewa, w Niemczech i Austrii – dokąd również dotarła idea lasu pochówkowego – składane są w biodegradowalnych urnach między korzeniami.

Nie ma zniczy, jest śpiew ptaków

Okres spoczynku to 99 lat. Zależny od ustawy, która określa przekazanie terenu w użytkowanie wieczyste na właśnie taki okres. Można wybrać „Społeczność drzewa” – spoczynek w grupie niespokrewnionych ze sobą osób. Nie mają one wpływu na to, kto zostanie później pochowany przy tym samym drzewie. „Drzewo rodzinne” lub „Drzewo przyjaciół”

Ani protestanci, ani Kościół katolicki nie odrzucają leśnych pochówków. Mimo że na początku obie konfesje mocno krytykowały koncepcję spoczynku w naturze, to obecnie duchowni uczestniczą w ceremoniach, jeśli zmarły był wcześniej członkiem ich wspólnoty.

To, co jest niedozwolone w lesie cmentarnym, to dekoracje nagrobne. Kompozycje kwiatowe, wieńce i świece nie są częścią naturalnego otoczenia lasu – przestrzega administracja. To przyroda i las mają kocić smutek: pocieszeniem jest śpiew ptaków, szelest liści na wietrze i chrzęst gałęzi. Las ma pozostać w stanie jak najbardziej zbliżonym do naturalnego.

Pojawienie się alternatywy wobec konwencjonalnych cmentarzy oraz nowe elementy kultury pogrzebowej wymagały dostosowania do istniejącego prawa i zmian legislacyjnych.

Biourny w Polsce

Również w Polsce trwają prace nad uaktualnieniem ustawy o pochówkach, która pochodzi z 1959 r. i nie przystaje do współczesnych realiów. Projekt rządowy został upubliczniony pod koniec września. Ma jednak konkurencję w postaci projektu napisanego przez społeczników ratujących zapomniane cmentarze, a przedstawionego w październiku. Poza wieloma istotnymi kwestiami bierze on pod uwagę również możliwość pochówku w naturze. Zdaniem projektodawców nietradycyjne formy pochówków już są w Polsce praktykowane i nie można tego ignorować.

W projekcie rządowym pojawia się m.in. definicja biourny, służącej do umieszczenia prochów wraz z nasionami lub sadzonką drzewa albo krzewu oraz drzewa pamięci jako wyrosłego z biourny umieszczonej w ogrodzie pamięci, który pozostaje częścią tradycyjnego cmentarza. Projekt obywatelski idzie dalej i proponuje pochówki na cmentarzach zakładanych na terenach rolnych, leśnych, łąkach, w trumnach lub urnach biodegradowalnych. Można go znaleźć na stronie www.niezapomnianecmentarze.pl i wziąć udział w konsultacjach trwających do 20 stycznia 2022 r.

Docieram do krawędzi wzgórza, gdzie znajduje kolejne „Miejsce zadumy”. Roztacza się z niego panorama na okoliczne miejscowości, pola uprawne i pasma górskie na horyzoncie. Samotny cyklista kontemplanuje widoki. Przyjechał tu rekreacyjnie. Zagadnięty, odpowiada, że wielu osobom idea lasu pochówkowego przypadła do gustu, ponieważ opiekę nad grobami przejmuje przyroda, a zmarłych nie odwiedza się z obowiązku.

Współbrzmi to z wynikami opracowań na temat coraz częstszego wyboru lasu jako miejsca pochówku. Jednym z powtarzających się uzasadnień jest zwolnienie krewnych z kosztów i czasu poświęconego na pielęgnację grobu. Być może właśnie ten praktyczny aspekt jest głębokim motywem zachodzącej zmiany. Otwiera ona wielkie pole do dyskusji nad jakością i formami więzi społecznych, których częścią jest niewątpliwie kultura cmentarna.

Łukasz Dąbrowiecki

PAMIĘTAMY

Choć czas znowu przyspieszył po pandemicznym zastoju, początek listopada to moment, kiedy zatrzymujemy się i wspominamy tych, którzy odeszli. Którzy z nami pracowali, wspierali nas radą, zapisali się w historii „Przeglądu”. Wiemy, ile im zawdzięczamy.

MAŁGORZATA KĄKIEL (25 kwietnia 2021 r.) – krytyczka literacka, publicystka, erudytka. Kochała książki, miała o nich ogromną wiedzę i pisała z wielkim zapałem i zaangażowaniem. Za jej sprawą przez 11 lat na łamach „Przeglądu” trafiło wielu pisarzy, literaturoznawców, tłumaczy, ludzi kultury. Rozmawiała z nimi z wyrozumieciem i taktem, a zarazem z dociekliwością. Pisała też eseje i teksty publicystyczne. Nie potrafiła być obojętna na zło, niesprawiedliwość, głupotę. Ale przede wszystkim była koleżanką. Skromną, otwartą, empatyczną, o wielkim takcie i kulturze. Nie myślała o sobie, to ona zawsze troszczyła się o innych.

MICHALINA (TERESA) NOWAK-GINALSKA (14 lutego 2021 r.) – krośnieńska dziennikarka, związana z tygodnikiem regionalnym „Podkarpacie”, na łamach „Przeglądu” opublikowała dziesiątki reportaży z Podkarpacia i Małopolski, w których z talentem i sercem ukazywała życie mieszkańców tych regionów. Zawsze wrażliwa na ludzką krzywdę, zaangażowana w życie społeczne, pełna humoru, pisała pięknym językiem.

PROF. ADAM KOSESKI (11 grudnia 2020 r.) – wieloletni rektor Akademii Humanistycznej w Puławach. Wybitny historyk, autor wielu znaczących prac z zakresu najnowszej historii Polski, Bałkanów i Kaukazu. Inicjator i współautor wielotomowych „Dziejów Mazowsza”. Profesor i wychowawca kształcący tysiące młodych historyków i politologów. Jako dziecko widział tragedię powstania na Woli, a to sprawiło, że umiał odróżniać chciejstwo od realizmu politycznego. Człowiek lewicy. Pomocny ludziom. Wielki sympatyk i autor „Przeglądu”.

ANDRZEJ WAWRZYNIAK (8 listopada 2020 r.) podróżnik, dyplomata, kolekcjoner. Niezwykła osobowość. Pasjonat o wielu talentach. Kierował

placówkami dyplomatycznymi w Indonezji, Laosie, Nepalu i Afganistanie. W 1973 r. przekazał na rzecz państwa kolekcję 4 tys. obiektów. Jako dyrektor Muzeum Azji i Pacyfiku doprowadził do budowy nowej siedziby, w której zgromadził 22 tys. eksponatów. Od 2017 r. muzeum nosi jego imię. Barwny i oryginalny. Przyjaciel naszego tygodnika.

ANDRZEJ GOWARZEWSKI (16 listopada 2020 r.) – założyciel wydawnictwa GiA. W Polsce nikt nie zrobił więcej dla historii piłki. Dzięki niemu mamy encyklopedie piłkarskie FUJI, roczniki mundialu, historię mistrzostw Polski i zdobywców pucharów. Nie miał sobie równych w FIFA i UEFA. Człowiek wielkiej pasji, szanowany przez wszystkich kochających piłkę.

ANDRZEJ KRATUŁ (15 lutego 2021 r.) – prawnik, ekonomista, działacz lewicowy. Był prezesem Rady Fundacji „Porozumienie bez Barier” Jolanty Kwaśniewskiej. Mądry i dobry człowiek. Bezinteresowny i serdeczny. Miał wiele talentów, ale wszystko budował na pracy. Bardzo pomógł naszemu tygodnikowi.

Przypominamy też tych autorów „Przeglądu”, których okrągłe rocznice śmierci przypadają w tym roku.

KRZYSZTOF WOLICKI (24 kwietnia 2001 r.) – dziennikarz z najwyższej półki. Można się było z nim nie zgadzać, ale trzeba się było liczyć z jego zdaniem. Wcześniej niż inni widział fałsz, głupotę i nieuczciwość. Jego teksty były mądrą syntezą procesów społecznych.

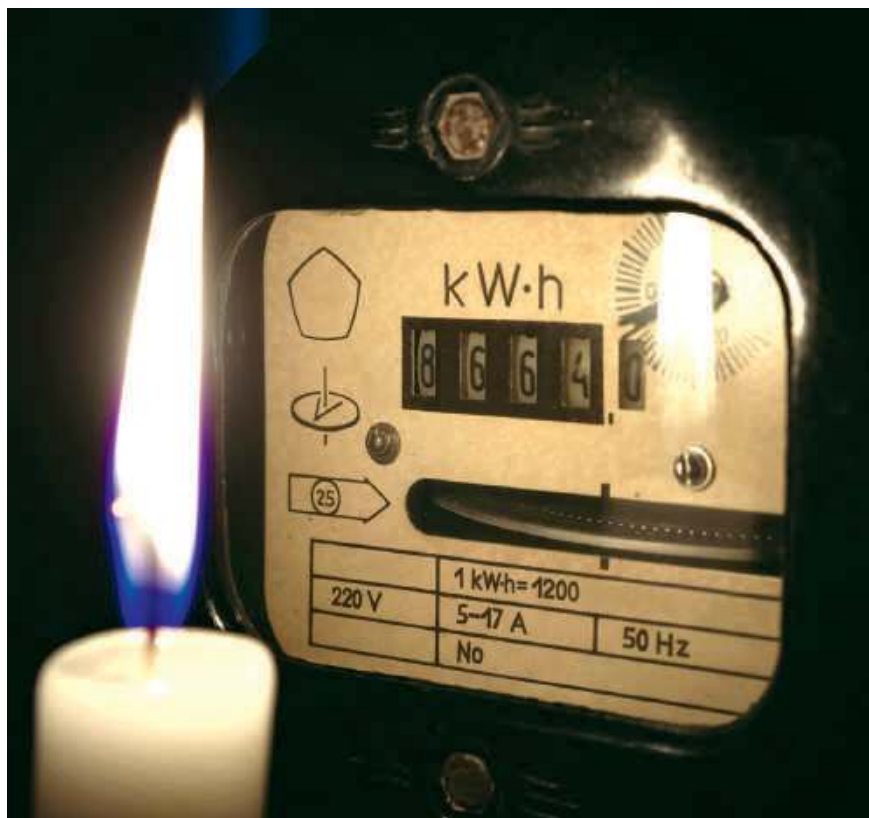
STANISŁAW LEM (27 marca 2006 r.) – jeden z najwybitniejszych wizjonerów XX w., laureat Busoli. W felietonach, które często otwierały łamy „Przeglądu”, pisał o sprawach drobnych i fundamentalnych, o naturze człowieka i zła, jakie wyrządza, o wykorzystywaniu technologii w haniebny sposób, o postępującej demoralizacji. Niestety, jego ostrzeżenia słuchano zbyt rzadko.

JERZY WOŁK-ŁANIEWSKI (28 lutego 2011 r.) – reporter, erudyta. Syn lekarza majora Macieja Wołk-Łaniewskiego, jeńca obozu w Starobielsku, walczył o sprawy kombatanów z „niesłusznego” wojska, klientów oszukanych przez banki, niepełnosprawnych, pozbawianych rent.

Odeszli, ale zostali w naszej pamięci.

Więcej czadu!

W całej Europie idą na dno niezależni dostawcy energii. Za to wracają węgiel, ropa i gaz



Marek Czarkowski

Młody, przystojny biznesmen Jiří Písařík, 37. na czeskiej liście „Forbesa”, właściciel ośrodka jeździeckiego Horse Park Kamenný Dvůr niedaleko Pragi, świetnie się prezentował za kierownicą ferrari 488 GT3, gdy ścigał się na europejskich torach. W roku 2005 Písařík założył spółkę Bohemia Energy, która stała się największym niezależnym sprzedawcą prądu i gazu u naszych południowych sąsiadów. Miała ponad milion klientów w Czechach i na Słowacji, a jej roczny obrót liczone w miliardach koron. W roku 2021 spółkę dopadły rosnące ceny energii elektrycznej i gazu. Nie chcąc dokładać do interesu, Písařík uznał, że *to se ne vrati* i złożył w sądzie wniosek o ogłoszenie upadłości.

13 października br. było po wszystkim. Słowacki minister gospodarki Richard Sulik ostro skomentował ten fakt: „Żyli na przyzwoitym poziomie przez 13 lat. Dopóki mogli, doili słowacki rynek. Kiedy się zorientowali, że przez rok będą mieli stratę, spakowali walizki. Coś obrzydliwego”.

Najprawdopodobniej czeka nas kilka podwyżek cen prądu i gazu. Może nawet o ponad 40%.

Przypadek Bohemia Energy jest jednym z wielu podobnych. W całej Europie jak muchy padają niezależni dostawcy energii elektrycznej i gazu, którzy nie mając własnych elektrowni i złóż, muszą kupować prąd i błękitne paliwo na giełdach. A na parkietach ceny energii i surowców

energetycznych niemal każdego dnia biją rekordy. Eksperci wskazują, że to konsekwencja jednoczesnego wystąpienia negatywnych czynników, takich jak:

- mroźna zima, po której nastąpiło upalne lato,
- pojawienie się wysokiego popytu na gaz LNG w Azji,
- spadek ilości energii elektrycznej pochodzącej z farm wiatrowych, z powodu bezwietrznej pogody w Europie,
- drastyczny spadek produkcji gazu ziemnego w krajach europejskich,
- wzrost cen opłat za emisję CO₂,
- odradzanie się gospodarek po pandemii SARS CoV-2 i zwiększone zapotrzebowanie na gaz oraz energię elektryczną na całym świecie.

Kryzys wzmocniły obowiązujące w Unii Europejskiej i w Wielkiej Brytanii liberalne reguły funkcjonowania rynku paliw i energii elektrycznej, które wręcz zachęcają do windowania cen. Jeśli w ubiegłym roku koncerny naftowe i gazowe martwiły się niskimi cenami ropy i gazu, dziś odrabiają straty, a płaczą i będą płakać w roku 2022 odbiorcy i konsumenci.

Odejsz po angielsku

Kryzys na rynku dostaw energii bardziej niż Europę kontynentalną uderzył Wielką Brytanię. Kraj, będący już poza Unią Europejską, zмага się nie tylko z problemem pustych półek w supermarketach, kolejkami na stacjach benzynowych, brakiem kierowców ciężarówek i rzeźników, ale też szybko rosnącymi cenami gazu i prądu. Szczególnie dotknęło to niezależnych dostawców oraz ich klientów.

Na początku września upadły dwie niewielkie spółki dystrybucyjne

– PfP Energy oraz MoneyPlus Energy, które zaopatrywały 90 tys. odbiorców. Nie wytrzymały szybkiego wzrostu cen. 14 września, gdy bankructwo ogłosiły firmy Utility Point i People's Energy, pół miliona wyspiarzy wstrzymało oddech, nie wiedząc, czy wkrótce nie zaczną

marznąć w mieszkaniach pozbawionych światła i ogrzewania. Do końca miesiąca z rynku zniknęły kolejne trzy spółki, a na lodzie zostało łącznie 1,5 mln brytyjskich gospodarstw domowych. Władze uspokajały, że sytuacja jest pod kontrolą, a wkrótce inni dostawcy energii zaproponują nowe umowy i wszystko wróci do normy. Rzecz w tym, że jak obliczyli eksperci, operacja ta będzie kosztowała około miliarda funtów, który zostanie doliczony do rachunków, co z pewnością nie uszczęśliwi klientów.

Już wiadomo, że rok 2021 okazał się wyjątkowo trudny dla niezależnych dostawców prądu i gazu. Upadły m.in. spółki: Extra Energy, Spark Energy, Future Energy, National Gas and Power, Iressa Energy, Gen4U, Usio Energy i One Select. Przedstawiciele Ofgem – Urzędu ds. Rynku Gazu i Energii Elektrycznej, brytyjskiego odpowiednika naszego Urzędu Regulacji Energetyki,

połączenia towarowe na trasie z Ipswich do Londynu, zastąpiła lokomotywy elektryczne spalinowymi. Rzeczniczka firmy oświadczyła, że ta trudna decyzja ma charakter tymczasowy i chodzi wyłącznie o utrzymanie opłacalnych rozwiązań dla transportu, niezbędnych towarów na terenie Wielkiej Brytanii. Jeśli w ślad za Freightliner pójść inne spółki kolejowe, Wielka Brytania wróci do korzeni. Na torach zobaczymy parowozy.

Jest zatem więcej niż pewne, że w przyszłym roku tamtejszy rynek się zmieni. Przetwarzają duże firmy dysponujące własnymi elektrowniami z dostępem do złóż gazu ziemnego. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak ukształtują się ceny nośników energii. W każdym razie zaufanie do niezależnych dostawców prądu i gazu zostało w Wielkiej Brytanii zrujnowane.

A to nie koniec sensacyjnych wiadomości. Na początku października

trujących wszystko dookoła. Że musimy jak najszybciej zrezygnować z paliw kopalnych, by ratować planetę. I że czasu już nie ma.

Jednak mimo rozwoju technologii te obietnice pozostają niespełnione. Co gorsza, ostatnie miesiące dowiodły, że kraje i regiony, które najwięcej zainwestowały w energię odnawialną, borykają się z niebotycznymi cenami prądu i gazu, niedoborem energii i rosnącym chaosem na rynku dostaw prądu i gazu.

Bo gdy obywatele otrzymują „rachunki grozy” za światło i gaz, a firmy z powodu gwałtownego wzrostu cen energii zaczynają przynosić straty i bankrutują, w kącie idą szczytne hasła o ochronie planety i walce ze zmianami klimatycznymi. A politycy zaczynają się zastanawiać, czy nie za szybko zrezygnowali ze sprawdzonych rozwiązań.

Latem tego roku, gdy przez Kalifornię przetaczała się fala upałów, a w sieci zaczęto brakować prądu, gubernator Gavin Newsom, by uniknąć przerw w dostawach, nakazał firmom posiadającym zapasowe generatory napędzane silnikami Diesla natychmiastowe ich włączenie. Powodem niedoborów prądu było masowe użycie klimatyzatorów, którymi Kalifornijczycy chłodzili domy, mieszkania, biura, restauracje i hotele. Chociaż to najbardziej ekologiczny stan w USA, aktywiści nie mieli pretensji do gubernatora Newsoma, mimo że dieslowskie generatory są najbrudniejszym źródłem energii elektrycznej, jakie można sobie wyobrazić.

Jedną z odpowiedzi na pytanie, dlaczego w Kalifornii regularnie występują niedobory prądu, brzmi, że winna jest... ekologia. Okazało się, że gdy w miksie energetycznym udział energii elektrycznej wytwarzanej przez panele słoneczne i turbiny wiatrowe dochodzi do 20%, w sieci pojawiają się gwałtowne skoki mocy. Latem, a w innych porach roku także w słoneczne i wietrzne dni, system energetyczny musi w krótkim czasie zaabsorbować duże ilości taniego prądu wytwarzanego przez te instalacje. Osłabia to rentowność tradycyjnych elektrowni, a nawet powoduje straty.

Mieszkańcy Teksasu, Niemiec i Szwecji odkryli w tym roku, że gdy nie ma wiatru, a panele słoneczne

Polscy górnicy fedrują jak szaleni, a kopalnie pozbywają się hałd węgla, mimo że jego ceny są rekordowo wysokie.

nieoficjalnie przyznają, że tej zimy może zbankrutować kolejnych 30 firm. Wiele będzie zależało od tego, czy w grudniu, styczniu bądź lutym na Wyspach spadnie więcej śniegu, a temperatury przez pewien czas będą się utrzymywały poniżej –5 st. C, co według brytyjskich standardów oznacza ostrą zimę.

21 września, tuż po nadzwyczajnym posiedzeniu rządu Borisa Johnsona poświęconemu sytuacji na rynku energii, spółki Igloo, Ampower, Utilia i NEO Energy ogłosiły, że przestają zawierać nowe umowy. Działająca w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Francji i Teksasie spółka Bulb Energy, która ma na Wyspach 1,7 mln klientów, wstrzymała program zachęcający ich do rejestrowania znajomych jako nowych usługobiorców. Zaopatrująca w prąd 3 mln Brytyjczyków firma Ovo Energy usunęła ze swojej strony internetowej przycisk pozwalający klientom uzyskać wycenę rachunku za energię. Po co mają się denerwować.

Gdy ceny prądu dla przedsiębiorstw wzrosły o 200%, spółka Freightliner, obsługująca kolejowe

serwis BBC poinformował, że spółka West Cumbria Mining, planująca uruchomienie kopalni węgla kamiennego w hrabstwie Kumbria nad Morzem Irlandzkim, oczekuje na decyzje administracyjne w tej sprawie. Według szacunków tamtejsze złoża doskonałej jakości węgla koksującego sięgają 750 mln ton. Spółka chce przetwarzać je na terenie byłych zakładów chemicznych Marchon w miejscowości Whitehaven. Chce tworzyć nowe miejsca pracy i liczy na zrozumienie administracji rządowej. Czyżby Brytyjczycy zaczęli odwrót od programów rozwoju odnawialnych źródeł energii? To nie jest wykluczone.

Renesans tradycyjnych źródeł

Kryzys energetyczny, jaki dotknął Europę, Azję i Stany Zjednoczone, uświadomił wielu, że coś jest nie tak z obiecywaną świetlaną przyszłością. Ekolodzy od lat zapewniają, że energia wiatrowa i słoneczna o niewielkim wpływie na środowisko to tania alternatywa dla elektrowni opalanych węglem brunatnym i kamiennym,

► zasypane są śniegiem, niezbędne są inne źródła energii, żeby zaspokoić zwiększone zapotrzebowanie na prąd. Taką rolę mogą odgrywać elektrownie jądrowe, gazowe i węglowe. Dlatego w Niemczech nikt się nie śpieszy do zamykania elektrowni opalanych węglem brunatnym. A w dbającej o ekologię Kalifornii,

przedstawili Francuzi, którzy chcą, by Komisja Europejska uznała energetykę jądrową za „zieloną technologię”. I trudno im się dziwić, francuska energetyka oparta jest na atomie. Przeciw takiemu rozwiązaniu są Niemcy, Hiszpanie, Austriacy i Duńczycy. Polacy, gdyby mogli, zarekomendowaliby węgiel kamienny

Jeśli chcemy ograniczyć emisję CO₂ i zapewnić bezpieczeństwo dostaw prądu, musimy mieć dwa systemy energetyczne.

na ile to możliwe, stabilność systemu zapewniają elektrownie gazowe i jedna atomowa.

Okazuje się, że jeśli chcemy ograniczyć emisję CO₂ i zapewnić bezpieczeństwo dostaw prądu, musimy dysponować nie jednym, lecz dwoma systemami energetycznymi. Pierwszy ma być oparty na odnawialnych źródłach energii i nowoczesnych magazynach prądu. Drugi, na który będą składały się tradycyjne elektrownie, uruchamiany byłby w sytuacjach, kiedy trzeba byłoby uzupełnić niedobory mocy. Takie rozwiązanie jest niewyobrażalnie kosztowne, gdyż wymagałoby utrzymania tradycyjnych elektrowni w stałej gotowości. Na razie więc nikt nie pali się do takiego rozwiązania.

Ciekawy pomysł na zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego

i brunatny jako paliwa ekologiczne.

Obecny kryzys na rynku sprzyja myśleniu, że paliwa kopalne, przynajmniej na razie, mogą być lepszym rozwiązaniem niż odnawialne źródła energii. Ekologia jest ważna, lecz równie istotne jest utrzymanie wysokiego poziomu życia Europejczyków i Amerykanów. Dlatego z powodów ekonomicznych, społecznych i politycznych nie będzie łatwo zrezygnować z węgla, ropy i gazu.

Nasza chata z kraju

Rzadko kiedy to powiedzenie ma tak głęboki sens jak dziś. Polska energetyka eksportuje rekordowe ilości prądu, zarabiając na tym krocie. Prezesi naszych elektrowni przygotowują je do zimy. Jeśli będzie ostra, zyski z eksportu energii elektrycznej okażą się imponujące. Bardzo dobra jest sytuacja w górnictwie. Górnicy fedrują jak szaleni, a kopalnie, korzystając z koniunktury, pozbywają się hałd węgla zgromadzonych na składowiskach, mimo że jego ceny są rekordowo wysokie. W sierpniu ubiegłego roku zapasy węgla na zwalach wyniosły 7,8 mln ton. W tym roku było to 4,4 mln ton. Gdy zaczną się pierwsze mrozy, będzie jeszcze mniej. Dlatego, by kupić węgiel bez pośredników, ciężarówki muszą stać pod bramami kopalń w gigantycznych kolejkach. I nikt nie narzeka.

Nawet niezależni dostawcy prądu i gazu mają się nad Wisłą lepiej niż ich koledzy w Wielkiej Brytanii, Czechach czy Niemczech. Ci najstabsi zbankrutowali w latach 2019-2020.

A nasze największe spółki energetyczne: Polska Grupa Energetyczna, Tauron, Energa i Enea to podmioty kontrolowane przez skarb państwa.

Dysponują kopalniami, elektrowniami i liniami przesyłowymi. Operatorem systemu elektroenergetycznego w naszym kraju jest spółka skarbu państwa Polskie Sieci Elektroenergetyczne SA. To mało widoczny, choć ważny gracz, który ma wpływ na kształtowanie cen.

Ostateczna decyzja o podwyżkach cen prądu i gazu należy do prezesa Urzędu Regulacji Energetyki. A jest to decyzja polityczna. Konkurencja na tym rynku istnieje, lecz nie jest tak ostra jak w innych krajach. Niezależni dystrybutorzy – Orange Energia, Innogy Polska czy Plus – raczej starają się dostosować do istniejących warunków, niż agresywnie rywalizować z państwowymi spółkami. W warunkach kryzysu jest to korzystne. Klienci nie muszą się martwić o to, że ich dostawca z dnia na dzień ogłosi upadłość. Jeśli w roku 2022 ceny wzrosną, to z pewnością mniej, niż życzyliby sobie prezesi PGE, Tauronu, Energi i Enei.

Najprawdopodobniej czeka nas kilka podwyżek cen prądu i gazu. Może nawet o ponad 40%. Lecz gdybyśmy na tym rynku mieli dominację spółek prywatnych, ceny wzrosłyby o 80-100%. Na szczęście obawa rządzących przed protestami społecznymi działa jak hamulec. Taki stan może w Polsce trwać bardzo długo. Pod względem posiadanych zasobów węgla kamiennego i brunatnego, ropy naftowej i gazu ziemnego jesteśmy jednym z najbardziej bezpiecznych krajów w Europie. Zbyt szybka rezygnacja z tego surowca w energetyce postawiłaby nas w trudnej sytuacji. Zwłaszcza gdyby Komisja Europejska opóźniła przekazanie Polsce środków z Funduszu Sprawiedliwej Transformacji.

Gaz ziemny, który przejściowo zastąpi „czarne złoto”, importujemy z Rosji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Kataru i dna Morza Północnego. Uzależnienie się od tego surowca będzie oznaczało wzrost kosztów i politycznej zależności. Podobnie jak budowa elektrowni atomowych. Dlatego wielka jest pokusa, by odsunąć te decyzje w czasie. Choć z pewnością nie rząd premiera Mateusza Morawieckiego będzie ją podejmował. Ale to już inna historia.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Pisowcy chcą zbudować największe wesołe miasteczko w Europie, które nie będzie się nazywało Kaczorlandem. Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE”.





Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Nihiliści

Europa zna ich sześć, niechby osiem lat – my od lat ponad 30. Reżyserzy społecznych napięć, mistrzowie destrukcji. „Spoceni mężczyźni w pogoni za władzą” – dziś trzeba by dodać: za władzą absolutną. Już w 1990 r. parli do „przyspieszenia”, żądali rozwiązań radykalnych, podkładali dynamit pod świeżo odzyskane państwo. Potem dostali broń śmiertelnego rażenia: lustrację. Lista Macierewicza, lista Wildsteina... „Oszołomy” – tak ich nazywano. Albo: „popaprańcy”, bo spaprać umieli wszystko. I jeszcze: „olszewicy” – od nazwiska Jana Olszewskiego.

Z początku byli jeszcze sami. Lecz z czasem ich projekty zyskały poklask politycznego centrum. Ustawa lustracyjna z „prokuratorem lustracyjnym”, Instytut Pamięci Narodowej z nierównością obywateli wobec prawa – wszystko to było już dziełem całego niemal obozu solidarnościowego. Jeżeli jednak w obozie tym istniały nadzieje na oswojenie popaprańców, to od początku były one złudne. Im nie szło przeciw o idee, nawet nie o rozliczenia, lecz o – przykrytą mniej czy bardziej wzniosłymi hasłami – destrukcję. Dlatego wciąż wywoływali uczucie zagrożenia, odkrywali spiski w rodzaju „czerwonej pajęczyny”, obnażali korupcyjny „czworokąt”, piętnowali uchodźców roznoszących zarazki, wyjaśniali katastrofę smoleńską wybuchami w samolocie i porozumieniem Tuska z Putinem. Nigdy niczego nie wykryto, niczego nie udowodniono, za to szkoła podejrzeń i nienawiści przekształciła polskie społeczeństwo w dwa, splecione w śmiertelnym uścisku, plemiona.

Opluli wszystko. Wielokrotnie twierdzili, że w czasie II wojny światowej „Polski nie było” (nie mówili tak nawet stalińscy). Czyli opluli – oficjalnie tak bardzo czczoną – Armię Krajową, walczącą wszak z rozkazu rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie. Zresztą Armię Krajową opluli także dlatego, że zrównali ją z późniejszymi „wyklętymi” (oburzało to weteranów AK). A i „wyklętych” opluli, bo wymieszali w nich dobro ze złem, bohaterów ze zbrodniarzami. Opluli potem PRL, bo wtedy też „Polski nie było”. Opluli sierpień 1980 r., „dogadanie się Polaka z Polakiem”, a potem solidarnościową walkę *non violence*. Sponiewierali światową markę Lecha Wałęsy i zaraz potem opluli III Rzeczpospolitą. Państwo, będące marzeniem kilku pokoleń Polaków, uznali za „ubekistan”, „bantustan” i „postkomunistyczne monstrum”. Sklecieli nawet opowieść, że III RP nadal jęczy w niewoli – młody Andrzej Duda posłusznie śpiewał: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić,

Panie” (dziś już tak nie śpiewa). Tak więc, walcząc z „pedagogiką wstydu”, kazali nam się wstydzić – za wszystko, byle nie za nich. W imię stale tej samej destrukcji unurzali naród w błocie.

Cel osiągnęli. Jak niegdyś, z poklaskiem politycznego centrum, zdelegitymizowali PRL, tak dziś, już wbrew politycznemu centrum, zdelegitymizowali III RP. Dlatego w tych samych głowach zrodził się teraz kolejny pomysł: zdelegitymizować Unię Europejską! Bo skoro udało się z Polską, to czemu nie spróbować z Unią? Co jednak wcale nie znaczy, że trzeba nas z Unii wyprowadzić. O, co to, to nie: nie teraz, nie tym razem. Tu oni wyjątkowo, pierwszy raz w życiu, nie kłamią. Nie chcą nas z Unii wyprowadzać, bo – po pierwsze – werdykt Trybunału Paryskiego już nas z niej wyprowadził. A po drugie, oni mają jeszcze w Unii wielką pracę do wykonania. Unię – lewacką Unię – trzeba zmienić. A to znaczy: spaprać ją. Opluć.

**Oni mają w Unii wielką pracę do wykonania.
Unię – lewacką Unię – trzeba zmienić.
A to znaczy: spaprać ją.**

Przekształcić na swój obraz i podobieństwo. Raz jeszcze wskrzesić polski mesjanizm, ewangelizować laicką Europę, jej „cywilizację śmierci”, tylekroć piętnowaną przez Jana Pawła II.

O ileż łatwiej to czynić, będąc wewnątrz. O ileż łatwiej opluwać, paprać i rozkładać od środka.

Bo przecież musimy bronić polskiej suwerenności! Musimy bronić niepodległości, na którą Unia czyha! Musimy bronić polskich tradycji, którym Unia zagraża! Musimy bronić Europy przed Europą! I oto dwa cele w jednym. Kąsanie Unii osłabi Unię, z czasem ma nawet szansę doprowadzić do jej rozkładu. Zaś obrzydzanie Unii uczyni z niej Polakom kolejnego wroga. Kolejnego – bo wrogami są już wszyscy właściwie nasi sąsiedzi. A także USA, na których ponoć opieraliśmy swoje bezpieczeństwo. Oraz Izrael, na przyjaźń z którym byliśmy – tak by się zdawało – skazani. I nawet Wielka Brytania, tak dzielnie niegdyś dokonująca brexitu, a teraz niewpuszczająca do siebie Rafała Ziemkiewicza. Ale Unia i tak jest najgorsza. Jaka stanie się jutro, gdy nie da pieniędzy? Te pieniądze nam się przecież należą!

Tak, to nie są głupcy, którzy nie wiedzą, co czynią. Oni dobrze wiedzą. Wszystko mają perfekcyjnie przygotowane. Nihiliści. Albo zdrajcy, bo wciąż nie wiemy, kto za nimi stoi. „Kraje miewają mafie, u nas mafia ma kraj”. Jesteśmy w łapach tej mafii.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Słowacy kłócą się o prawo do aborcji

Za zaostreniem prawa w pierwszym czytaniu głosowali nawet socjaldemokraci



Demonstracja w Bratysławie pod hasłem „Nie będziemy cicho”.

Łukasz Grzesiczak

Kiedy 15 września, po czterech dniach słowackiej pielgrzymki papieskiej, z Bratysławy wystartował samolot z Franciszkiem na pokładzie, papież zaczął odpowiadać na pytania dziennikarzy. I po raz kolejny zdecydowanie potępił aborcję. „Ktośkolwiek dokonuje aborcji, zabija. Proszę weźcie sobie jakąkolwiek książkę o embriologii dla studentów medycyny. Trzy tygodnie po poczęciu wytworzone są już wszystkie organy, nawet i DNA. To jest życie ludzkie, które musi być szanowane. Ta zasada jest oczywista”, mówił papież.

Jednak to nie on rozpoczął słowacką dyskusję na ten temat. Już w październiku 2020 r. Anna Záborská, posłanka rządzącego ugrupowania OĽANO, złożyła wniosek o zaostrenie prawa do aborcji. Wtedy przepadł jednym głosem, ale posłanka zapowiedziała, że nie da za wygraną.

Od marca 2020 r. Słowacją rządzi prawicowo-centrowa koalicja. W lutym 2020 r. mające na sztandarach walkę z korupcją ugrupowanie OĽANO (Obyčajní ľudia a nezávislé osobnosti, Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości) Igora Matoviča wygrało wybory do jednoizbowej Rady Narodowej. Prawicowo-centrowa koalicja odsunęła od władzy rządzący Słowacją od 2006 r., z krótką przerwą na lata 2010-2012, skorumpowany, populistyczny i socjaldemokratyczny Smer-SD (Kierunek-Socjalna Demokracja), którego liderzy ponosili polityczną odpowiedzialność m.in. za zabójstwo dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej. Wielu komentatorów w zwycięstwie OĽANO widziało zapowiedź odmiany polityki. Gabinet Igora Matoviča przetrwał rok i potknął się o nieudolną walkę z pandemią oraz rosyjską szczepionkę Sputnik V. Samego Matoviča w fotelu premiera w kwietniu 2021 r. zastąpił jego

partyjny współpracownik Eduard Heger. Według wrześniowego sondażu agencji Focus Słowacy znów przekonują się do socjaldemokracji. Dwie ma partiami cieszącymi się największą popularnością są założony przez polityków, którzy opuścili Smer-SD, Hlas-SD i Smer-SD.

Dziś Słowacja ma liberalne prawo aborcyjne. Aborcja jest legalna do 12. tygodnia ciąży, a później jedynie z powodów medycznych. Prawo do aborcji mają już osoby, które skończyły 16 lat. Aborcja u osób w wieku od 16. do 18. roku życia wymaga poinformowania rodziców czy prawnych opiekunów. W przypadku osób poniżej 16 lat prawo nakazuje przedstawienia ich zgody.

Z aborcji na Słowacji korzystają także Polki. Według opublikowanych w maju 2021 r. danych Narodowego Centrum Informacji Zdrowotnej Słowacji w 2020 r. w liczącej 5,4 mln mieszkańców Słowacji wykonano 13 469 aborcji, z czego 731

przypadków dotyczyło osób niemających stałego zamieszkania w tym kraju. Liczba zabiegów przerywania ciąży maleje od 1997 r., kiedy odnotowano 27 817 aborcji. W 2020 r. współczynnik aborcji, czyli liczba aborcji na 1000 osób w wieku rozrodczym, wynosił 10. Według najnowszych danych zmalała także liczba aborcji w przeliczeniu na 100 urodzeń i wynosi 22,4, a w 2019 r. było to 24, czyli wykonano wtedy 24 aborcje na każde 100 urodzonych dzieci na Słowacji.

Słowacja ma liberalne prawo aborcyjne.

OLANO, czyli największa partia parlamentarna, złożyła projekt zaostrezenia prawa aborcyjnego, którego wytrwałą patronką jest 72-letnia posłanka i lekarka Anna Záborská. Po podjęciu decyzji o przerwaniu ciąży trzeba by było obowiązkowo odczekać jeszcze 96 godz., także w przypadku uszkodzenia płodu, czyli aborcji z powodów zdrowotnych. Dodatkowo aborcja nie mogłaby być reklamowana, co według wielu przeciwników nowego prawa oznacza, że lekarze przestaliby informować o możliwości przeprowadzenia zabiegu. Projekt zakłada także wsparcie finansowe i socjalne dla osób, które zdecydują się urodzić chore dziecko, oraz dofinansowanie poradni dla osób, które rozważają aborcję.

Taki projekt przeszedł pierwsze czytanie w parlamencie. Głosowało za nim 75 posłów ze 130 obecnych na sali (20 nie głosowało). Za propozycją posłanki Anny Záborskiej opowiedziała się prawie cała jej partia, koalicjant z Sme rodina (Jesteśmy Rodziną), neofaszystowska Ludowa Partia Nasza Słowacja Mariana Kotleby, część posłów, którzy Kotlebę opuścili oraz część... socjaldemokratycznego Smeru. Przeciw byli koalicijni liberałowie z SaS (Wolność i Solidarność). Druga socjaldemokratyczna partia Hlas wstrzymała się od głosu. Ostatecznie decyzję w sprawie ewentualnego zaostrezenia prawa aborcyjnego podejmą posłowie podczas najbliższego posiedzenia.

W proteście przeciwko zaostrezeniu prawa do aborcji ludzie wyszli

na ulice w największych miastach Słowacji, a także w Pradze czy Brnie, gdzie mieszka i studiuje wielu Słowaków. Zuzana Bendiková z Organizacji na rzecz Planowania Rodziny tłumaczyła w rozmowie ze słowacką agencją prasową TASR, że jest przeciwniczką propozycji posłanki Anny Záborskiej: „Mówi się o pomocy dla kobiet, ale w rzeczywistości anuluje się zasady, które do teraz regulowały aborcję i jej dostępność. Próbuje się je zmienić według ideologicznych wyobrażeń i uzupełnia je socjalnymi propozycjami, które są czysto populistycznym pociągnięciem”.

W Bratysławie protest przed parlamentem trwał 72 godz. Podczas niego można było podpisać petycję przygotowaną przez Progresywną Słowację (Progresívne Slovensko) przeciwko projektowi zaostrezenia prawa aborcyjnego. Tylko w ciągu 24 godz. podpisy złożyło ponad 20 tys. Słowaków. Przypomnijmy, że PS to partia pozaparlamentarna która otarła się o próg wyborczy w 2020 r. Obecnie w parlamencie zasiada jeden jej poseł Tomáš Valášek, który przeszedł w trakcie kadencji z innej partii. Z tej partii

temat. Mijatović wysłała list do przewodniczącego słowackiego parlamentu Borisa Kollára z partii Jesteśmy Rodziną. „Proszę przyjąć moje wyrazy zaniepokojenia projektem ustawy z 31 sierpnia, który niebawem będzie dyskutowany w parlamencie. Kilka przepisów tej ustawy wprowadza ograniczenia dla kobiet w dostępie do bezpiecznej i legalnej aborcji, co na Słowacji byłoby sprzeczne z prawem międzynarodowym w obszarze praw człowieka i zagrażałoby zdrowiu i prawom reprodukcyjnym kobiet”, napisała Mijatović. To już jej trzeci w tej sprawie list w ciągu trzech lat.

Przy okazji protestów przeciwko zaostrezeniu prawa aborcyjnego gazeta „Denník N” opublikowała wyniki sondażu przeprowadzonego w 2020 r. przez czeską agencję Kantar CZ i słowacki Focus wśród młodych Czechów i Słowaków w wieku 15-29 lat. W każdym kraju przepytano 1500 osób. Okazuje się, że młodzi Słowacy są o wiele bardziej konserwatywni w porównaniu ze swoimi rówieśnikami z Czech. 80% młodych Słowaków uważa, że małżeństwo powinno dotyczyć jedynie kobiety i mężczyzny. Mniej niż połowa młodych Słowaków jest

Przeciwnicy nowego prawa wskazują, że lekarze przestaną informować o możliwości przeprowadzenia aborcji.

wywodzi się prezydentka Zuzana Čaputová, ugrupowanie ma też swoich europosłów.

Anna Záborská skrytykowała protesty przeciw jej propozycji, twierdząc, że ludzie są pod wielkim wpływem propagandy, która nie ma oparcia w rzeczywistości. „Nie mogę uwierzyć, że na Słowacji dotarliśmy do miejsca, że protestujemy przeciw pomocy słabszym, w tym przypadku przeciw pomocy kobietom w ciąży, które mają kłopoty i chcą donosić swoje dzieci”. A warto dodać, że przeciw jej propozycji protestują także lekarze i lekarki.

Głos zabrała również komisarz praw człowieka Rady Europy Dunja Mijatović, stojąca na czele niezależnego organu RE, którego zadaniem jest promowanie poszanowania praw człowieka oraz wiedzy na ich

zdania, że osoby homoseksualne mają prawo zawierać rejestrowane związki partnerskie. Takie rozwiązanie w Czechach popiera 80% młodych, a prawem do zawierania rejestrowanych związków partnerskich osoby homoseksualne cieszą się już 15 lat. Młodzi Czesi mają liberalniejsze spojrzenia na małżeństwa par jedнопłciowych, popiera je połowa ankietowanych. Ankietowanych zapytano także o pogląd na aborcję. Co trzeci młody Słowak nie zdecydowałby się na usunięcie ciąży i przeszkadza mu, gdyby ktoś przeprowadził ten zabieg. W Czechach taki pogląd wyraził tylko co piąty młody ankietowany. Badani mężczyźni przed odpowiedzią mieli sobie wyobrazić, że aborcję miałyby przeprowadzić ich partnerka.

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

„Wolność! Wolność!” – z takimi okrzykami rozjuszeni manifestanci zaatakowali siedzibę Włoskiej Po-wszechnej Konfederacji Pracy (CGIL, pierwszy pod względem liczebności włoski związek zawodowy – przyp. aut.). Zakapturzone i zamaskowane osiłki z kijami w ręku zaczęły wybijać okna i kopać drzwi, po czym wpadły do środka i zdewastowały wszystko: komputery, meble... Wśród bojówkarzy wyróżniał się półnagi gość z wytatuowanymi na plecach skrzydłami. Atak filmowało wiele osób, entuzjastycznie dopingując manifestantów. Biagio Passero, jeden z liderów ruchu „Ja otwieram”, skupiającego właścicieli restauracji, którzy podczas tegorocznego lockdownu łamali przepisy, otwierając swoje lokale, zrobił nawet transmisję na żywo na Instagramie. „Wdarli się! Jesteśmy w środku! Chłopa, weszliśmy do CGIL! Jesteśmy w środku CGIL! Kto chce miejsce pracy?”, mówił, dokumentując agresję, zupełnie nieświadomy, że jego wideo stanie się dowodem oskarżenia.

To, co wydarzyło się w Rzymie 9 października 2021 r., przypominało atak na Kapitol w Waszyngtonie 6 stycznia br. Właściwie było jego imitacją. Brakowało tylko rozwścieczonego Donalda Trumpa, który zza kulis reżyserował zamach na Kongres. Chociaż nie... Jego również imitował, bardzo nieudolnie, Giuliano Castellino, jeden z liderów włoskiej partii neofaszystowskiej Forza Nuova. „Zabawa się skończyła! Tacy jak my nie pochylają głów!”, groził Castellino, stojący na czele wyreżyserowanego ataku na związki zawodowe. Podobno całą akcję pobłogosławił nawet były nuncjusz apostolski w Waszyngtonie, abp Carlo Maria Viganò, wielki przeciwnik papieża Franciszka i sojusznik ekstremalnej prawicy, którego obecność zapowiadano w Rzymie na manifestacji przeciwko Wielkiemu Resetowi i Nowemu Porządkowi Świata.

Przepustka sanitarna

W połowie września premier Mario Draghi zapowiedział, że 15 października wejdzie w życie dekret rządowy,

Nie masz szczepienia, nie pracujesz

Radykalne działania włoskiego rządu
mają zmobilizować obywateli do szczepień
przeciw COVID-19

na mocy którego wszystkie osoby nieposiadające tzw. *green pass*, czyli dokumentu z kodem QR, zaświadczonego o zaszczepieniu, przebyciu COVID-19 lub negatywnym wyniku testu na koronawirusa, nie będą mogły wejść do miejsca pracy. W ten sposób rząd chce osiągnąć jak najwyższy poziom szczepień w kraju, w którym na skutek covidu zmarło 132 tys. osób (najwięcej w Europie) i którego gospodarka ucierpiała najbardziej z powodu obostrzeń. We Włoszech zaszczepiło się 77,3% całej populacji i 84,8% osób powyżej 12. roku życia. Około 5,5 mln obywateli w wieku produkcyjnym nie poddało się jeszcze dobrowolnemu szczepieniu: 14,1% w wieku 20-29 lat,

Protesty antyszczepionkowców wykorzystują neofaszyści.

19,4% między 50. a 59. rokiem życia i 10,8% w wieku 60-69 lat. Rząd, którego kampanią szczepionkową kieruje gen. Francesco Paolo Figliuolo, planuje zaszczepienie 90% całej populacji (10% niezaszczepionych to fizjologiczny margines wszystkich kampanii szczepionkowych), licząc na to, że w ten sposób zostaną ograniczone koszty hospitalizacji, uniknie się szybkiego rozprzestrzeniania się nowych wariantów koronawirusa, a także ewentualnych nowych obostrzeń, takich jak lockdown, których włoska gospodarka nie wytrzymałaby. „Pisze się *green pass*, czyta się PKB *pass*”, powiedział premier Draghi.

Ponieważ we Włoszech nie można wprowadzić przymusu szczepienia przeciw koronawirusowi, rząd próbuje przekonać obywateli poprzez upowszechnienie przepustki sanitarnej i obowiązku posiadania jej

w miejscach pracy. To najbardziej radykalne do tej pory posunięcie na świecie. Premier jest jednak przekonany o jego konieczności i skuteczności. Włosi jako pierwsi w Europie wprowadzili lockdown, teraz są pewni, że także inne kraje szybko wezmą z nich przykład w kwestii *green pass*ów.

Zaświadczenie z kodem QR przyjęło we Włoszech dość dziwną nazwę zielonej przepustki, gdyż na początku zostało przewidziane jako paszport sanitarny umożliwiający podróże. Od 15 października każda osoba pracująca w sektorze zarówno publicznym, jak i prywatnym musi je okazywać. Za jego sprawdzanie odpowiedzialni są pracodawcy, którzy pod tym względem mają wybór, czy dokonywać kontroli przy wejściu każdego dnia, czy też selektywnie. Kto nie posiada przepustki, zostaje uznany za nieobecnego w pracy bez usprawiedliwienia – tym samym nie otrzyma wynagrodzenia i nie będą mu naliczane składki, a w sektorze publicznym traci staż i urlop. W przypadku kontroli losowych pracownikowi bez ważnej przepustki sanitarniej grozi grzywna w wysokości od 600 do 1,5 tys. euro, która może zostać podwojona w razie ponownego naruszenia. Pracownicy nie mogą jednak zostać zawieszeni ani zwolnieni w żadnych okolicznościach. Jeżeli pracownik nie chce się zaszczepić, może okazywać co 48 godzin szybki test antygenowy lub co 72 godziny test molekularny. Kosztami testów jest obciążony pracownik. Ze szczepień są zwolnione osoby z przeciwwskazaniami.

Według ankiety przeprowadzonej przez centrum badawcze Engage-Minds Hub 60% Włochów uważa *green pass* za „miarę społecznej odpowiedzialności”, 56% jest zdania, że



W Rzymie przeciw restrykcjom 9 października protestowały tysiące mieszkańców.

skutecznie ogranicza infekcje, a 55% jest przekonanych o słuszności uniemożliwienia dostępu do miejsca pracy osobom, które zaświadczenia nie mają. Choć odsetek zaszczepionych we Włoszech jest jednym z najwyższych w Europie i większość Włochów zaszczepiła się z przekonaniem, kwestia wprowadzenia przepustki sanitarnej stanowi problem.

No Pass i inni

We Włoszech pozostało 2,5 mln nieszczepionych pracowników, z czego ponad 2,2 mln pracuje prywatnie. W sektorze portowym i przeładunkowym (zwłaszcza w porcie w Trieście) aż 40% nie ma zielonej przepustki. W logistyce i transporcie nie posiada jej 30%, do tego dochodzą kierowcy ciężarówek spoza UE, np. zaszczepieni Sputnikem niewpisanym na listę szczepionek uznawanych w Unii, a więc niekwalifikującym do posiadania green passu. W transporcie publicznym ważnej przepustki sanitarnej nie ma 10-20% zatrudnionych. W rolnictwie niezaszczepionych jest 390 tys. osób. Bardzo specyficzną kategorię stanowią gospodynie domowe i opiekunki osób starszych, z których większość pochodzi z zagranicy – tu aż połowa jest nieszczepiona

i nie chce się szczepić. W sektorze obrony i bezpieczeństwa przed 15 października prawie 60 tys. osób nie przyjęło szczepionki. W Turynie praktycznie co trzeci policjant nie zaszczepił się, choć w Rzymie i Mediolanie sytuacja jest lepsza. Wśród personelu sanitarnego, dla którego wprowadzono obowiązek szczepień przeciw koronawirusowi, nie zaszczepiło się jeszcze ok. 45 tys. osób – to ok. 2,3% pracowników.

Przeciwnicy wprowadzenia przepustki sanitarnej od kilku miesięcy protestują dość systematycznie w wielu miastach Włoch, przyrównując posunięcia rządu do „dyktatury sanitarnej”, przedstawiając premiera Maria Draghiego i ministra zdrowia Roberta Speranzę jako Hitlera i Goebbelsa i domagając się dla nich „trybunału norymberskiego” za zbrodnie przeciwko ludzkości. Sami porównują się do ofiar Holocaustu, przypinając sobie żółtą gwiazdę Dawida (co budzi krytykę włoskich gmin żydowskich), nazywając przepustkę *Nazipass* i twierdząc, że ma to samo znaczenie co *Ahnenpass*, paszport aryjski wprowadzony w Niemczech w 1933 r. Do grupy No Pass należą przekonani antyszczepionkowcy (których liczba wzrosła w ostatnich latach), zwolennicy teorii spiskowych,

pseudonaukowcy, włoscy zwolennicy ruchu francuskich „żółtych kamizelek” pod wodzą byłego generała Antonia Pappalarda (głównego agitatora rewolucji ulicznych – przyp. aut.), a nawet sędziowie, tacy jak Angelo Giorgianni. Praktycznie każdy sektor ma jakiegoś No Vax czy No Pass, starającego się zebrać wokół siebie grupę ludzi. Są też emeryci, nie zawsze doinformowani; rodziny z dziećmi przeciwne ich szczepieniu; osoby panicznie bojące się szczepionek i ukłucia igły; pracodawcy i pracownicy obawiający się, że *green pass* uniemożliwi im pracę. „Nie jestem przeciwko szczepionce, ale zielona przepustka jest zła dla gospodarki”, tłumaczył pewien właściciel restauracji. Stanowisko to podzielają pracownicy wielu sektorów, którym nowe normy bardzo utrudnią życie.

Pod ruch No Pass podłączyły się również neofaszystowska partia Forza Nuova oraz organizacja neofaszystowska CasaPound. Od ruchu nie stronią też anarchiści ani grupy ze skrajnej lewicy.

No Pass porozumiewa się i integruje za pomocą komunikatora Telegram, gdzie do grupy można wejść tylko z odpowiednią rekomendacją. Tam nadal panoszą się fejki, które z większości mediów

► społecznościowych są już skutecznie eliminowane, np. te, że szczepionki były testowane na stadzie małą, które zdechły; że są produkowane z ludzkich embrionów; że pandemii nie ma, a rzeczywistość, w której żyjemy, to Wielki Reset i próba zaprowadzenia Nowego Porządku Świata, mającego pozbawić wolności wszystkich obywateli. Wśród wrogów ruchu są dziennikarze mediów oficjalnych i wirusolodzy, uważani za terrorystów i sługusów systemu.

Czarna sobota

W sobotę, 9 października, na placu Wszystkich Ludzi w Rzymie zgromadziło się ok. 10 tys. osób. Z trybuny przemawiał m.in. Giuliano Castellino, który był już pod nadzorem policji i miał zakaz udziału w manifestacjach publicznych. „Jest nas 100 tys.! My jesteśmy ludem! Odbierzemy dziś Rzym!”, krzyczał przez mikrofon, żądając dymisji premiera Maria Draghiego i prezydenta Sergia Mattarelliego. Pacyfistyczna manifestacja szybko przemieniła się w rozruchy uliczne. Neofaszyści ruszyli na czele protestantów w kierunku siedziby rządu w Pałacu Chigi. Doszło do ostrych starć z policją i ataków na dziennikarzy. Centrum miasta zostało dość mocno zdewastowane. Potem protestujący skierowali się do biura związków zawodowych

CGIL, eskortowani przez policję, która myślała, że skończy się na jakiejś symbolicznej akcji. Bojówki neofaszystów z krzykiem „Wolność! Wolność!” zaatakowały budynek i wdaruły się do biura.

W nocy policja i służby specjalne zatrzymały organizatorów marszu i odpowiedzialnych za atak, wśród których byli dobrze znany w Polsce Roberto Fiore, założyciel Nowej Siły, rzymski lider Forza Nuova Giuliano Castellino, Luigi Aronica – historyczny lider neofaszystowskiej organizacji terrorystycznej Zbrojne Komórki Rewolucyjne, właściciel restauracji Biagio Passaro oraz Pamela Testa, która w imieniu stowarzyszenia Wolni Obywatele ogłosiła strajk okupacyjny w Rzymu.

Rząd włoski chce osiągnąć zaszczepienie 90% całej populacji.

Prawie wszystkie partie polityczne i osobistości wyraziły solidarność z CGIL. Z pewnym opóźnieniem przyszła reakcja Ligi Mattea Salvini i Włoskich Braci Giorgii Meloni. We Włoszech rozpalila się dyskusja dotycząca rozwiązania Nowej Siły.

„Neofaszystowski atak na rzymskie biuro CGIL jest częścią »strategii«, mającej na celu zdominowanie włoskiego świata pracy i zmianę modelu

społecznego – skomentował sekretarz generalny CGIL, Maurizio Landini, podkreślając, że generalnie atakuje się rzeczy, które mają znaczenie i wartość. – Odczytuję ten atak jako kwestionowanie roli, którą największy włoski związek zawodowy może pełnić w przyszłości. Przypomina on sytuację sprzed stu lat, gdy bojówki faszystowskie zaatakowały po raz pierwszy korporacje robotników. Zaraz po tym Mussolini przejął władzę”.

Tydzień później, 16 października, w Rzymie odbyła się antyfaszystowska manifestacja solidarności z CGIL, w której według organizatorów wzięło udział niemal 200 tys. osób.

Na 15 października, dzień wejścia w życie dekretu ustanawiającego przepustkę sanitarną w miejscach pracy, zapowiedziano strajk paraliżujący cały kraj organizowany przez ruch No Pass. To miał być „czarny piątek” przeciwko dyktaturze sanitarnej, ale skala protestów była mniejsza, niż się tego

spodziewano. W porcie w Trieście, gdzie jest największa liczba pracowników niezaszczepionych, strajkowało ok. 5 tys. osób, port jednak się nie zatrzymał. W Genui i Ankonie podjęto próbę zablokowania ciężarówkami wjazdu do tamtejszych portów. W sektorze transportowym miało miejsce kilka blokad na autostradzie, ale nie wywołały ogólnego paraliżu kraju. W Rzymie w Circus Maximus i w centrum Mediolanu oraz w kilku innych miastach odbyły się manifestacje z udziałem kilkunastu tysięcy osób. W stolicy Lombardii, która na początku pandemii została najbardziej dotknięta przez covid, doszło do starć policji z grupami antyszczepionkowców i przeciwników przepustki sanitarnej oraz do aresztowań. Tam w zamieszkach ulicznych dominowali anarchiści. Okupacja portu w Trieście trwała do 18 października, kiedy to interweniowała policja, używając armatek wodnych.

Czy twarda linia Maria Draghiego przyniesie rezultaty? Zapisy na szczepienia zwiększyły się z dnia na dzień o 46%, w ciągu tygodnia liczba wszystkich zaszczepionych osiągnęła 81%. Jednak członkowie ruchu No Pass nie mają zamiaru poddać się i będą dalej protestować. We Włoszech zapowiada się bardzo gorąca jesień.

Agnieszka Zakrzewicz



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Wycisnąć cwaniaków

Prezes niedawno przemówił: „Dzisiaj często sugeruje się ludziom, że nowoczesność to w gruncie rzeczy to wszystko, co przychodzi z Zachodu, a co rozbija normalny, naturalny porządek rzeczy. Nie, proszę państwa, to nie jest nowoczesność, to jest kolejny atak różnego rodzaju ideologicznych szaleństw. Chcemy, by to nasze hasło: jedna Polska, jeden naród, jedne szanse, jedna godność, zostało zrealizowane. To jest nasze postannictwo, nasze zadanie. Żaden przeciwnik, sam diabeł nas nie zatrzyma w walce o to, byśmy to zadanie, to postannictwo zrealizowali”. Bardzo znamienne słowa, klucz do obłąkanej wizji prezesa. Chce stworzyć nową alternatywę dla europejskiej cywilizacji. Zachód, więc też Unia, jest źródłem zła, moralnego zepsucia. To poglądy pokrewne islamistom, którzy toczą swoją wojnę z Zachodem. Nie wygrają jej, prezes także jest bez szans. Bo to, co mają do zaproponowania, cuchnie stęchlizną. A jaka jest nowa moralność PiS, widać jak na dłoni: nepotyzm, korupcja, podły konformizm, niszczenie demokracji i te słynne „dzieci z Michałowa”. Prezes ma dobry czas, gdy chodzi o mówienie rzeczy ważnych, a nawet doniosłych. W wywiadzie dla RMF FM mówił o Polskim Ładzie, kto zyska, kto straci: „Tylko ci, którzy żyją z cwaniactwa, mogą rzeczywiście stracić. Ogromna większość na tym zyska”. To myślenie Władysława Gomułki. Ci, którzy lepiej zarabiają, to badylarze, cwaniacy, a więc przedsiębiorcy to cwaniacy, tylko lud pisowski porządnym.

Jest u nas P., młody przedsiębiorca, ma wiatrak w plecach; nawiedza nas prosto z lotniska, był we Włoszech, wcześniej w Mołdawii, wcześniej w Pekinie, lata w interesach. Do tej pory obojętny politycznie, ale prezes go przekonał. Poczuł się znieważony, że prezes wyzywa go od cwaniaków.

Spotkanie z uczniami w mojej dawnej szkole nr 34, kiedyś gen. Świerczewskiego, teraz Cervantesa. W dawnej sali gimnastycznej, przerobionej na salę konferencyjną. Niebotycznie wysoko sufit, jednak nie ma już koszy do gry w koszykówkę ani drabinek. Nie wiadomo dla czego najlepiej pamiętam skoki przez skórzanego kozła. I jego cuchnącą woń. Chodziłem do tej szkoły od 1957 do 1968 r., podstawowa i liceum były połączone podziemnym korytarzem, obecnie zamienionym na magazyn potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy. Pamiętam, jak pierwszego pełnego grozy dnia szkoły stoję w tym korytarzu w parze z Adasiem Sandauerem i pytam zagubiony, czy to nasza klasa, czy to I A. Wcześniej zacząłem mieć

poczucie zagubienia, z latami to poczucie mi się nasiliło. Adam miał niedawno przeszczep płuc. Nie utrzymujemy teraz stosunków, gniewa się na mnie za to, jak opisałem jego ojca w „Domu pisarzy w czasach zarazy”. A przecież serdecznie. Ale się nie dziwię. Zdziwaczał, skoro jeździł na audycje do Radia Maryja.

Staram się nie nudzić młodych i nie nudzę, bo uważają. Mówię mało pedagogicznie: byłem kiepskim uczniem, jednym z gorszych, a spotykam się z wami jako człowiekiem, który coś osiągnął, i dziwnie się czuję, bo z sytuacji kiedyś podrzędnej mówię teraz niejako nadrzędnie, jakże górując nad tamtym kiepskim uczniem, a nawet nad Januszem Drzewieckim, który był prymusem w naszej klasie, a gdzie on teraz? I jeszcze jedno wzruszenie. Mój ojciec też miał spotkanie z uczniami, chyba byłem jeszcze w szkole podstawowej, w tej samej sali, ale z koszami do gry w koszykówkę, z zapachem potu uczniowskich ciał. O czym mówił? Pamiętam tylko, że sala była pełna, jak pełna jest teraz. Jakże chętnie bym tego teraz wysłuchał.

Prezes chce stworzyć nową alternatywę dla cywilizacji europejskiej. Zachód jest źródłem zła, moralnego zepsucia.

Stoję potem na dziedzińcu szkoły, prawie niezmienionym, tylko głowa gen. Świerczewskiego na postumencie została ścięta po 1989 r. i wymieniona na głowę Cervantesa. Jak to wszystko się splata i rozplata. Będąc w latach 90. dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie, spotkałem Alfreda Jesiona, emigranta '68, który tę głowę generała wyrzeźbił, i ode mnie się dowiedział, że ją ścięto w ramach zmiany systemu. Na szczęście tylko takie głowy wtedy ścinano. Pamiętam, jak tę rzeźbę generała odstawiano. Zgromadzono nas na dziedzińcu. Gdy opadła zasłona, wszyscy jęknęli, bo ta tyśa głowa generała zdawała się identyczna jak głowa naszego dyrektora Redlicha. Był dyktatorem w tej szkole i podnosił krnąbrnych uczniów za ucho. Napisałem jakiś czas temu wiersz o tej szkole, czytam go teraz uczniom, są tam słowa, że wszyscy moi nauczyciele już umarli, a tu niespodzianka. Już po napisaniu tego wiersza znalazłem nekrolog pani Zofii Kurylin, zmarła w wieku 92 lat, straszna kobieta, ale nauczyła nas rosyjskiego.

Idąc potem do samochodu, myślę: jak ten szkolny podziemny korytarz zagracony, tak i mój łączący tamten i obecny czas zagracony, staram się precyzyjnie, ale nie mogę.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Bagdad pójdzie własną drogą?

Wybory parlamentarne w Iraku wygrali nacjonaści domagający się ograniczenia wpływów amerykańskich i irańskich



Komisja wyborcza nie wywiązała się z nałożonego na nią obowiązku opublikowania ostatecznych wyników w ciągu doby od zamknięcia lokali.

Jakub Katulski

Irakijczycy poszli do urn po raz piąty od amerykańskiej inwazji, która w 2003 r. obaliła reżim Saddama Husajna, dyktatora, który rządził krajem nieprzerwanie przez 24 lata. Obalenie sunnickiego reżimu Saddama sprawiło, że władzę w Iraku przejęła szyicka większość, stanowiąca 69% mieszkańców kraju. Aż do tego momentu szyici byli marginalizowani przez politykę rządzącej od 1963 r. panarabskiej i nacjonalistycznej partii Baas.

Odzyskanie władzy przez większość nie przyczyniło się jednak do zjednoczenia szyitów. Kiedy 10 października z lokali wyborczych Irakijczycy wychodzili z palcami umocznymi w niebieskim atramencie na dowód oddania głosu, jasne było, że społeczeństwo jest mocno podzielone, a jedną z linii podziału są nie tylko proamerykańskie sympatie, lecz także wpływy sąsiedniego Iranu.

O głębokim podziale społeczeństwa świadczy też ogrom zarejestrowanych partii politycznych. Według

danych Centralnej Komisji Wyborczej w kraju jest już niemal 300 ugrupowań reprezentujących interesy rozmaitych środowisk.

Demonstracje niezadowolonych

Nie wszyscy jednak mają na kogo głosować. W październiku 2019 r. Irakijczycy wyszli na ulice Bagdadu,

Głównymi przegranymi wyborów są partie wspierane przez Iran.

domagając się wymiany nie tylko rządu, ale całej klasy politycznej. Protestowali przeciw wszechobecnej korupcji, trudnemu dostępowi do dobrej jakości podstawowych usług czy zbyt małej liczbie miejsc pracy, winą za to obarczając polityków. Demonstracje szybko rozlały się na południowe prowincje kraju, a na spotkanie z nimi rząd wysłał siły porządkowe i wspierane przez Iran milicje. W wyniku ich interwencji straciło życie co najmniej 600 osób, a 30 tys. zostało rannych. Protestujący odnieśli jednak częściowy sukces, bo już w listopadzie 2019 r.

do dymisji podał się premier Abdul Mahdi. Po kilku miesiącach zastąpił go urzędujący dzisiaj Mustafa Al-Kazimi, który od razu obiecał przyspieszenie wyborów i reformę prawa wyborczego.

Kraj podzielono na 83 okręgi wyborcze, a każdemu obywatelowi przyznano prawo do oddania głosu na jednego kandydata, co oznaczało rezygnację z obowiązujących wcześniej głosów przechodnich. Przesunięcie wyborów na rok 2021 podzieliło jednak protestujących. Część z nich do samego końca uważała, że głosowanie należy zbojkotować, gdyż start w wyborach zapowiedzieli ci sami ludzie, których protestujący obwiniali o dramatyczną sytuację w kraju. Mimo zachęty ze strony rządzących i licznych duchownych zachodziła obawa, że frekwencja będzie rekordowo niska. Jeszcze w wyborczą niedzielę potwierdziła to Centralna Komisja Wyborcza, podając w komunikacie, że głos do urny wrzuciło ledwie 41% uprawnionych 25 mln obywateli. Niska frekwencja mogłaby oznaczać, że opozycja będzie podważać legitymację zbudowaną ze zwycięzców koalicji rządzącej.

Okazało się jednak, że komisja wyborcza nie wywiązała się

z nałożonego na nią obowiązku opublikowania ostatecznych wyników w ciągu doby od zamknięcia lokali. Ostatecznie po kilku dniach podano, że głos oddało 43% Irakijczyków, co jednak było wynikiem o 1,5% niższym niż w 2018 r.

Zwyciężył październik

Dla Muktady as-Sadra, szyickiego duchownego i lidera Ruchu Sadrystowskiego, wybory okazały się jednak powodem do radości. Jego nacjonalistyczne ugrupowanie, które w swoim programie domaga się

ograniczenia wpływów zarówno irańskich, jak i amerykańskich, zdobyło 73 mandaty, poprawiając swój wynik z poprzednich wyborów o 19 miejsc w parlamencie. Tak dobry rezultat as-Sadr może z pewnością zawdzięczać kampanijnej obietnicy walki z korupcją, choć niektórzy mogą mu wytknąć, że jego własna milicja wspierała rząd podczas ogólnokrajowych protestów.

To właśnie sadryści będą głównymi rozgrywającymi w rozpoczynającej

Partie proirańskie w odwrocie

Największym przegranym tych wyborów jest silny dotychczas proirański blok Al-Fatah (arab. Zwycięstwo). Jego politykom udało się objąć zaledwie 16 mandatów. Jeszcze gorszy wynik uzyskała powiązana z uznaną przez Stany Zjednoczone za organizację terrorystyczną Kataib Hezbollah (arab. Brygady Partii Boga) partia Hukuk (arab. Prawo). Ta proirańska organizacja do Rady

W Iraku jest już niemal 300 ugrupowań politycznych reprezentujących interesy rozmaitych środowisk.

się koalicyjnej rozgrywce. Ich głosy mogą zadecydować w przyszłym roku o wyborze prezydenta i zatwierdzeniu premiera, nawet jeśli oznaczaloby to przedłużenie kadencji obecnego. Bo choć Mustafa Al-Kazimi nie startował w wyborach, to wciąż parlament właśnie jemu może powierzyć misję zbudowania rządu. W przeszłości jednak budowa koalicji często trwała całymi miesiącami, trudno więc się spodziewać, by najbliższych dniach doszło do porozumienia.

Sadrystom, jako druga siła w parlamencie, będzie towarzyszył sunnicki blok Takaddum (arab. Postęp), którego liderem jest obecny przewodniczący parlamentu Mohammed Halbusi. Udało mu się zdobyć 38 mandatów, korzystając przede wszystkim ze swojej tradycyjnie silnej pozycji w największej terytorialnie prowincji Anbar. Po piętach depcze mu były premier Nuri Al-Maliki, którego szyckie Państwo Prawa poprawiło wynik z poprzednich wyborów, wchodząc do Rady Reprezentantów z 35 posłami.

Wprowadzenie większej liczby okręgów wyborczych znacząco poprawiło też szansę na wejście do parlamentu kandydatów niezależnych, dzięki czemu w Radzie Reprezentantów zdobyli oni aż 37 miejsc. Lwia część z nich to ludzie związani z protestami w 2019 r. Przypomniawszy o tym uliczne świętowanie w prowincji Zi Kar, podczas którego niesiono transparenty z nazwiskami zwycięzców wyborów, wykrzykując: „Tiszrin zwyciężył!”. „Tiszrin” po arabsku oznacza właśnie „październik”, czyli miesiąc, w którym rozpoczęły się ogólnokrajowe protesty.

Reprezentantów wprowadzi ostatecznie tylko jednego posła.

W tej sytuacji wspierane przez Iran ugrupowania odrzuciły wynik wyborów, które ich zdaniem zostały sfabrykowane. Lider Al-Fatah, Hadi al-Ameri wydał oświadczenie, w którym zapowiedział, że „będzie bronił głosów kandydatów i wyborców z pełną siłą”. Dowodów na manipulację wynikami ugrupowania dopatrują się głównie w pracy komisji wyborczej, która nie zakończyła liczenia głosów w ciągu doby od zamknięcia lokali. Co więcej, dwa dni po wyborach komisja podała, że wciąż nie otrzymała ponad 3 tys. urn, co przekładało się na ok. 60 tys. głosów. Na ostateczne wyniki trzeba było czekać aż do soboty 16 października, niemal cały tydzień.

Z tego powodu przedstawiciele proirańskich ugrupowań spotkali się w domu Nuriego Al-Malikiego, gdzie dyskutowano nad skoordynowaną reakcją na to, co nazywali „zamachem stanu” ze strony Mukhtady As-Sadra. Al-Fatah złożył skargę do Centralnej Komisji Wyborczej, ale niektóre bardziej radykalne ugrupowania domagały się, by wynikiem przeciwstawić się zbrojnie. Al-Fatah ma do tego środki, jest bowiem politycznym ramieniem liczących nawet 130 tys. bojowników Sił Mobilizacji Ludowej (Al-Haszd Asz-Szabi), sojuszu milicji zawiązanego w celu obrony irackiej ludności szyckiej przed fanatykami z Państwa Islamskiego. Choć inicjatorem powstania Sił był w 2014 r. popularny iracki ajatollah Ali As-Sistani, o którym głośno zrobiło się w Europie, kiedy w marcu spotkał się z papieżem Franciszkiem, to milicje

oskarżane są o to, że rzeczywistą kontrolę sprawuje nad nimi Teheran.

Jednak obawy o to, że Iran traci kontrolę nad sytuacją w Iraku, są przedwczesne. „Wybory w Iraku mają niewielkie znaczenie, zwłaszcza w obliczu siły szyckich milicji i finansowych powiązań irackiej elity z Teheranem – mówi Marcin Krzyżanowski, ekspert Warsaw Institute ds. Bliskiego Wschodu. – Dlatego w mediach było sporo relacji z wyborów, ale bez ekscytacji. Skupiano się jedynie na fakcie, że do wyborów doszło”.

Dotychczas przeciwwagę dla obecności Iranu stanowili Amerykanie. W najbliższym czasie ma to się zmienić, bo jedynie do końca tego roku ich i tak dogasająca misja ma mieć charakter typowo wojskowy. Prezydent Joe Biden potwierdził, że od stycznia amerykańscy żołnierze będą jedynie szkolić i doradzać irackim siłom zbrojnym, a także pomagać, gdyby znowu pojawiło się znaczące zagrożenie ze strony Państwa Islamskiego.

Trudno więc przewidzieć, czy wybory niosą duże zmiany zarówno dla przeciętnego Irackijczyka, jak i dla zagranicznych interesów w kraju. Tym bardziej że sąd najwyższy Iraku wciąż nie zatwierdził ostatecznych wyników. Dopiero gdy to się wydarzy, na dobre rozpoczną się starania o budowę rządzącej krajem koalicji. ■

FAKTY PO MITACH

prof. Obirek:
Polscy biskupi są potrzebni głównie polskiemu biskupom

Nowy numer już w kioskach!

Chrystian Ślusarczyk

Jeśli ktoś myśli, że typowy afgański wojownik to długobrody mężczyzna w powłóczystych szatach, poruszający się rozklekotaną starą toyotą, jest w wielkim błędzie. Dziś coraz większe znaczenie zyskuje elitarny oddział Badri 313. Na filmach propagandowych żołnierze są pokazani w mundurach, nowoczesnych hełmach, butach, kominiarkach i kamizelkach kuloodpornych podobnych do tych, jakie noszą siły specjalne na całym świecie. Zamiast starego kałasznikowa trzymają amerykańskie karabinki automatyczne M4, czasami z noktowizorami i zaawansowanymi celownikami. Wiele wskazuje, że oddział ma na wyposażeniu wielozadaniowy pojazd humvee, opracowany dla armii USA. Elitarne komando z pewnością dąży do tego, by skutecznie konkurować z podobnymi jednostkami bojowymi Indii czy Pakistanu.

Jego nazwa to upamiętnienie bitwy koło Badri (dzisiejsza Arabia Saudyjska), gdzie 13 marca 624 r. wojska proroka Mahometa pokonały oddziały Kurajczytów (plemię beduińskie zamieszkujące okolice Mekki). Prorok miał wtedy do dyspozycji jedynie 313 wojowników. Dziś, jak możemy sądzić z nielicznych przekazów, bojowników gotowych oddać życie za swojego duchowego przywódcę jest ponad 1000.

Badri 313 to jednostka – jak na warunki afgańskie – świetnie wyszkolona. Zdaniem Matthew Henmana, szefa wydziału ds. terroryzmu i protestów społecznych w specjalistycznym „Jane’s Magazine”, wiele wskazuje, że szkolenie początkowe zagwarantował jej Pakistan. CNN z kolei twierdzi, że Badri 313 używa amerykańskiego uzbrojenia. Także

Badri 313 – nowa twarz afgańskich talibów

Amerykańskie uzbrojenie, pakistańskie wyszkolenie



Żołnierze oddziału Badri 313 na lotnisku w Kabulu, 31 sierpnia 2021 r.

ofensywa zapoczątkowana w maju br. przez Badri 313 zdecydowała o szybkim i skutecznym opanowaniu niemal całego kraju przez talibów. Według „Jane’s Defence” oddziały, które można określić jako prekursorów Badri 313, w latach 2017-2020 były wykorzystywane do walki z ISIS.

Amerykańskie media twierdzą, że część bojowników Badri 313 łączy

W tym czasie Haqqani utrzymywał bliskie stosunki z Osamą bin Ladeinem, jednocześnie będąc wspierany przez... CIA. Od śmierci Haqqaniego w 2018 r. siecią kieruje jego syn i długoletni zastępca, Siradżuddin. Wspierane przez USA obalenie talibów w 2001 r. zmusiło siatkę do przegrupowania się w Pakistanie, ale wkrótce zaczęła ona prowadzić operacje transgraniczne.

Przez lata sieć Haqqani uważana była za najskuteczniejszy oddział rebeliancki atakujący zarówno siły amerykańskie i koalicyjne w Afganistanie, jak i samych Afgańczyków. Ma na koncie serię brutalnych zamachów terrorystycznych i porwań. Przez ONZ, USA i Wielką Brytanię została uznana za organizację terrorystyczną. Blisko współpracuje z Al-Kaidą i pakistańską agencją wywiadowczą ISI. Grupa

Dzkie góry i półpustynne obszary Afganistanu kryją w sobie wiele cennych minerałów, przede wszystkim lit, boksyty, miedź i żelazo.

AFP uważa, że gogle noktowizyjne czy broń osobista to sprzęt wyprodukowany w USA.

„Long War Journal”, specjalizujący się w tematyce walki z terroryzmem, przekonuje, że właśnie

ściśle powiązania z siecią Haqqani. To radykalne sunnickie ugrupowanie założone przez Dżalaluddina Haqqaniego – afgańskiego watażkę i liczącego się dowódcę podczas wojny afgańsko-radzieckiej 1979-1989.

jest również zaangażowana w działalność przestępczą w Afganistanie i Pakistanie, w tym wymuszenia, porwania dla okupu i przemyt. Dziś część analityków jest skłonna twierdzić, że sieć Haqqani była i wciąż chce pozostać na wpół autonomiczna. Potencjalne spory i walka o wpływy mogą więc pomniejszyć skuteczności działań Badri 313 – oddziału ceniącego sobie niczym nieskrępowane działania.

Bogactwo surowców mineralnych leży dziś – dosłownie i w przenośni – u stóp talibów rządzących 39-milionowym krajem. Dzikie góry i półpustynne obszary Afganistanu kryją w sobie wiele cennych minerałów, przede wszystkim lit, boksyt, miedź i żelazo. Talibowie skrupulatnie analizują raport Amerykańskiego Towarzystwa Geologicznego ze stycznia br. Jak wiadomo, kraje rozwinięte dążą do wyzwolenia się od ropy i gazu. Afgańskie surowce mogą się okazać niezwykle istotne w procesie magazynowania i transportowania energii.

W ostatnim czasie cena miedzi na światowych rynkach przekroczyła 10 tys. dol. za tonę. Surowiec ten wykorzystywany jest m.in. do produkcji urządzeń elektronicznych. Talibowie znają też wartość litu – to surowiec XXI w. Wykorzystywany jest do magazynowania energii elektrycznej w bateriach, zarówno w elektrowniach słonecznych, jak i wiatrowych. W roku 2020 Unia Europejska wpisała lit na listę 30 najważniejszych, strategicznych surowców decydujących o niezależności energetycznej UE. Międzynarodowa Agencja Energetyczna (MAE) ocenia, że do 2040 r. zapotrzebowanie na lit wzrośnie... 40-krotnie! Jak czytamy we wspólnym raporcie ONZ i UE, podziemny skarb, którym władają talibowie, wart jest setki miliardów dolarów.

Czy Afganistan stanie się surowcowym eldorado? Na razie eksperci nie dają jasnej odpowiedzi. Przede wszystkim z powodu niestabilnej sytuacji politycznej i nie do końca jasnych deklaracji, jak talibowie mogliby wykorzystywać gigantyczne środki, które zasilą ich konta. Bo na inwestowanie miliardów w projekty podobne do Badri 313 czy sieci Haqqani świat nie będzie patrzył przychylnym okiem.

Zielone kołowanie – odpowiedź na polemikę

Brak słów, jak bardzo się cieszę z wywołania polemiki moim artykułem „Zielone kołowanie” (PRZEGLĄD, nr 38). To dowód, że problem istnieje i boli. Pan Henryk Martenka, autor polemiki „Kołowanie czytelnika, czyli słowo sprostowania” (PRZEGLĄD, nr 40), jest świetnym dziennikarzem i moim ulubionym autorem, w sprawach społeczno-politycznych na ogół zgadzam się z jego opiniami. W tym technicznym temacie jednakowoż odnoszę wrażenie, że uległ amerykańskim sugestiom i nieco dał się wpuścić w maliny. Nigdy nie przestanę mnie zdumiewać, jak łatwo poważne firmy topią spore kwoty w przedsięwzięciach o wątpliwych perspektywach.

Skala oszczędności paliwa jest poza wszelką dyskusją – niezależnie od źródła są to gigantyczne kwoty. Korzyści ekologiczne – zmniejszona emisja dwutlenku węgla, toksycznych spalin, hałasu, i oszczędność silników samolotów są również ogromne.

Nie miejsce tutaj na wzory matematyczno-fizyczne, pozwalające obliczyć, jaka moc (a dokładniej moment ciągnący) jest potrzebna, aby poruszyć z miejsca 230-tonową masę dużego samolotu – dreamlinera lub airbusa A-350. Posłużę się przykładem zrozumiałym dla każdego, kto choć trochę zna się na motoryzacji. Samochód ze średnio-wyższej półki ma silnik o mocy 150-200 KM, czyli 110-150 kW (zgodnie z układem SI). Ale równie ważny jest moment obrotowy, w takich samochodach rzędu 300-400 Nm – gdyż to on decyduje o zdolności do żwawego ruszania i rozpędzania pojazdu, który waży ok. 2 ton, czyli sto razy mniej niż samolot. Dwa „dwustukonne silniki” to z całą pewnością za mało, aby zapewnić wielokrotne żwawe ruszanie masy samolotu podczas kołowania. Potwierdzi to każdy kompetentny inżynier stosownymi obliczeniami.

Jednakże nie tylko w tym problem – moc silników podziemnych ciągników zawsze można zwiększyć. Jednak gdybym był szefem firmy zarządzającej dużym portem lotniczym, propozycję rozkuwania nocami żelbetowych podłoży dróg kołowania w odcinkach 100-metrowych od razu uznałbym za nierealną. Na lotnisku Charles’a de Gaulle’a (CDG) w Paryżu mają one ok. 44 km. Nie wyobrażam sobie gromadzenia wieczorem wielkich ilości maszyn i sprzętu, a przed świtem sprzątanego go, aby kołujące samoloty nie zahaczyły o coś skrzydłem. A zabezpieczenia wykopów, aby samoloty mogły po tym przejeżdżać? Betonowanie ścian tuneli czy też podłoża pod prefabrykowane segmenty? Beton, jak wiadomo, wiąże trwale po 28 dniach. A kilometry szczelin do zaczepów ciągników ATS? Raczej nie byłoby łatwe do pokonania dla niewielkich przednich kół samolotów, o setkach mniejszych pojazdów nie wspominając. Przednie podwozia samolotów są bardzo delikatne, żaden konstruktor nie obliczał ich na takie obciążenia. Już słyszę te głosy oburzenia i protestów linii lotniczych.

Tak więc nawet przy zastosowaniu najnowszych technologii i wyrafinowanego sprzętu byłoby to przedsięwzięcie karkołomne i niezwykle kosztowne. A lotnisko musi działać, nawet w nocy, przy stosowaniu procedur antyhałasowych, niezależnie od wszystkiego.

Jakkolwiek więc patrzeć, promowany w moim artykule system robotów holujących samoloty nie wymaga żadnych inwestycji infrastrukturalnych w porcie lotniczym, poza zainstalowaniem ładowarek i (korzystnie) solarne systemu pozyskiwania energii elektrycznej. Koszt jest nieporównanie niższy. Raczej więc pozostanę przy swoim zdaniu, popartym opiniami wielu kompetentnych specjalistów.



Andrzej J. Szymyszt

Uwięzić opozycję!

Kompromitacją reżimu sanacyjnego był nie sam proces brzeski, ale sposób traktowania oskarżonych w twierdzy

Bohdan Piętka

26 października 1931 r. przed Sądem Okręgowym w Warszawie rozpoczął się proces przywódców Centrolewu, który przeszedł do historii jako proces brzeski (od twierdzy brzeskiej, w której przetrzymywano oskarżonych). Ze względu na to, że oskarżono w nim przywódców legalnej opozycji parlamentarnej, oraz na charakter i rozgłos sprawy, należy uznać go za największy proces polityczny II RP (choć pod względem liczby oskarżonych większy był proces lwowski 23 działaczy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów w 1936 r.). Na ławie oskarżonych zasiadło 11 osób: Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Herman Lieberman, Mieczysław Mastek i Adam Pragier z Polskiej Partii Socjalistycznej, Władysław Kiernik i Wincenty Witos z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”, Kazimierz Bagiński i Józef Putek z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” oraz Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chłopskiego.

Śledztwo w sprawie brzeskiej prowadzili prokurator Czesław Michałowski (od 4 grudnia 1930 r. do 15 maja 1936 r. minister sprawiedliwości i naczelny prokurator RP) oraz sędzia śledczy Jan Demant. Oskarżonych sądził zespół sędziowski w składzie: Klemens Hermanowski (przewodniczący), Stanisław Leszczyński i Jan Rykaczewski. Oskarżycielami zostali prokuratorzy Witold Grabowski i Robert Rauze.

Akt oskarżenia zarzucał oskarżonemu, że w okresie od roku 1928 do 9 września 1930 r. „po wzajemnem [tak w oryginale – przyp. aut.] porozumiewaniu się i działając świadomie, wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby, wszakże bez

zmiany zasadniczego ustroju państwowego”. Były to przestępstwa przewidziane w artykułach 51 i 101 cz. I w związku z art. 100 cz. III rosyjskiego kodeksu karnego z 1903 r., tzw. kodeksu Tagancewa, który obowiązywał na terenie byłego zaboru rosyjskiego do lipca 1932 r., kiedy w całej Polsce wprowadzono jednolity kodeks karny, tzw. kodeks Makarewicza. Groziło za nie do 10 lat ciężkiego więzienia, a usiłowanie było traktowane na równi z dokonaniem.

Stawiane oskarżonym zarzuty sąd uznał za nieudowodnione. Dlatego wyrok ogłoszony 13 stycznia 1932 r. zapadł na podstawie art. 102 cz. I w związku z art. 100 cz. III kodeksu Tagancewa, czyli „za udział w spisku, zawiązanym dla dokonania zbrodni, przewidzianej w art. 100” („usunięcie przemocą członków sprawującego władzę rządu”), za co groziło do 8 lat ciężkiego więzienia. Ale nawet jak na tak zmodyfikowaną

Apelacyjnym, który uznał pierwszy wyrok za uzasadniony. Zmienił tylko charakter kary z ciężkiego na zwykłe więzienie, a za podstawę wyroku przyjął art. 97 w związku z art. 95 kodeksu Makarewicza. Wyrok ten zatwierdził Sąd Najwyższy, który ponownie rozpatrywał kasację obrońców. Art. 95 przewidywał karę od 10 do 15 lat pozbawienia wolności „za usiłowanie usunięcia przemocą albo zagarnięcia władzy Sejmu, Senatu, Zgromadzenia Narodowego, rządu, ministra lub sądów”. Natomiast art. 97 za wejście w porozumienie w celu popełnienia powyższego przestępstwa przewidywał karę od 6 miesięcy do 15 lat pozbawienia wolności.

Już same wyroki – znacząco niskie w stosunku do postawionych zarzutów i przewidywanych za nie kar – były kompromitacją obozu sanacyjnego, który wytaczając pokazowy proces polityczny liderom opozycji

Obóz sanacyjny, wytaczając pokazowy proces polityczny liderom opozycji, liczył na przedstawienie ich w jak najgorszym świetle.

podstawę prawną sąd wymierzył oskarżonym dość niskie wyroki. Ciołkosza, Dubois, Mastka, Pragiera i Putka skazano na 3 lata, Barlickiego, Kiernika i Liebermana na 2,5 roku, Bagińskiego na 2 lata, a Witosza 1,5 roku ciężkiego więzienia. Adolf Sawicki został uniewinniony. Przy czym sędzia Stanisław Leszczyński złożył od sentencji wyroku *votum separatum*, opowiadając się za uniewinnieniem wszystkich oskarżonych.

Od 7 do 11 lutego 1933 r. odbyła się rozprawa apelacyjna przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie, który zaostrzył wyroki, dodając utratę praw publicznych i obywatelskich na od 3 do 5 lat. Sąd Najwyższy skasował ten wyrok 9 maja 1933 r. i dlatego od 11 do 20 lipca 1933 r. odbyła się druga rozprawa przed Sądem

liczył na znacznie wyższe wyroki i przedstawienie oskarżonych w jak najgorszym świetle. Kompromitacją reżimu sanacyjnego były także sam akt oskarżenia oraz sposób traktowania oskarżonych podczas osadzenia w twierdzy brzeskiej, co wyszło na jaw po ich zwolnieniu w listopadzie 1930 r. i w czasie procesu.

Kondemnatki na posłów

Żeby zrozumieć tzw. sprawę brzeską, należy się cofnąć do maja 1926 r. i dokonanego wtedy przez Józefa Piłsudskiego wojskowego zamachu stanu, który rozpoczął pierwszy etap autorytarnych rządów sanacji. Klamrą zamykającą ten etap – kiedy sanacja miała do czynienia z silną i zorganizowaną



Oskarżeni Mieczysław Mastek (siedzi) i Stanisław Dubois (stoi) z obrońcami Tomaszem Czernickim (pochylony) i Kazimierzem Ujazdowskim (stoi, w okularach) w czasie przerwy w rozprawie.

opozycją parlamentarną – były właśnie tzw. wybory brzeskie 1930 r. i proces brzeski. W celu odsunięcia sanacji od władzy na drodze legalnej sześć partii opozycji parlamentarnej (PPS, PSL „Piast”, PSL „Wyzwolenie”, Stronnictwo Chłopskie, Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, Narodowa Partia Robotnicza) powołało 14 września 1929 r. sojusz polityczny o nazwie Związek Obrony Prawa i Wolności Ludu, potocznie zwany Centrolewem. Pierwszym sukcesem Centrolewu było przegłosowanie w Sejmie 7 grudnia 1929 r. wotum nieufności dla gabinetu płk. Kazimierza Świtalskiego (pierwszego z tzw. rządów pułkowników, w którym sześciu na 14 ministrów było wyższymi oficerami).

29 czerwca 1930 r. Centrolew zorganizował w Krakowie Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu, który stał się wielką manifestacją sprzeciwu wobec rządów sanacji (w obradach w Starym Teatrze uczestniczyło 1500 delegatów, a w manifestacji na Rynku Klepańskim 20-30 tys. osób). Proklamowano na nim „walkę o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego aż do zwycięstwa”. Chodziło oczywiście o walkę legalną, na drodze wygrania wyborów

parlamentarnych. Po przejęciu władzy Centrolew chciał stworzyć „rząd zaufania Sejmu i społeczeństwa”. Podczas obrad w sali Starego Teatru padały m.in. okrzyki „Precz z lokajem Mościckim!” i „Na szubienicę z Piłsudskim!”. Wincenty Witos nie wykluczył później, że wznosili je nastąpi prowokatorzy.

Obóz sanacyjny przystąpił natychmiast do kontrakcji. Już 26 maja 1930 r. Piłsudski zakomunikował w poufnej rozmowie gen. Felicjanowi Sławojowi-Składkowskiemu, że „Sejm będzie rozwiązany”, a Składkowski powróci na stanowisko ministra spraw wewnętrznych i ma „zrobić nowe wybory ze Sławkiem i Świtalskim”. Rzeczywiście, 3 czerwca 1930 r. Sławoj-Składkowski został ponownie ministrem spraw wewnętrznych. 30 czerwca – a więc dzień po zakończeniu kongresu krakowskiego Centrolewu – Składkowski i premier płk Walery Sławek udali się do wypoczywającego w Druskiennikach Piłsudskiego. Początkowo postanowiono wszcząć śledztwo wobec organizatorów kongresu, ale po kilku dniach zostało ono umorzone, ponieważ prokuratura nie znalazła podstaw prawnych do oskarżenia.

8 sierpnia Piłsudski wrócił do Warszawy i dwa dni później wziął udział w dorocznym zjeździe legionistów w Radomiu. 11 sierpnia polecił wezwanemu do Belwederu Składkowskiemu przygotować – jak to określił – „kondemnatki” (od kondemnaty – wyrok zaoczny w prawie staropolskim) wszystkich postów Centrolewu, czyli zebrać na nich materiały obciążające. W tej sprawie Składkowski meldował się w Belwederze 19, 21 i 22 sierpnia. Podczas ostatniego z tych spotkań – w obecności ministra sprawiedliwości Stanisława Cera i płk. Józefa Becka (wówczas szefa gabinetu ministra spraw wojskowych, czyli Piłsudskiego) – Piłsudski zakomunikował, że po rozwiązaniu Sejmu zamierza aresztować wielu byłych postów za ich „kondemnatki”. Zapytał następnie, kto podpisze nakaz aresztowania. Po chwili milczenia Składkowski powiedział, że on, chociaż nie miał do tego podstaw prawnych.

Wywiady Piłsudskiego

23 sierpnia 1930 r. premier Walery Sławek oświadczył na posiedzeniu Rady Ministrów, że jest przemęczony i podaje się do dymisji. Dwa dni ▶

► później prezydent Ignacy Mościcki zaprzysiął gabinet pod prezesurą Józefa Piłsudskiego. Jedyną zmianą personalną – oprócz osoby premiera – było wejście do rządu Józefa Becka jako wicepremiera. 27 sierpnia premier Piłsudski udzielił pierwszego z serii wywiadów (ostatni ukazał się 27 listopada 1930 r.) redaktorowi naczelnemu „Gazety Polskiej” płk. Bogusławowi Miedzińskiemu. Zaatakował w nim brutalnie opozycję i parlamentaryzm. Stwierdził m.in., że „poseł do Sejmu jest stworzony na to, ażeby głupio pytał i głupio mówił. Toteż, wie pan, ja osobiście nieraz wątpię o jakiegokolwiek wartości tak zwanego parlamentaryzmu, gdyż on prowadzi do musu oszukaństw i do musu życia w świecie oszukańczym”. Mówił dalej „o niechlujnej konstytucji, która śmierdzi chlewem poselskim”, a nazywa ją „konstytutą”, bo to słowo „najbliższe jest do prostytutki”. Dodał, że „w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeśli zaś przy tym coś im dołożą – to także nie zaszkodzi”.

Dwa dni po publikacji tego wywiadu wicemarszałek Sejmu Jan Dąbski (lider Stronnictwa Chłopskiego) został brutalnie pobity przed swoim domem przez dwóch oficerów i plutonowego. Sprawców nie wykryto. Prawdopodobnie pobicie to przyczyniło się do przedwczesnej śmierci Dąbskiego, który zmarł rok później w wieku 51 lat. 29 sierpnia premier Piłsudski postawił wniosek o rozwiązanie Sejmu i Senatu, co następnego dnia uczynił prezydent Ignacy Mościcki, rozpisując równocześnie nowe wybory parlamentarne na 16 i 23 listopada. Z chwilą rozwiązania Sejmu i Senatu przywódcy Centrolewu stracili immunitet. 7 września ukazał się drugi wywiad Piłsudskiego w „Gazecie Polskiej”, w którym powiedział, że uważa posłów „za zwyczajne ściervo, które musi zatruwać swoim istnieniem powietrze”. Była to już zawołowana zapowiedź aresztowań byłych posłów opozycji.

Pod koniec sierpnia 1930 r. komendantem twierdzy brzeskiej został płk Wacław Kostek-Biernacki, a do jego dyspozycji oddelegowano 30 żandarmów. Lista kandydatów na więźniów brzeskich została przygotowana w MSW i obejmowała ponad 100 nazwisk. 1 września minister Składkowski przedstawił ją



Przewodniczący składu sędziowskiego sędzia Klemens Hermanowski.

Piłsudskiemu, a ten zielonym ołówkiem zaznaczył nazwiska tych, którzy mieli być aresztowani.

W nocy z 9 na 10 września 1930 r. zostali aresztowani i przewiezieni do twierdzy brzeskiej: Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Herman Lieberman, Mieczysław Mastek i Adam Pragier z PPS, Kazimierz Bagiński i Józef Putek z PSL „Wyzwolenie”, Władysław Kiernik i Wincenty Witos z PSL „Piast”, Karol Popiel z NPR, Aleksander Dębski i Jan Kwiatkowski ze Stronnictwa Narodowego, Adolf Sawicki z Sch, Józef Baćmaga z Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem oraz pięciu posłów ukraińskich: Wołodymyr Cełowycz, Osyp Kohut, Jan Leszczyński, Dmytro Palijiw i Aleksander Wisłocki. Po rozwiązaniu Sejmu Śląskiego dołączył do nich 26 września Wojciech Korfanty.

Józefa Baćmagę z sanacyjnego BBWR aresztowano, ponieważ

krytykował własny obóz polityczny i pomimo nacisków nie rzekł się mandatu poselskiego na rzecz prezesa radomskiego „Strzelca”. Oskarżono go o defraudację pieniędzy i dołączono do więźniów brzeskich, aby pokazać, że sanacja nie toleruje przestępców we własnych szeregach. W czasie gdy Baćmaga przebywał w twierdzy brzeskiej, Sąd Okręgowy w Radomiu wyznaczył termin rozprawy karnej w jego sprawie. Kostek-Biernacki dodał mu do eskorty dwóch żandarmów i oświadczył, że jeśli powie na procesie o tym, co przeżył w Brześciu, „żandarm skuje mu mordę”.

Wincentego Witosę aresztowano w pociągu z Krakowa do Tarnowa. Już podczas pierwszej nocy pobytu w twierdzy brzeskiej obudzono go i oficer-żandarm kazał trzykrotnemu premierowi wynieść kubek z odchodami. Grożono mu następnie pobiciem. Hermanowi Liebermanowi

nie grożono, tylko od razu brutalnie pobito pałką podczas eskortowania do twierdzy. Komisarz policji oświadczył mu przy tym, że „zdechnieś i zaraz cię zakopimy”. Podczas transportu do Brześcia pobito też Adolfa Sawickiego i kazano mu kopać grób w lesie.

Aresztowania były kontynuowane. W czasie kampanii wyborczej pozbawiono wolności na czas dłuższy lub krótszy ok. 5 tys. osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów. Unieważniono ponadto listy Centrolewu w 11 okręgach wyborczych i uniemożliwiano mu prowadzenie agitacji wyborczej. Zebrania i wiece opozycyjne były rozpędzane przez specjalne bojówki lub policję. Wybory przeprowadzone w atmosferze terroru i nacisków administracyjnych przyniosły zdecydowane zwycięstwo BBWR (249 mandatów poselskich i 77 senatorskich) oraz porażkę Centrolewu (79 mandatów poselskich i 13 senatorskich). W tej sytuacji na początku 1931 r. Centrolew się rozpadł.

Poniżani, głodzeni, bici

Informacje o traktowaniu więźniów brzeskich zaczęły docierać do opinii publicznej już po wyborach, kiedy 23 listopada przewieziono z twierdzy brzeskiej do Warszawy i Grójca więźniów polskich (wkrótce ich zwolniono), a do Łucka ukraińskich. Władze starały się ograniczać te informacje. Redaktorom odpowiedzialnym gazet, które takie informacje zamieszczały, wytaczano procesy. 10 grudnia 1930 r. interpelację w sprawie brzeskiej złożył w Sejmie Klub Narodowy, a 45 profesorów UJ wystosowało list otwarty do swojego kolegi i zarazem posła BBWR, prof. Adama Krzyżanowskiego.

Mimo prób blokady informacyjnej ze strony władz opinia publiczna dowiedziała się, jak traktowano więźniów brzeskich i wiadomości te były dla niej szokiem. Osadzonych w twierdzy brzeskiej poniżano, głodzono i w różny sposób maltretowano: umieszczano w karcerze, policzkowano, bito pięściami, a w niektórych przypadkach katowano (rozbierano do naga i przez mokre prześcieradło wymierzano do 30 uderzeń pasami lub prętami

żelaznymi). Pozorowano też ich egzekucje.

Podczas procesu brzeskiego odbyło się 55 rozpraw. Przez sądową przewinęło się kilkuset świadków, w tym wielu znanych polityków, jak Tomasz Arciszewski, Kazimierz Bartel, Wojciech Korfanty, Mieczysław Niedziałkowski, Kazimierz Pużak, Maciej Rataj, Wojciech Trąpczyński i Zygmunt Zaremba.

W czasie kampanii wyborczej pozbawiono wolności na czas dłuższy lub krótszy ok. 5 tys. osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów.

Wizerunkowo proces był porażką władz sanacyjnych. Zadecydowały o tym mianość materiału dowodowego i wykorzystanie przez opozycję procesu jako trybuny, na której oskarżeni stali się oskarżycielami reżimu sanacyjnego. Wielkie wrażenie wywarło zwłaszcza wystąpienie Wincentego Witosa, który zapytał sąd wprost, czy nie zna ludzi, którzy zrobili zamach majowy.

Spośród skazanych w procesie brzeskim Barlicki, Ciołkosz, Dubois, Mastek i Putek podporządkowali się wyrokowi sądu i zgłosili się pod koniec października 1933 r. do odbycia kary. Po roku ułaskawił ich

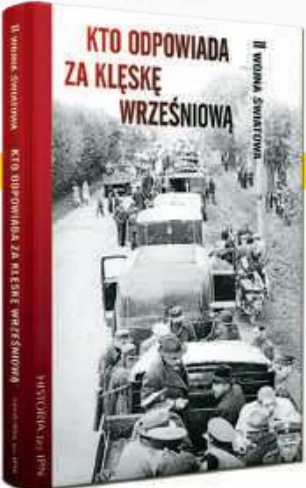
prezydent Mościcki. Pozostali wybrali emigrację. Bagiński, Kiernik i Witos do Czechosłowacji, a Pragier i Lieberman do Francji. Przy czym Adam Pragier powrócił z emigracji w 1935 r. i poddał się karze w wymiarze kilkumiesięcznym. Na emigrację do Czechosłowacji udał się również w 1935 r. Wojciech Korfanty, który nie znalazł się na ławie oskarżonych, ale był więźniem brzeskim.

Powrócił do kraju pod koniec kwietnia 1939 r. i został aresztowany przez sędziego śledczego Demanta – tego samego, który przesłuchiwał osadzonych w Brześciu. Korfantego zwolniono z Pawiaka 20 lipca 1939 r. w ciężkim stanie zdrowia (adwokat i rodzina podejrzewali otrucie). Zmarł 17 sierpnia 1939 r. Jego pogrzeb przekształcił się w wielką manifestację antysanacyjną.

Prezydent Mościcki odrzucił w 1937 i 1939 r. inicjatywy środowisk akademickich w sprawie amnestii dla skazanych w procesie brzeskim. Dopiero prezydent RP na uchodźstwie Władysław Raczkiewicz wydał 31 października 1939 r. dekret obejmujący amnestią wszystkich skazanych w procesie brzeskim. W grudniu 2005 i 2007 r. posłowie PSL występowali do ministra sprawiedliwości i prezesa Rady Ministrów o kasację wyroku na korzyść skazanych w procesie brzeskim. Natomiast poseł Tadeusz Iwiński z SLD wystąpił 26 września 2008 r. z interpelacją do ministra sprawiedliwości o ich rehabilitację. Ministerstwo Sprawiedliwości uzasadniło odmowę brakiem zachowanych akt procesu zawierających materiał dowodowy oraz tym, że we wniesionych w 1933 r. apelacjach „obrońcy oskarżonych nie kwestionowali ustaleń faktycznych poczynionych przez sąd I instancji”. Tak jakby dla ministra sprawiedliwości z Platformy Obywatelskiej nie było oczywiste, że proces brzeski był bezprawny już tylko dlatego, że oskarżonych sądzono za działalność polityczną, którą prowadzili, mając immunitet parlamentarny.

Bohdan Piętko

45 zł



PRZEGŁĄD poleca
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
 Fundacja Oratio Recta
 ul. Inżynierska 3 lok.7, 03-410 Warszawa
 konto 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
 tel. 22 635 84 10 wew. 111

Przepis na idealnego pianistę

Jurorzy konkursu chopinowskiego premiują artystów, którzy pokazują Chopina w nietypowym świetle

Bronisław Tumiłowicz

Ktoś, kto wygra konkurs chopinowski, nigdy nie zejdzie z podium, bo w tej muzyce można pokazać najwyższe mistrzostwo. Być może nasz kompozytor stworzył wzorzec idealnego pianisty, jego utwory są różnorodne, jedne łatwiejsze, drugie bardzo trudne, jedne wesołe, inne smutne czy wręcz zwiastujące tragedię. Na konkursie trzeba się wykazać pamięciową znajomością ogromnej ilości muzyki, ok. 3-4 godzin nieprzerwanego grania, ale nie wystarczy to wszystko bezbłędnie wykonać. Trzeba znać styl romantyczny, który też ma swoje odmiany, trzeba wreszcie na nowo odczuć Chopina, wyobrazić sobie, co chciał w muzyce przekazać, a on nie był prostakiem czy niedojdą, nie był histerykiem ani arogansem, ale inteligentnym człowiekiem, wyrafinowanym i – jak powiedziałaaby nasza noblistka Olga Tokarczuk – był czułym narratorem, który do wyrażania uczuć używał języka muzyki fortepianowej. Opowiadał o życiu, o Polsce, o sobie. Jeden z byłych jurorów konkursu, prof. Andrzej Jasiński, twierdzi, że jego mazurki, krótkie utwory, które komponował przez całe życie, były rodzajem dziennika, czy pamiętnika, w którym zamiast słów posługiwał się nutami. Z kolei etiudy nie są tylko wprawkami służącymi do wyćwiczenia palców, ale pełnowartościowymi artystycznie miniaturowymi, w których też trzeba zawrzeć jakiś obraz.

W XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym zmieniło się podejście do sztuki pianistycznej. Juror konkursu Wojciech Świtała twierdzi, że teraz więcej wolno niż np. 40 lat temu. Starsi melomani pamiętają, jak na konkursie w 1980 r. jednego z faworytów, Ivo Pogorelicia, nie dopuszczono do finału i pozbawiono szans na zdobycie nagrody. Gdyby Pogorelic



Bruce Liu: „Jeśli masz pasję do czegoś, po prostu to rób. Nie patrz na innych, na to, co mówią i myślą”.

wystąpił na XVIII konkursie, nikt by mu takiej krzywdy nie uczynił. Przeciwnie, teraz jurorzy poszukują oryginałów, artystów pokazujących Chopina w nietypowym świetle, proponujących różne ciekawostki albo wypatrują rewolucjonistów. Wręcz nie dopuszcza się do finału pianistów klasycznie poprawnych, którzy w swoich wykonaniach dają 100% Chopinowskiego stylu. Tak też zdarzyło się obecnie. Po III etapie odpadł wybitny Rosjanin Nikolay Khozyainov, który aby móc czytać listy Chopina w oryginale, nauczył się języka polskiego, odpadł też polski faworyt Szymon Nehring, który przez wielu był typowany do pierwszej nagrody, bo wziął udział w konkursie już po raz drugi i szedł do przodu w znakomitym stylu.

Wydaje się, że publiczność przychodząca tłumnie na przesłuchania konkursowe już się pogodziła z myślą, że ogromną i w sumie przeważającą liczbę uczestników stanowią pianiści z Azji. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wydawało się, że Azjaci tylko naśladowali dobrze grających laureatów europejskich. Teraz mamy niekiedy obawy, że choć np. Polakom dobrze wychodzą rodzime formy taneczne, jak mazurki, kujawiaki, oberki czy polonezy, które się pojawiają często w utworach Chopina, to pianiści z Azji coraz lepiej sobie z tymi rytmami radzą, a nawet niekiedy są lepsi od nas.

Publiczność wykazywała się dużym entuzjazmem dla wszystkich wykonawców, ale sympatię wobec wybranych kandydatów wyczuwało



Rosyjsko-armeńska pianistka Eva Gevorgyan wzbudziła ogromne zainteresowanie, ale nagrody nie dostała.

Zwyciężył Bruce (Xiaoyu) Liu, Kanadyjczyk z chińskimi korzeniami.

się po zgotowanej owacji na koniec występu. Wielka wrzawa towarzyszyła występom Hiszpana Garcii Garcii i Włoszki Armellini, ale prawdziwy stadionowy ryk odezwał się po Koncercie fortepianowym e-moll w wykonaniu Bruce'a Liu. Natomiast znakomita interpretacja młodzieńkiej Rosjanki Ewy Gevorgyan nie została przyjęta tak owacyjnie. Tej pianistce nie przyznano też żadnej nagrody.

Od typowania zwycięzcy jest jednak międzynarodowe jury, w którym przewagę mają Polacy. Przydzielono aż osiem nagród na 12 kandydatów. Aby tak się stało, nagrodą II i IV podzieliło się dwóch pianistów. Znalazły się też pieniądze na V i VI nagrodę. Polak Jakub Kuszlik zajął IV miejsce *ex aequo*, przyznano mu ponadto specjalną nagrodę za wykonanie mazurków. Zwyciężył Bruce (Xiaoyu) Liu, Kanadyjczyk z chińskimi korzeniami. Miał on tę przewagę nad innymi kandydatami, że łączył w sobie przeciwstawne cechy, śmiałość i odwagę w proponowaniu własnej interpretacji oraz szacunek dla chopinowskiej tradycji. Ta śmiałość wyrażała się także w jego imieniu i nazwisku, kojarzonym z mistrzem walki karate Bruce'em Lee.

Czy jest jakiś związek między Bruce'em Lee a konkursem chopinowskim? – zapytał dziennikarz Polskiego Radia. Zwycięzca stwierdził, że to raczej żart, ale niektórzy uważają, że jest pewne podobieństwo w przekazywaniu energii i dużej ruchliwości, co być może łączy go ze słynnym imieniem.

Po ogłoszeniu wyników Bruce Liu powiedział: „Jeśli masz pasję do czegoś, po prostu to rób. Nie patrz na innych, na to, co mówią i myślą. Podążaj

za tym, co uważasz za dobre dla siebie. Na swojej drodze zawsze napotkasz porażki, problemy i negatywne osoby. W takich momentach musisz podążać dalej i nie poddawać się”.

Konkurs ma też wymiar materialny. Nagroda dla zwycięzcy w 2021 r. to łącznie ponad 220 tys. zł. Wliczają się w nią: 40 tys. euro (ok. 183 tys. zł) od prezydenta RP oraz 500 tys. jenów (ok. 17 tys. zł) przekazane dla najlepszego przez prezydenta japońskiego miasta Hamamatsu. ■

NAGRODY GŁÓWNE

- I nagroda** – Bruce (Xiaoyu) Liu, Kanada
- II nagroda *ex aequo*** – Alexander Gadjiev, Włochy/Słowenia
- II nagroda *ex aequo*** – Kyohei Sorita, Japonia
- III nagroda** – Martín García García, Hiszpania
- IV nagroda *ex aequo*** – Aimi Kobayashi, Japonia
- IV nagroda *ex aequo*** – Jakub Kuszlik, Polska
- V nagroda** – Leonora Armellini, Włochy
- VI nagroda** – J J Jun Li Bui, Kanada

NAGRODY SPECJALNE

- Nagroda Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków** – Jakub Kuszlik, Polska
- Nagroda Filharmonii Narodowej za najlepsze wykonanie koncertu** – Martín García García, Hiszpania
- Nagroda Krystiana Zimermana za najlepsze wykonanie sonaty** – Alexander Gadjiev, Włochy/Słowenia

Fundacja Dziecięca Fantazja

CHARYTATYWNE KARTKI ŚWIĄTECZNE

spełniają marzenia chorych dzieci

Cały dochód z ich sprzedaży przeznaczamy na spełnianie marzeń dzieci walczących o zdrowie i życie, dzieci, których choroba pozbawiła dzieciństwa...

kartki.f-df.pl

Zadzwoń: 22 517 17 70, zapytaj, zamów: kartki@f-df.pl

BYLIŚMY

Orfeusz na wesoło

Zaczerpnięta z mitologii opowieść o tragicznej miłości Orfeusza i Eurydyki w wydaniu Jacquesa Offenbacha i jego pierwotnych librecistów to opowieść o niewierności i jej konsekwencjach, niekoniecznie tragicznych. Wierny temu przesłaniu Włodzimierz Nurkowski stworzył widowisko pełne zaskakujących scen przesiąkniętych komizmem sytuacyjnym, przygotował współczesne libretto, wreszcie obsadził w rolach wykonawców, u których elementy aktorstwa, ruchu scenicznego nie ustępują sztuce wokalne. Trzeba docenić też balet (nie tylko kankan), chór i orkiestrę. Operetka, podobnie jak opera, to jednak śpiewacy. „Orfeusz” jest znakomitą formą przeglądu kadr wokalnych Opery Krakowskiej, na scenie pojawia się bowiem niemal cała czołówka solistów. Spośród tych, którzy zaprezentowali się na premierze, trzeba wyróżnić Adama Sobierajskiego jako diabolicznego Plutona czy Przemysława Reznera w roli rozpustnego Jupitera. Monika Korybalska – Wenus i Paula Maciołek – Kupidyn czy Anna Lubańska jako Opinia Publiczna



zaprezentowały się nie gorzej niż ich koledzy. Tym bardziej warto, by wróciła na afisz „Piękna Helena”.

Paweł Dybicz

Jacques Offenbach, „Orfeusz w piekle”, kierownictwo muzyczne
Tomasz Tokarczyk, reżyseria Włodzimierz Nurkowski,
Opera Krakowska, premiera 30 września 2021



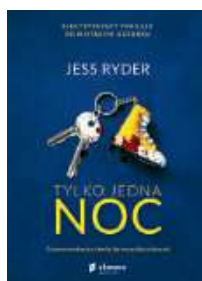
Lubelskie Masterclass

Dwa sopran i jeden baryton, soliści operowi o międzynarodowej sławie, uczestniczyli w warsztatach wokalnych dla uzdolnionej młodzi. Ewa Vesin, Katarzyna Trylnik i Mikołaj Zalański przez tydzień pokazywali, jak być Cherubinem, Mimi czy Baronem Scarpia. Taki jest sens Opera Masterclass w ramach Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Antoniny Campi z Miklaszewiczów w Lublinie, cyklicznej imprezy, która stała się jedyną w Polsce platformą artystyczną łączącą profesjonalny świat operowy z konsekwentną edukacją muzyczną na każdym poziomie i refleksją teoretyczno-universytecką. Koncert galowy był dla uczestników kursu sprawdzianem, ile uwag mistrzów potrafili zastosować młodzi artyści.

Bronisław Tumitowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

FESTIWAL



Jess Ryder
Tylko jedna noc
tłum. Ewa Kleszcz
Słowne, Warszawa 2021

Amber ma „boskiego” męża, upragnione dziecko i młodszą siostrę chodzącą katastrofę. Tak to wygląda na pierwszy rzut oka. Kto jednak chce zobaczyć więcej, łatwo się zorientuje, że Amber ma depresję poporodową,

a małżeństwo przechodzi kryzys. Ruby, w przeciwieństwie do ich matki, widzi problemy siostry i proponuje, że przejmie opiekę nad niemowlęciem – choćby na jedną noc. Ale Ruby znów dała płamę... W thrillerze psychologicznym Jess Ryder, a właściwie Brytyjki Jan Page, scenarzystki, cenionej producentki telewizyjnej, także autorki książek dla dzieci i młodzieży, oprócz stopniowo ujawnianych sekretów bohaterów mamy ponury obraz chciwych sensacji dziennikarzy i mediów społecznościowych. Autorka pokazuje, jak to jest stać się nagle tematem biurowych pogaduszek czy internetowych teorii rosnących błyskawicznie na pożywcze ze skrawków informacji. Zgrabna lekcja empatii tak przy okazji.

Aleksandra Pańko

HER Docs Film Festival 2021

WARSZAWA, KINOTEKA, MURANÓW, ELEKTRONIK,
DO 29 PAŹDZIERNIKA

W Warszawie trwa HER Docs Film Festival – wydarzenie poświęcone twórczości filmowej kobiet. Tegoroczna edycja to ponad 100 polskich i zagranicznych filmów dokumentalnych, animacji i prac wideo, pełnometrażowych i krótkich, w 14 sekcjach tematycznych, a także przeszło 40 wydarzeń towarzyszących,



w tym spotkania z twórczyniami filmów, rozmowy z zaproszonymi gośćmi i gośćmi, warsztaty dla dokumentalistek i młodej publiczności oraz impreza muzyczno-performatywna. Wiele filmów pokazywanych jest w Polsce po raz pierwszy. Festiwal odbywa się też równolegle online na platformie VOD Onestage.pl do 31 października. Szczegóły i program: herdocs.pl.

(ag)

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Szalupa Świerkockiego

Współtworzę małżeństwo książkołaków. Nie lubię określenia „mól książkowy”, zdaje się pogardliwe, ponadto z molami miewamy do czynienia sezonowo i są to wrogowie naszego domostwa, żarłoczni i wszędobylscy. Młoda lewica tak się zagalopowała w obronie człowieka prostego, że nie tylko rozgrzesza klasę robotniczą z nieczytania, ale samo czytanie uznaje za przywilej klasy próżniaczej, rozmowy o literaturze za klasistowski snobizm, wrogo odnosi się do fotografii domowych bibliotek i przywoływania kompetencji lekturowych w przestrzeni publicznej. Niechęć do książek jest zatem na prosiu i z prawa, i z lewa, przy czym o ile skrajnie po prawej objawia się paleniem tytułów lewomyślnych, skrajnie na lewo sam jesteś spalony, jeśli się przyznasz, że czytasz. Obie strony wzdrygają się we wspólnym obrzydzeniu rangi najwyższej, kiedy spotkają uosobienie bibliofobicznych koszmarów: miłośników „Ulissesa”.

Cóż pocznę. Żona jako telewizyjno-radiowa „pani od literatury” widnieje na liście adresowej tzw. gratisów większości wydawnictw, bywają jednak książki, ach, co tam, nazwijmy je wydarzeniami literackimi, ech, nie szczędźmy epitetów: chodzi o epokowe wydarzenia kultury słowa – wobec których należy się pokłonić i rytualnie wysupłać stosowną kwotę, płacąc za kawał dobrej roboty wydawcy

Fascynacja i przerażenie to nieodłączne uczucia badaczy, którzy zaglądają do wnętrza umysłu szalonego geniusza.

i autorowi. Oto więc Żona, nieomylnie odczytując listę moich pragnień, kupiła mi urodzinowo dwa tomy, na które czekałem, od kiedy w „Literaturze na świecie” dano na zapowiedzi, częstując czytelników pierwszymi pięcioma rozdziałami nowego przekładu „Ulissesa”. Podjął się tego translatablego maratonu Maciej Świerkocki, trwało to siedem lat i osiemnaście godzin, czyli tyle, ile Joyce pisał swoją najśłynniejszą powieść plus czas opisanej w niej wędrówki Leopolda Blooma przez Dublin. Mam słabość do perfekcjonistów, więc Świerkocki z tej przyczyny miał u mnie fory jeszcze przed startem.

Pierwszą, młodzieńczą lekturę przekładu autorstwa Macieja Słomczyńskiego podjąłem z błędnym i obłudnym nakazem zrozumienia i pamiętam ją jako tyleż frapujące, co mozolne wdrapywanie się na górę, której szczyt i tak pozostanie niezdobyty – trochę jak w przypadku polskich zmagających z K2 zimą. Było to czytanie

obleźnicze, wysiłkowe, survivalowa przygoda intelektualna, czytelniczy *challenge* czy co tam jeszcze – przyjemność miałem za drugorzędną. Później, już jako książkołak w średnim wieku, odkryłem, że „Ulisses”, oprócz swojej polifonicznej doniosłości narracyjnej, jest powieścią rozkosznie zabawną, namiętnie antyklerykalną, bezprzykładnie rozświntuszoną, ale przede wszystkim, w odróżnieniu od innych pomników modernistycznej awangardy, jak twórczość Getrudy Stein czy choćby „Finneganów tren” samego Joyce’a – nie jest dziełem hermetycznym; pomimo językowego rozpasania i hipertekstualnej erudycyjności to się czyta, a nawet – wielkie nieba – to wciąga! A wręcz zasysa, pochłania bez reszty i zaborczo, powiadając: „Jam jest księga, nie będziesz miał innych ksiąg przede mną”. Ściślej – jedną tylko, do powieści przyrośniętą „Łódź Ulisses”, księgę towarzyszącą, rap-tularz translatorski Macieja Świerkockiego, zaiste, łódź z gondolierem, dzięki któremu możemy spłynąć z nurtem tej powieści rzeki, zamiast kręcić się bezradnie od wiru do wiru.

I tak to teraz leżą przy sobie dwa tomszyska, które czytam naprzemiennie – najpierw Joyce’a *sauté*, potem egzegezę tłumacza poświęconą stosownej partii tekstu – a potem znowu wracam do „Ulisses”, do rozdziału tego samego, ale już innego, bo rozpostartego w przestrzeń dzikich pól semantycznych, które mi objaśniono. Teksty apostołów joyce’ologii są wartością samą w sobie, często fascynującą bardziej niż przedmiot ich badań, że wspomnę legendarne „Klucze do odcyfrowania”, ogłoszone przed laty przez Macieja Słomczyńskiego jako komentarz do próbki przekładu „Finnegan’s Wake”.

Fascynacja i przerażenie to dwa nieodłączne uczucia badaczy, którzy zaglądają do wnętrza umysłu szalonego geniusza; okazuje się, że kiedy Joyce mówił, że daje literaturoznawcom materiał na setki lat badań, nie wypowiedział tego w kabotyńskiej ekstazie, lecz z zimną precyzją. Co mniej cierpliwi powiadają, że ostatnie powieści Joyce’a należałoby najpierw przetłumaczyć na... angielski; tym bardziej zalecam im wsiąść do „Łodzi Ulisses” i żeglować niespiesznie. Nie lękajcie się Joyce’a, Świerkocki nie pozwoli wam zatonać, jego metaksięga to solidna szalupa ratunkowa.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Marcin Szumowski

Mam na swoim terenie taką jedną borsuczą rodzinę – mówi leśniczy Kazimierz Nózka. – Spokojne to są zwierzęta. W dzień śpią, w nocy wychodzą na poszukiwanie pożywienia. Spotykam je czasem, gdy wracam z dłuższej wyprawy. Bywa, że wchodzą na siebie na szlaku. Czasem borsuk zejdzie mi z drogi i skręci w las, a czasem ja mu schodzę, gdy widzę, że idzie przejęty polowaniem i zamyślny. Co ciekawe, one tu w górach raczej nie budują swojego systemu nor. Zajmują jaskinie. Ta rodzina, o której mówię, mieszka właśnie w skalnej pieczarze. Mają swój rewir i raczej się poza niego nie zapędzają. Stawiałem kiedyś przy ich jaskini fotopułapkę i nic interesującego się nie nagrało. Rodzina jak rodzina. Wychodzą wieczorem, matka, ojciec i dzieci. Czyszczą się, czasem pobiegają i pobrykają dookoła. Wiodą życie spokojne i bez żadnych ekscesów. (...)

Z dawnych lat we wszystkich chorobach płuc i oskrzeli stosowało się borsucze sadło. Nacierano się nim klatkę piersiową i plecy chorego. Podobno pomagało. Nie wiem, bo sam nie używałem, ale w Bieszczadach często stosowano takie metody medycyny ludowej – leśniczy podrapał się po głowie. – Sadło pozyskiwano z odstrzelonego borsuka. Miało jasny kolor, konsystencję smalcu i mocny piżmowy zapach. Sprzedawano je później prywatnymi kanałami. Sporo

Borsucze zamczysko

Teren, gdzie borsuki wybudowały rezydencję, wyglądał, jakby nieustannie prowadzono tam roboty ziemne

się o tym słyszało, więc musiała to być popularna metoda. – Kazek ukroił kawałek kiełbasy, która leżała na stole, a ja przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem o dawnych sposobach na poprawienie zdrowia polegających na spaniu na borsuczyczych skórach. Miały wyciągać choroby i poprawiać odporność organizmu. Tyle medycyna ludowa. (...)

Gdy szukaliśmy nor tych rudzielców, przypadkiem natrafiliśmy na system borsuczyczych korytarzy. Gdy tak staliśmy i przyglądaliśmy się wielkiemu podziemnemu zamczysku wybudowanemu między starymi sosnami, z jednej z nor nagle wyjrzała sympatyczna mordka młodego borsuka. Chwilę popatrzył na nas z ciekawością, po czym schował się w czeluściach swojego domu. Dzięki refleksowi operatora

udało się nawet nagrać tę chwilę borsuczego zainteresowania.

A wracając do zamczyska... Nie wielkie wzgórze, na którym osiedliła się rodzina, miało pod ziemią system korytarzy z kilkoma otworami w różnych miejscach i kierunkach. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest zajmowane od kilku borsuczyczych pokoleń. Teren, gdzie borsuki wybudowały swoją rezydencję, wyglądał, jakby nieustannie były na nim prowadzone roboty ziemne. Wokół wszystko było wydeptane, wejścia do niektórych nor ulokowane zostały głęboko w ziemi i wyglądały niczym leje po małych wybuchach. Niedaleko takich wejść znaleźliśmy starą, poczerniałą czaszkę borsuka, pewnie wykopaną przez zwierzęta przy kolejnym remoncie podziemnej twierdzy. Być może był to dziadek lub pradiadek obserwującego nas młodego zwierzęcia. Na pewno musiała być bardzo stara i przez lata leżeć pod ziemią.

Budowla, choć służyła pokoleniom borsuków od kilkunastu dobrych lat, była doskonale utrzymana. Musicie wiedzieć, że borsuki to straszne czyściochy. Obok swojego domu mają nawet specjalny wychodek, gdzie się załatwiają. Borsucze zamczysko jest wielopoziomowe, z sypialniami wyścielanymi czystą, wymienianą od czasu do czasu ściółką. Ma również specjalny system wentylacji, który tworzą wykopane kominy. Są też węższe i szersze komnaty. Najważniejsza jest komnata, w której na świat przychodzą młode. Jest największa

i połączona systemem korytarzy z innymi norami.

Jeśli kiedyś się zdarzy, że jedną z borsucznych nor zajmie lis, który jest wyjątkowym fleją i brudasem, gospodarze albo wyprowadzają się natychmiast, albo zasypują lisowi dojścia do innych korytarzy, odcinając tym samym kłopotliwego lokatora od swojej rodziny. W sumie im się nie dziwię, też bym nie chciał mieć sąsiada, który śmieci i rozrzuca dookoła resztki po jedzeniu.

Borsuk w tym względzie jest nieprzejednany. Kocha czystość i sam jest pedantem. Łatwo poznać, czy jego mieszkanie jest zamieszkałe. Jeśli przed wejściem do nor leżą liście i okolica jest zaniedbana – to znak, że gospodarze już dawno opuścili lokum.

Borsuki są pokarmowymi oportunistami. Najbardziej lubią dżdżownice, na które wybierają się nocą. Nie pogardzą jednak znalezionymi ptasimi jajami, niedołącznymi pisklętami czy małym zajęcem. Na zimę, podobnie jak niedźwiedzie, objadają się jak szalone, gromadząc w ten sposób

zasoby tłuszczu. Gruba tkanka pomaga im przetrwać niskie temperatury, kiedy zapadają w sen w swoich norach. Jesienny borsuk to ledwo chodząca obciążona sierścią kulka. Tak jest nażarty.

Borsuki to straszne czyściochy. Obok domu mają nawet specjalny wychodek.

Na łowy te zwierzęta wyruszają, gdy zaczyna się ściemniać. To typowi nocni wędrowcy. Podczas spacerów wydają pomruki i kogoś, kto nie zna się na ich życiu i zwyczajach, potrafią nieźle nastraszyć. Pamiętam, jak pewna starsza pani, która miała dom i ogród pod lasem, opowiadała mi, że wieczorami ktoś notorycznie buszował po jej sadzie. Od czasu do czasu dochodziły stamtąd dziwne odgłosy. Była przekonana, że gdy słońce zachodziło, „coś” zaczynało łązić koło domu. Przewalało metalowe kubły i konewki, szarpało folię szklarni. Grozy sytuacji

dopełniały jakieś pomruki. Bała się nocą wychodzić nawet do garażu. Zamykała wszystkie drzwi i ze strachem nasłuchiwała skrzypienia desek na werandzie. Wyobrażenia tworzyła w jej głowie coraz bardziej przerażające scenariusze niczym w dobrym filmie kryminalnym. Sytuację rozwiązał dopiero jej syn, kiedy wrócił z zagranicy. Gdy pewnej nocy ktoś przewalił stojący w ogrodzie grill, mężczyzna wziął mocną latarkę i wyszedł na spotkanie z intruzem.

Okazało się, że jego matkę straszły dwa młode borsuki, które przeciskały się na posesję przez uszkodzoną siatkę w ogrodzeniu. Gdy dziurę naprawiono, strachy się skończyły i starsza pani znowu mogła spać spokojnie. A borsuki pewnie nadal straszły w lesie, ale tego na szczęście nikt już nie słyszał.

Fragmenty książki
Marcina Szumowskiego
Wilczy gang i nowe historie
Kazimierza Nózki,
Oficyna 4eM, Warszawa 2020



Gdy zbliża się Wigilia, wszystko może się zdarzyć!

**JUŻ NA
BLU-RAY
| DVD**

Listy do M4

WP FILMWEB DEMOTYWATORY.PL P mangel STYLOWI.PL dla studenta.pl tvn KINOŚWIAT A CANAL+ COMPANY

Strata czasu

Historia cofania zegarków pokazuje, że człowiek od zawsze próbował wygrać z naturą



Mateusz Mazzini

Lada moment znów się zacznie. O godz. 2 w nocy z 30 na 31 października wszyscy w Polsce i wielu innych miejscach na świecie cofną godzinowe wskazówki zegarków o jeden pełny obrót. Tej nocy, przynajmniej teoretycznie, pośpimy 60 minut dłużej, ale niedługo po wstaniu z łóżek zauważymy znacznie mniej korzystne skutki tej zmiany. Za oknem zacznie się robić ciemno godzinę wcześniej, a biorąc pod uwagę fakt, że pędzimy ku zimowemu przesileniu, więc dzień i tak robi się coraz krótszy, nie nacieszymy się światłem słonecznym. W polskim przypadku oznaczać to będzie konieczność włączania lamp w domach już w okolicach godz. 16, powroty z pracy i szkoły w ciemnościach i trwającą długie miesiące aurę ogólnego znużenia i półmroku. Wraz ze zmianą czasu z letniego na zimowy, przypadającą zawsze w nocy z soboty na niedzielę w ostatni weekend października, ożywi się publiczna debata o sensie tego proceduru. Tradycjonałści przypomną, że zegarki są przestawiane od przeszło stulecia (w Polsce po raz pierwszy w 1919 r.) i nikomu do tej pory to nie szkodziło, a jeżeli komuś brakuje słońca, może przecież wstawać

wcześniej. Przeciwnicy zapewne również sięgną do historii i będą argumentować, że przyczyny, dla których zmianę czasu w ogóle wprowadzono, nie mają już nic wspólnego ze współczesnym światem i dzisiejszym tempem ludzkiego życia.

Najwytrwalsi szperacze genezę zmiany czasu znajdą już w starożytności. Rachmistrzowie i astronomowie na dworze egipskich faraonów studiowali ruchy słońca na niebie tak precyzyjnie, że wpadli na pomysł stworzenia lat przestępnych. Co cztery lata składali po prostu w jeden dzień ćwiartkę, która zostawała im z każdego roku astronomicznego. Z kolei Rzymianie, bardzo przywiązani do równego podziału doby na dzień i noc – co oczywiście przez większość czasu jest sprzeczne z rytmem natury – odmierzali czas dzięki coraz bardziej precyzyjnym zegarom wodnym. Jednak to, co dzisiaj znamy jako zmianę czasu z letniego na zimowy lub odwrotnie, ma korzenie we współczesności, a ściślej w nierozdzielalnym od przynajmniej czterech wieków związku człowieka z produktywnością i maksymalizacją zysków.

Pierwsi teoretycy zmiany czasu chcieli ją wykorzystać do celów praktycznych, a dokładniej do swojej własnej pracy. George Hudson, XIX-wieczny nowozelandzki botanik,

straszenie się denerwował, że coraz krótsze dni uniemożliwiają mu prowadzenie badań terenowych, a także polowania, które uwielbiał. Zaproponował więc cofanie wskazówek zegara, pierwotnie aż o dwie godziny, bo tylko wtedy robiło to odpowiednią różnicę. Kilkanaście lat po Hudsonie (swoją postulat sformułował w 1895 r.) bieg wydarzeń zdominowała I wojna światowa, więc całe myślenie o innowacjach i zmianach społecznych podporządkowano celom z nią związanym, czyli bezpieczeństwu i zwiększeniu szans na militarny triumf. Kolejne mocarstwa zaczęły szukać sposobu na maksymalizację produkcji przemysłowej i energii obywateli.

Pierwsi byli Brytyjczycy, którzy odkurzyli starą ideę przesuwania wskazówek zegara, modną zwłaszcza we wcześniejszych wiekach, w czasie rewolucji przemysłowej. Wtedy chodziło o to, by jak najwięcej ludzi mogło pracować jak najdłużej przy świetle dziennym. Teraz do równania dołączono element wojskowy – ćwiczenia, przygotowanie broni, walkę w okopach. Wielkimi zwolennikami zmiany czasu w celu wydłużenia ludzkiej aktywności i lepszego jej wykorzystania byli chociażby Winston Churchill i Arthur Conan Doyle. Jednocześnie pomysły

ten zyskiwał aprobatę polityków pruskich, francuskich i amerykańskich. Za oceanem zmianę czasu oficjalnie usankcjonowano ustawą federalną w 1918 r., przy okazji dzieląc kraj na strefy czasowe.

Choć w gruncie rzeczy nieszkodliwe dla przeciętnego człowieka, przesuwanie zegarków dwa razy do roku, raz do przodu i raz do tyłu, początkowo napotykało spory opór społeczny. Przedstawiane ludziom jako element wojennej strategii Bismarcka czy Churchilla, krytykowane było zwłaszcza przez ruchy robotnicze, które widziały w tym kolejne opresyjne narzędzie kapitalizmu, mające służyć eksploatacji klas pracujących. Widziano też w nim przejaw dystopijnej polityki, walki z naturą w imię coraz większej produktywności i uprzemysłowienia. Jonathan Crary, eseista i teoretyk kultury związany z nowojorskim Uniwersytetem Columbia, w książce „24/7. Późny kapitalizm i koniec snu” buduje nawet ciąg przyczynowo-skutkowy pomiędzy wprowadzeniem zmiany czasu a późniejszymi eksperymentami przemysłowymi, typowymi dla reżimów totalitarnych.

Owładnięty obsesją pokonania sił natury w imię niemal stuprocentowej wydajności gospodarczej był zwłaszcza Józef Stalin. W tym celu gotów był odwracać bieg rzek i budować gigantyczne miasta na pustkowiach, ale też interesował się ideą sieci wystrzelonych na orbitę luster, które

XX-wieczne flirty z utopią, szły na miarę ówczesnych możliwości technologicznych, rzeczywiście upatrywały w zwiększeniu czasu ze światłem słonecznym szansy na przyspieszenie rozwoju cywilizacyjnego. Również dlatego, że dzienne tryby życia ludzkości były mniej lub bardziej zuniformalizowane, w przeciwieństwie do czasów bieżących. Obecny kształt rynku pracy, zglobalizowanego i spinającego wszystkie strefy czasowe, dawno przestał

Pracujemy znacznie dłużej niż od świtu do zmierzchu, sztuczne światło towarzyszy nam cały czas, jedna godzina nie robi zatem różnicy.

być uzależniony od jakichkolwiek czynników naturalnych. Pracujemy już znacznie dłużej niż od świtu do zmierzchu, sztuczne światło towarzyszy nam cały czas, jedna godzina nie robi zatem różnicy, przynajmniej w rachunku produktywności. Odpada też argument o konsumpcji zasobów, który kiedyś przemawiał za cofaniem zegarków. Podobno nawet Benjamin Franklin opowiadał się za zmianą czasu, bo jego zdaniem ci, którzy pracowali po zmroku, zużywali więcej wosku i świec. Dzisiaj jest raczej odwrotnie – brak światła słonecznego powoduje, że szybciej zapalamy sztuczne oświetlenie, jednak latem z powodu zmiany czasu wcześniej włączamy klimatyzację,

po zmroku da się swobodnie funkcjonować na zewnątrz, więc wiosną, kiedy zegarki idą do przodu, odbiera to godzinę w miarę komfortowych warunków do spędzania czasu poza domem. W ogóle przy wskazówkach nie majstrują mieszkańcy Japonii, Indii i Chin – głównie z przyczyn kulturowych, bo zmiana czasu jest przecież wymysłem anglosaskim, ale też z powodu geografii i wciąż silnego przywiązania ludzi do naturalnego, dobowego rytmu dnia.

Łącznie krajów niezmiennających czasu jest już na świecie kilkadziesiąt, a z każdym rokiem spekuluje się, że grono to będzie się powiększać. Choćby o państwa europejskie, bo front delegalizacji cofania wskazówek na Starym Kontynencie jest coraz silniejszy.

Również dlatego, że, jak pokazują najnowsze badania, cofanie zegarków późną jesienią i przyspieszanie ich wiosną nie jest specjalnie dobre dla naszego zdrowia. Badania prowadzone przez zespół naukowców z Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium wskazują, że tak nagła zmiana w rytmie dobowym zwiększa ryzyko zawałów i innych problemów z układem krążenia, stanów depresyjnych, negatywnie wpływa też na funkcjonowanie mózgu. W najlepszym wypadku, dodaje Gregory Ragland, profesor biologii z Uniwersytetu Colorado w Denver, osoby wrażliwe na zmiany pogodowe będą w okolicach zmiany czasu odczuwać nagłe zmiany nastrojów, łatwo się irytować, nerwowo reagować na rzeczywistość. W najgorszym – mieć przewlekłe problemy ze snem, przez co znacząco osłabią swój układ immunologiczny.

Powyższe przykłady pokazują zatem dobitnie, że cała debata wokół zmiany czasu jest niczym innym jak kolejną odsłoną walki człowieka z naturą. Wciąż się łudzimy, że możemy naturę oszukać, a ona zawsze nad nami triumfuje. Bez względu na to, która aktualnie jest godzina.

Cofanie zegarków późną jesienią i przyspieszanie ich wiosną nie jest specjalnie dobre dla naszego zdrowia.

odbijałyby światło słoneczne, tak żeby na Syberii zawsze było go wystarczająco dużo do długiej pracy bez konieczności używania sztucznego oświetlenia. Ostatecznie większość tych projektów pozostała w sferze fantazji, ale doskonale ilustrowały one trend zapoczątkowany przez Hudsona. Marzący o nieskończonej wydajności własnej pracy człowiek gotów był w tym celu rzucić wyzwanie podstawowym siłom natury, do których należy istnienie cyklu dobowego.

Z dzisiejszej perspektywy tamte argumenty łatwo zrozumieć, jeśli wpiszemy się je w kontekst historyczny.

konsumując w ten sposób więcej energii i w wielu przypadkach dokładając kolejne cegiełki do katastrofy klimatycznej.

Wachlarz argumentów przeciwko zmianie czasu rośnie z każdym rokiem, tak samo jak liczba miejsc na mapie, gdzie się z niej rezygnuje. Choć w USA oficjalnie jest obowiązkiem, nie praktykuje się jej na Hawajach – archipelag leży tak blisko równika, że wahania długości dnia są bardzo małe. Za małe, żeby uzasadniać cofanie wskazówek zegara. Arizona także ich nie cofa, chociaż z przyczyn odwrotnych: latem jest tam tak ciepło, że dopiero

Mateusz Mazzini

Cumbre Vieja na La Palmie w archipelagu Wysp Kanaryjskich wypływa lawę nieprzerwanie już od ponad miesiąca. Bilans pierwszego od pół wieku wybuchu tego wulkanu jest druzgocący zwłaszcza dla infrastruktury i gospodarki regionu. Ewakuowanych zostało ponad 6 tys. osób, w tym kilkuset turystów. Lawa, której temperatura dochodzi do 1000 st. C, kompletnie zniszczyła też 1180 budynków mieszkalnych i przemysłowych oraz ponad 40 km dróg publicznych. Straty są wciąż trudne do oszacowania, zwłaszcza że wiele szkód jest nieodwracalnych – np. plantacje bananów i winnice. Mająca szerokość nawet 1,5 km rzeka lawy na początku października dotarła do oceanu, powodując wytworzenie się chmur toksycznych gazów. Pod jej naporem do wody osunęły się kilkunastometrowe klify. Łącznie erupcja doprowadziła do powiększenia się wyspy o 40 ha.

Teraz, kilka tygodni po pojawieniu się pierwszych jeziorów lawy na stokach wulkanu, nikt nie odważy się tragedii bagatelizować. Na początku jednak nastroje hiszpańskiej opinii publicznej były odmienne. Najlepiej ilustrowała je wypowiedź szefowej ministerstwa sportu Marii Reyes Maroto, która w radiu Canal Sur z pełną powagą stwierdziła, że wybuch może mieć całkiem pozytywne skutki dla La Palmy. Rzeki lawy byłyby atrakcją, która mogłaby przyciągnąć na wyspę nowych turystów. Za swoją wypowiedź pani minister została skrytykowana, również dlatego, że nie było jeszcze wtedy wiadomo, czy wybuch wulkanu nie pochłonie ofiar.

Na razie na Wyspach Kanaryjskich ofiar śmiertelnych nie ma, ale o zadowoleniu trudno mówić. Oprócz skutków bezpośrednich dojdą też bowiem konsekwencje długoterminowe – możliwy nie wzrost, ale spadek liczby turystów w kolejnych latach i odpływ pracowników sezonowych. To wszystko dla kanaryjskiej gospodarki, i tak w dużej mierze utrzymującej się na nogach dzięki napędzaniu przez turystykę sektorowi usług, mogłoby być ciosem, po którym region już by się nie podniósł. Zwłaszcza po i tak bardzo trudnym, turystycznie pustym pandemicznym roku 2020.

Erupcja popularności

Czynne wulkany budzą ekscytację turystów, ale też realny strach wśród decydentów



Cumbre Vieja na La Palmie, jednej z mniejszych Wysp Kanaryjskich, wyrzuca lawę od ponad miesiąca.

A jednak, choć doniesienia o kolejnych dewastacjach spływają z La Palmy prawie dzień po dniu, dla niektórych żarzące się strumienie lawy to właśnie warta sfotografowania sensacja. Policja na wyspie regularnie mierzy się z grupkami fotografów amatorów, którzy okupują wzgórza ponad korytem wulkanicznego strumienia, dokumentując choćby na własny użytek, jak ziemia wokół nich zamienia się w krainę ognia. Niektórzy otwarcie przyznają, że przyjechali tu z innych wysp archipelagu i nie zamierzają odejść, dopóki służby porządkowe nie odciągną ich siłą. Fotografowie wybuchu od tygodni dominują również we wszelkiego rodzaju rankingach „zdjęć tygodnia” itp. Nawet „El País”, największy dziennik na Półwyspie Iberyjskim, prowadzi na swojej stronie internetowej transmisję na żywo z erupcji, a widzowie z całego świata mogą śledzić zmieniający się kształt i zasięg strumienia lawy.

Ujęciom z La Palmy oczywiście trudno odmówić efektywności i unikatowego charakteru, ale nie można zapominać, że dokumentują wydarzenie potencjalnie tragiczne w skutkach. Zdjęcia z trzęsień ziemi, tsunami czy powodzi nie klikają się w internecie nawet w połowie tak dobrze. Co zatem sprawia, że ludzkość nagle pokochała wulkany?

Jedną z możliwych odpowiedzi na to pytanie oferuje Islandia, która z obszarów wulkanicznych już jakiś czas temu uczyniła turystyczny skarb. Najnowszym elementem tamtejszej oferty jest wulkan Fagradalsfjall, na południowo-wschodnim krańcu kraju, 40 km od stolicy, Reykjavíku. Wciąż czynny, „otwarty dla zwiedzających” został w marcu tego roku. Lawą pluje w tempie regularnym, a ponieważ znajduje się na terenie niezamieszkanym, otoczony szerokim płaskowyżem, krajobraz potęguje widoki – dosłownie nie z tej ziemi. Żeby do Fagradalsfjall w ogóle się zbliżyć, trzeba przejść na piechotę ok. 5 km po okolicznych wzgórzach, w gęstej jak zupa mgłę. Potem kolejne 2 km już w bezpośrednim sąsiedztwie terenów wulkanicznych, aż wreszcie na horyzoncie pojawiają się pierwsze języki żółto-czerwonej lawy. Łyse, szaro-zielone zbocza, czarna, zastygła magma i ognisty strumień pośrodku. Trudno o bardziej kosmiczny widok na naszej planecie. Nie powinno zatem dziwić,

że wulkan – ten i 130 innych, spośród których 18 wybucha mniej lub bardziej regularnie – stanowi o sile islandzkiego sektora turystycznego. Najdobitniej widać to było tuż po zniesieniu pandemicznych restrykcji w podróżach międzynarodowych. W maju 2021 r. wyspę odwiedziło 13 razy więcej gości niż rok wcześniej. To sukces, w który spory wkład miał udostępniony zwiedzającym dwa miesiące wcześniej nowy, niemal stołeczny wulkan.

Islandczycy wbrew pozorom nie darzą tych wzniesień miłością całkowitą i jednoznaczną. Doskonale wiedzą, że wulkany potrafią skomplikować im życie, bo po przykłady nie trzeba sięgać daleko wstecz. Nie tylko mieszkańcy wyspy pamiętają, jak w 2010 r. potężna (głównie z powodu chmury pyłów) erupcja wulkanu Eyjafjallajökull praktycznie zawiesiła na kilkanaście dni cały ruch lotniczy na półkuli północnej. Historia Islandii pełna jest także wybuchów mniej efektownych, ale bardziej szkodliwych dla populacji i infrastruktury. Mimo to wyspiarze postanowili wulkany ośwoić, poszukać dla nich praktycznego zastosowania. Jak?

Islandia z obszarów wulkanicznych już jakiś czas temu uczyniła turystyczny skarb.

Oczywiście pomogły im mała gęstość zaludnienia, mało sprzyjający klimat i po prostu fakt, że większość wyspy, a więc i okolice wulkanów, są kompletnie puste. Mimo to rząd w Reykjavíku zainwestował w szczególnie, obejmującą całą wyspę infrastrukturę sejsmiczną. Pozwala ona na wczesne wykrywanie nawet najmniejszej aktywności wokół wulkanów, jeśli zatem erupcja się zbliża, wiedzą o tym wszyscy, w tym mieszkańcy terenów potencjalnie zagrożonych. Tych ostatnich i tak jest bardzo niewiele, bo od setek lat Islandczycy wokół wulkanów (głównie na południowo-zachodnim wybrzeżu) po prostu się nie osiedlają. Jeśli więc na wyspie rzeczywiście któryś ze stożków się budzi, można śmiało reklamować go turystom. Zwłaszcza że lawę oglądają w dość bezpiecznych warunkach, również dzięki 5 mln euro, które rząd co roku przeznacza na

konserwację infrastruktury turystycznej na wyspie.

Islandia to jednak przykład dość skrajny, niemal jednoznacznie pozytywny. Wulkany pozostają aktywne również w innych częściach świata, najczęściej niestety z przeciwnym skutkiem. 1 lipca tego roku obudził się wulkan Taal na Filipinach, które są kolejnym światowym liderem pod względem liczby czynnych stożków (22 aktywne, łącznie ponad 300). Choć wybuch nie był niczym wyjątkowym, bo Taal dymi i pluje lawą praktycznie co kilka miesięcy, tym razem historyczne okazały się jego konsekwencje. Wulkan wyemitował do atmosfery rekordową w dziejach ilość dwutlenku siarki. Półtora roku wcześniej doprowadził z kolei do ewakuacji aż 40 tys. mieszkańców okolicznych wiosek – wielu z nich do dzisiaj nie wróciło do domu w obawie przed nagłym wybuchem, który mógłby ich zaskoczyć chociażby we śnie.

Podobnie wygląda sytuacja w sąsiedniej Indonezji, gdzie czynnych wulkanów jest najwięcej na świecie, aż 76. Tam erupcja może nastąpić w każdej chwili, ewakuacje są na porządku dziennym (najwięcej było w 1982 r., tymczasowo relokowano aż 75 tys. osób), a mimo to ludzie terenów zagrożonych nie opuszczają. Nie za bardzo mają dokąd pójść. Oba państwa są jednymi z uboższych w regionie, infrastruktura sejsmiczna, choć istnieje, nie jest tak masowa ani rozwinięta jak na Islandii, pomoc dla ofiar wybuchów z reguły też bywa bardzo ograniczona. W Azji Południowo-Wschodniej dym ze stożka to wciąż tylko powód do obaw – o sensacji turystycznej nikt tu wtedy nie myśli.

Różnice w podejściu do wulkanów dość wiernie odzwierciedlają dysproporcje materialne i technologiczne krajów. Tam, gdzie udało się odsunąć ludzi od terenów zagrożonych, na strumieniach lawy można zarabiać. Gdzie indziej generują one koszty i straty, w tym straty ludzkich istnień. Koniec końców wulkany nie różnią się niczym od pozostałych emanacji sił natury. Potrafią być przyjazne, prawie zawsze są efektowne, ale ich trwałe okiełznanie jest praktycznie niemożliwe.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Opuszczony kościół w Stawiszynie.



Chata pana Henryka.

Dominika Tworek

Kościół budzą we mnie respekt. Ich wzniosłość skłania do zatrzymania, kontemplacji. Pograżam się w zadumie, stojąc na środku opuszczonego neogotyckiego kościoła, który przez ponad dwa wieki stanowił miejsce modlitw protestantów. Ponieważ ostatni członkowie społeczności ewangelickiej wyjechali z miasta prawie 40 lat temu, w 2014 r. zdecydowano się na jego desakralizację. Potem pojawiały się pomysły, by stworzyć tu kawiarnię lub centrum kultury, ale żaden nie wypalił. Razem z eksploratorem Tomaszem Cichym właśnie tutaj rozpoczynamy sentymentalną podróż po świecie jego pasji. Kościół w Stawiszynie to perełka, do której od lat uwielbia wracać.

Nic dziwnego. Drewniana, skromnie zdobiona empora kontrastuje z przepięknymi XVIII-wiecznymi organami. Jest majestatycznie i magicznie, gdy wypełniające pomieszczenie smugi południowego światła tworzą scenerię dla tańczących w powietrzu drobinek kurzu.

Samotny wilk i piękno eksploracji

Jeśli jakieś miejsce zaciekawi podróżnika, priorytetem jest zdobycie jak największej ilości informacji. Gdy już złapie bakcyła, pozostaje tylko dostać się do środka. Ten wyjątkowy

Ocalić zapomniane

Urbex, czyli eksplorowanie opuszczonych i zrujnowanych budynków, jest coraz bardziej popularną pasją, zwłaszcza młodych ludzi

ewangelicki kościół – przez lata zamknięty na cztery spusty – stał się jego oczkiem w głowie. Wielokrotnie tu przyjeżdżał, sprawdzał, czy ktoś już utorował drogę. Bo eksplorator ma swoje zasady. Przede wszystkim nigdy nie włamuje się do opuszczonych obiektów. Jak podkreśla, dokonuje wtargnięć, nie włamań. Cztery lata temu jego marzenie się spełniło i wślizgnął się, podobnie jak dziś, przez zniszczone drzwi świątyni.

Na początku jest ekscytacja, później uważność – obserwacja, która przeobraża się w doświadczenie. – Lubię usiąść w ławce, dotknąć jej, czuć pod palcami jej fakturę, a potem zamknąć oczy i wyobrażać sobie, jak ten kościół funkcjonował. Poczuć tę specyficzną aurę, to *sacrum*, chłonąć otoczenie, aż stanę się częścią danego miejsca. Dlatego, mimo że dużo bezpieczniej jest urbeksować z kimś, jestem samotnym wilkiem. Bo przez ten jeden moment to wszystko jest dla mnie – opisuje Tomek.

Jego sposobem na uwiecznianie tych ulotnych, efemerycznych

przeżyć jest fotografia: – Staram się, żeby te zapomniane miejsca żyły na moich zdjęciach. Bo dzięki nim ocaleją. Bardzo prawdopodobne, że za 10 lat kościół, w którym jesteśmy, rozsypie się w pył albo go wyburzą. Dlatego każdy pierwszy raz w danym miejscu traktuję, jakby miał być ostatnim. Bo za chwilę może już go nie być.

Znakiem rozpoznawczym Tomka jest zabawa światłem. Na facebookowym fanpage'u Addict7ed Empire, obserwowanym przez ponad 26 tys. osób, znajdziemy albumy ze 135 odbytych przez niego podróży. Każdy z nich, oprócz przepięknych fotografii, zawiera wrażenia z eksploracji oraz osobiste przemyślenia autora. A prawie dwie dekady urbeksowych doświadczeń przyniosły ich niemało.

Czas działa na niekorzyść

Tomek chce pokazać jeszcze jedno ważne dla niego miejsce – stary młyn, ale – niestety – zastajemy tam ruinę. Opowiada: – Jeżeli nikt się



Kompleks budynków XIX-wiecznej gorzelni.

takim obiektem nie zajmie, to niszczeje, aż w końcu wali się i już nie ma czego zwiedzać. W urbeksie czas nie działa na korzyść. Znanie, sztandarowe miejsca w dużej mierze zostały już zniszczone, rozdeptane, straciły swój urok i niepowtarzalność. A nowych nie przybywa. W ostatnich latach ogromnie zwiększyła się też liczba zwiedzających, ten specyficzny rodzaj turystyki stał się modny. A jeśli jakaś pasja jest zbyt popularna, to prawie nigdy nie wpływa to na nią pozytywnie.

W okolicy udaje nam się zwiedzić kompleks budynków XIX-wiecznej gorzelni. Z zewnątrz ujmują głębią rdzawego odcienia cegły i ozdobną fasadą. Puste wnętrza, z okien których przebijają się odradzające się świat roślin, uwodzą spokojem. Chociaż widok starego kotła, przypominającego twarz człowieka z egzaltacją wyrażającego zdziwienie, wyzwała w nas śmiech.

Punktem, bez którego nie mogła się obyć nasza wycieczka, jest opuszczona cegielnia – pierwszy budynek na urbeksowej mapie podróżnika, która dziś składa się z ponad 500 miejsc. Fabryka, położona z dala od zgiełku, w liceum stanowiła idealną odskocznnię od rzeczywistości. Potrzeba takiej formy relaksu sprawiła, że Tomek zaczął szukać opuszczonych obiektów, najpierw w swoim województwie wielkopolskim, potem na terenie całego kraju, a dziś zwiedził już pod tym kątem większość

państw Europy Zachodniej. Choć czuje spełnienie, ma jeszcze marzenia. Jednym z nich jest eksploracja miasta Detroit. Żałuje tylko, że lata temu nie pojechał do Czarnobyla, który jest dziś bardzo popularnym turystycznym kierunkiem.

Chałupa staruszki Władzi

Najbardziej fascynują go pałace, kościoły i... opuszczone wiejskie chaty. Bo każdy taki domek to oddzielna ludzka historia. Z jednym z nich związał się szczególnie.

Gdy przyjeżdżamy na jego miejsce, podróżnik nie ukrywa smutku. Tak ważna dla niego chatka znajduje się obecnie w stanie rozkładu. Przez lata wiele razy koło niej przejeżdżał, zawsze obserwując ten sam widok – samotną staruszkę siedzącą na ławce przed domem. Opowiada: – Wielokrotnie miałem ochotę podejść do niej i zagadać, ale ostatecznie tego nie zrobiłem. Teraz żałuję, bo może usłyszałbym coś fascynującego, może jakoś bym jej pomógł, jakkolwiek, np. zrobił zakupy. Pewnego razu zauważyłem, że ławka stoi pusta. Starusza pani umarła.

Wybudowana z drewna i gliny chata wyglądała wtedy jak skansen. Okalał ją bardzo stary i zniszczony drewniany płot. Na podwórku stała też kryta strzechą obora z kamienia łupanego, buda dla psa, wychodek oraz drewniany żuraw, a ze środka placu spoglądał dostoyny dąb. Był

sierpniowy poranek 2015 r. Podróżnik wszedł do środka i zamknął za sobą okno, aby następne pięć godzin w ciszy i skupieniu chłonać otoczenie. Fakt, że żaden urbeksowicz nie był tu wcześniej, tylko wzmacniał jego entuzjazm. Chatka była jego trofeum.

Dziś, gdy zaglądaliśmy do jej wnętrza, w Tomku odżywają wspomnienia: – W tej izbie stały dwa piękne drewniane łóżka, duża szafa na ubrania i biały kredens. Jedno z łóżek miało zdobione motywami roślinnymi oparcie i wypchany słomą siennik. Drugie było nadal pościelone i wyglądało, jakby ktoś jeszcze dziś miał się w nim zdrzemnąć. Parapet nadal zdobiły kwiatki. Znalazłem też trochę pamiątek oraz przepiękną lampę naftową. Ale najbardziej spodobały mi się znalezione w sieni makatki. Na jednej z nich widniał napis „Dzień dobry”, przez co poczułem się, jak mile widziany gość.

W drugim pokoju znalazł plik bardzo starych rodzinnych fotografii. – Dzięki zdjęciom i krótkim adnotacjom na rewersach udało mi się rozpoznać kilku domowników i odtworzyć ich więzy rodzinne. Znalazłem nawet jedno kolorowe zdjęcie, zrobione w 2007 r. przed chatą, które przedstawiało właścicielkę domu – panią Władysławę. Dzięki niemu mogłem przekonać się, jak wiele zmieniło się przez te osiem lat – opowiada Tomasz. Zabrał wtedy do domu znalezione zdjęcia, zeskanował, ►

► a podczas następnej wizyty odłożył je do szuflady.

Pani Władysława umarła w wieku 96 lat. Na zdjęciu na nogach miała granatowe kapcie, które Tomek znalazł tuż przy jej łóżku. Wspomina: – Obudziła się we mnie wrażliwość, która dała do zrozumienia, że ta pani już nie żyje, zasnęła na zawsze. Później, udało mi się skontaktować z jej krewnym. Okazało się, że jego rodzina nigdy tam nie wchodziła, ponieważ młodsze pokolenie było między sobą mocno skłócone. Bardzo mi podziękował, że dzięki mnie te zdjęcia ocalały. I właśnie taka jest funkcja fotografii. Gdyby nie ona, nikt by nie wiedział, jak ta chata wyglądała, nic by po niej nie pozostało.

Dzięki zdjęciom Tomek wiedział, że kiedyś przed domem rosły malwy. Posadził więc rośliny, doglądał je i cieszył nimi oko. Chatka stała się dla niego ostoją, odskocznią od problemów, działała jak lekarstwo, ale też skłoniła do głębokich przemyśleń: – Zdałem sobie sprawę, w jak trudnych warunkach żyli ci ludzie. Że ta samotna staruszka myślała w sobie, że jeśli sama nie nabywała drewna i nie napaliła w piecu, to było jej zimno, że z dachu kapał deszcz. To otworzyło mi oczy, żeby bardziej doceniać to, co mam na co dzień. Na celebrację życia przez drobne momenty czy przedmioty.

Mikrokościółek u pani Danusi

Dla Tomka równie ważne, jak samotne przebywanie w opuszczonych miejscach, są rozmowy z ludźmi. Często słyszy: „Jak dobrze, że jeszcze ktoś się tym interesuje”. Zwłaszcza od osób starszych, które z wielkim szacunkiem traktują swoje domy czy miejsca pracy, ponieważ w ciągu życia bardzo się do nich przyzwyczajają, a do rzeczy podchodzą jak do przedmiotów magicznych. Nawet najmniejsza emocja wywołana widokiem jakiegoś obiektu powoduje, że chcą opowiadać historie swojego życia, a podróżnik zawsze chętnie ich wysłuchuje, chłonąc ich mądrość.

Dzięki takiemu podejściu odwiedzamy dziś panią Danusię. Jej dzieci nalegały, by wyprowadziła się z walonej się chatupy, w której mieszka.

Nie chciała. Tu – w Puszczy Pydzkiej – jest jej dom i tu chce umrzeć. Okolica wyróżnia się ciekawym budownictwem. Na początku XX w. budowano tu chaty z darniowej rudy żelaza – surowca charakterystycznego tylko dla tego regionu Polski. W takim właśnie „domku z żelaza” rezyduje pani Danusia, ale nie tylko to fascynuje w jej chatupce. Od lat 20. XX w. mieścił się tu ewangelicki dom modlitwy, później zaadaptowany na dom pastora, po II wojnie światowej



Kościółek u pani Danusi.

przez wiele lat służył też społeczności katolickiej. Kobieta przeprowadza nas więc przez swoje mieszkanie do mikrokościła. Miejsce ma niebywały, ceremonialny klimat. Gdyby na każdym kroku nie przypominał o sobie wszechobecny kurz, a na ławki nie spadł sufit, można by odnieść wrażenie, że mieszkańcy wioski zaraz zbiorą się na nabożeństwo. Dumnie prezentujące się na ołtarzu lichtarze tylko czekają na rozpalone świece, konfesjonat – na spowiedników, a pokryte pięknymi, sakralnymi malunkami ściany – na spojżenia gapiów.

Listy z chaty pana Henryka

Kolejna chata, którą odwiedzamy, została wykonana z gliny wzmocnionej kamieniami polnymi. Cała pokryta jest winoroślą. Prawdopodobnie

została opuszczona w 2005 r. Jej wnętrze jest dziś zdewastowane, ale uruchamiam wyobraźnię, gdy Tomek wraca pamięcią do swojej pierwszej wizyty trzy lata temu: – Tu była kuchnia – pokazuje. – Pięknie prezentował się biały kredens. Jego barwa idealnie grała z błękitem ścian. Na ścianie wisiał pęczek suchych ziół. Przez chwilę poczułem się jak w kuchni mojej prababci. Znalazłem również starą szafę. W środku wisiały drewniane wieszaki, które od czasu do czasu poruszał wiatr.

W pokoju na jednym z łóżek leżały spodnie pana Henryka – ostatniego właściciela domu. Tomek uważnie odkrywał karty losu dawnych mieszkańców chatki. Pan Henryk pracował niegdyś w przedsiębiorstwie robót inżynieryjno-drogowych w Poznaniu. W szkole nigdy nie należał do orłów, według znalezionego świadectwa w siódmej klasie podstawówki nabierał aż siedem ocen niedostatecznych. W końcu poznał panią Irenę, z którą się ożenił. Miał z nią dwie córki. Jedną z nich – Joanna – pisała do rodziców listy z zakładu karnego w Grudziądzu. – Nie wiem, jak tam trafiła, ale z listów wynika, że bardzo tęskniła za domem i brakowało jej kontaktu z rodziną. Na samą myśl o tym, że Joanna odbywała wyrok, miałem ciarki na plecach. Zastanawiałem się, co takiego mogła zrobić i jakie były jej dalsze losy. Gdy czytam listy mieszkańców, czuję się jak członek tej rodziny. To są takie okruciny życia znalezione na podłodze, w szafie, w kredensie – mówi eksplorator.

Ciekawią go także „wstydlawe” pamiątki: – Raz znalazłem zdjęcie, na którym jest kobieta, domowniczka, i żołnierz Wehrmachtu. Takie przedmioty pobudzają moją ciekawość i wyobraźnię. Może ta kobieta się w nim zakochała? Podczas wojny były przecież tzw. zakazane miłości, z Niemcem czy Rosjaninem. To, co się stało z tymi ludźmi, jest dla mnie wielką zagadką. Ich historie budzą we mnie takie emocje, że czuję się, jakbym leciał w kosmos. Robię to właśnie dla tych poruszeń.

Dominika Tworek

Ekstraklasa, czyli USA i Chiny

Jakie placówki dyplomatyczne na świecie są dla Polki najważniejsze? Naszym zdaniem to Waszyngton i Pekin. Obsada tej pierwszej jest już wyjaśniona, do Waszyngtonu ma jechać Marek Magierowski, niedawny ambasador w Izraelu. To dobra kandydatura. Nie tylko ze względu na jego British English, ale także dlatego, że Magierowski ma w CV stanowisko wiceministra i w Departamencie Stanu uważany jest za dyplomatę, a nie za funkcjonariusza PiS, tak jak jego następcy w MSZ.

A poza tym nowego ambasadora do Waszyngtonu należało wysłać natychmiast po zmianie administracji w USA.

Z Waszyngtonem się udało, z Pekinem może być trudniej... Tam od ponad 20 lat ambasadorami byli Ksawery Burski, Krzysztof Szumski, Tadeusz Chomicki, Mirosław Gajewski, Wojciech Zajączkowski. Ksawery Burski to chyba nasz najwybitniejszy sinolog. Za czasów Krzysztofa Szumskiego uzyskaliśmy dostęp do rynku chińskiego dla naszych produktów rolnych, a Mirosław Gajewski zorganizował prezydentowi Andrzejowi Dudzie wizytę oficjalną z oprawą protokolarną na poziomie zarezerwowanym dla przedstawicieli państw, które są stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa ONZ. Wielki pokaz ambasadorskich umiejętności! Cóż z tego, skoro zaraz po wizycie prezydenta został odwołany i placówka przez wiele miesięcy nie miała ambasadora.

W końcu został nim Wojciech Zajączkowski. I przyszło mu do wykonania trudne zadanie wyjaśniania swoim gospodarzom niespójności polityki zagranicznej RP. Premier Szydło była zwolenniczką chińskich inicjatyw – formatu 17+1 oraz Pasa i Szlaku. Jej następcą wręcz przeciwnie. A prezydent Duda w tym wszystkim przestał się liczyć. I jak to Chińczykom wyjaśnić?

Zajączkowski zakończy swoją, już przedłużoną, kadencję w przyszłym roku. Był ambasadorem w Bukareszcie i Moskwie oraz dyrektorem departamentów w centrali. Nie udało mu się (na jego szczęście) zostać wiceministrem w 2014 r., po powrocie z Moskwy. W pewnym sensie otworzyło mu to drogę do Pekinu.

A kto będzie jego następcą?

Do tej pracy na pewno nadaje się prof. Bogdan Góralczyk. Po pierwsze, zna chiński, po drugie, pisze książki o Chinach, o których nawet najlepsi sinologowie w Europie (Francuzi) wyrażają się z uznaniem, a po trzecie, już był ambasadorem i zna MSZ również z pozycji dyrektora sekretariatu ministra. Czy będzie chciał rzucić zajęcie z młodziem i tłumaczyć wicedyrektorom w departamencie Azji i Pacyfiku, że polityką zagraniczną w Chinach zawiaduje wydział zagraniczny KC KPCh? Wątpimy. Inny naturalny kandydat, też sinolog, Paweł Milewski ma bardzo duży minus w postaci zażyłości z Andrzejem Papierzem i ich „wspólnym i w porozumieniu” działaniem na rzecz odwołania poprzedniego ambasadora w Tokio.

Prawdopodobnym kandydatem pozostaje zatem były dyrektor departamentu Azji i Pacyfiku, były ambasador w Irlandii, Wielkiej Brytanii i przy ONZ w Nowym Jorku, Witold Sobków. Obecnie jest dyrektorem politycznym MSZ. Czarnym koniem może być Piotr Gillert. Ostatnie 11 lat był pracownikiem ambasady w Pekinie, w tym sześć zastępcą ambasadora. Zna chiński. Obecnie jest zastępcą dyrektora Departamentu Spraw Zagranicznych w Kancelarii Prezydenta. Niby więc wszystko OK, tyle że kiedy starał się w 2009 r. o wyjazd do Pekinu, na jego podaniu Radosław Sikorski dopisał: „to bardzo dobry kandydat”. A to dziś bardzo zła rekomendacja...

Attaché



Mur świątynny.
Przystanek autobusowy
przy betonowej barierze
ochraniającej grób
Racheli w Betlejem.

[illegible]

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 tworzą końcowe hasło.

- ta roślina na głowicy korynckiej
- zaliczka
- sądowe lub z Marburga na temat Edwarda VIII
- stan całkowitego zubożenia
- na jego torcie 14 świeczek
- zmierzanie do celu, tendencja
- sztuki lub literatury, bywa wiekopomne

- najciemniejsza część Hadesu
- stan USA i Duncan z „Diuny”
- z igrakiem w równaniu
- nieraz omyłkowo naciskany zamiast Delete
- wiatru lub studiów
- uderza o izbicę
- opieka rodziców lub ustanowiona przez sąd

- ogórek w beczce
- największa ilość, wartość
- mały rysunek terenu, dojazdu
- powierzchowność, płytczna
- soczewka na jedno oko
- dom owadzych pracusiów
- ...komputera – metalowa skrzynka
- część lunety, mikroskopu
- *finis coronat...*
- w „Bocznych drogach” pierścioneł z tej warszawskiej spółdzielni
- uduśli Desdemone
- wrzutowy na żeton lub wiertniczy
- batalion z powstania warszawskiego

- kanapkowa lub do zębów
- gotów do poświęceń dla ojczyzny
- krążek np. jałowcowej
- za nią trzymany Achilles podczas kąpeli w Styksie
- Grunwaldzki, Konstytucji lub Szczepański
- kadry i... – dział w firmie
- więź prawna, w odróżnieniu od pokrewieństwa
- pisze mową niewiązaną
- i łapownictwo, i przemysł
- aparat do prześwietleń
- może być bufiasty
- narysowany w skali przekroju czegoś
- ...prawdy lub kosmetyk
- nachylenie dachu
- w PRL bywała spod lady
- broń biała, np. z pojedynku Kmicic-Wołodyjowski

- oznakowana trasa dla turystów
- pereł lub ten, co się ino ostał
- osiemnastka ze stoiska z nabiałem
- patyna, zielonkawy nalot
- genowa lub zajęciowa
- środki lokomocji do przewozu ludzi, ładunków
- ślad
- komplet tomów prof. Walickiego w naszym sklepie
- dziób plus reszta ptaka
- wymarli, miał ostoję w Puszczy Jaktorowskiej
- tworzą pasiekę
- Kazik w Kulcie
- lek w proszku na otarcia i odparzenia
- wniesione na ostatnie danie w domu Sędziego na śniadanie



KUPON JOLKI „Przeglądu”

haslo:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jakiejś „Przeglądki”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1036”. Do rozlosowania książki „Dziewczynka z poziomkami” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 listopada 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1033” z nr. 41: *Giętkie trudno się łamie.*

Nagrody otrzymują: Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Krzysztof Mauer z Mińska Mazowieckiego, Elżbieta Zawada z Wrocławia.

PENETRACJE

INFORMACJE
ANGORA

**PROF. JERZY
ZAJĄDŁO,**
FILOZOF, PRAWNIK

Demokracja w Polsce jest sprowadzona do dosyć prymitywnej reguły większościowej: wygraliśmy wybory, w związku z tym wolno nam wszystko. To bzdura, bo rządów prawa powiązanych z demokracją już się tak nie sprawuje we współczesnym świecie. Demokratyczne wybory to nie wszystko. Kluczowe są także inne swobody obywatelskie: kontrola społeczna nad rządem, wpływ społeczeństwa na strategiczne decyzje, np. przynależność do Unii Europejskiej. Liczy się także poziom kultury politycznej.

zwierciadło

GRAŻYNA TORBICKA,
DZIENNIKARKA
I KRYTYCZKA
FILMOWA

Moje rodzinne miasto to Tychy. Stamtąd pochodzili moi rodzice. Dom mojego taty znajdował się *vis-à-vis* Starego Browaru, a mama mieszkała na Starym Rynku. Dzieliło ich jakieś 400 m. Przysnam, że nie wiem, kiedy i jak się poznali. Tata, starszy od mamy o pięć lat, był wtedy tuż po studiach, pracował w stacji ratownictwa górniczego i miał lambrettę. Myślę, że wszystko musiało się zacząć właśnie od tej lambretty. Tata w młodości wyglądał jak Gérard Philippe, francuski gwiazdor filmowy, więc trudno było się oprzeć...

PANI **MARTYNA WOJCIECHOWSKA,**
DZIENNIKARKA, PODRÓŻNICZKA

Strach jest naturalną częścią naszego życia. Mierzenie się z nim, nieustanne przesuwanie granic własnych możliwości jest fascynujące. Trzeba tylko podkreślić, że strach i lęk to dwie różne rzeczy. Strach ma namacalne, konkretne źródło. Lęk jest naszym wyobrażeniem, że coś może się wydarzyć, choć wcale nie musi. To on najczęściej nas paraliżuje. Nigdy nie myślę bardziej klarownie, rzeczowo i szybciej niż w obliczu zagrożenia właśnie, w sytuacjach granicznych. Lęk, że się nie uda, że nie dam rady, że się nie nadaję, że się ośmieszę, to największa zma ludzkości.

STYL

MARIA SOBOCIŃSKA,
AKTORKA

W „Panu T.” była moja pierwsza scena w filmie, w której miałam się rozebrać przed kamerą. Bariera psychiczna była. Ta scena miała zresztą kilka dubli. W ostatnim już się roześmiałam. Grał z nami statysta, a właściwie jego nogi w gumiakach na rusztowaniu za oknem. To miało pokazać, że pisarz, którego grał Paweł Wilczak, jest obserwowany, nie ma chwili intymności. Kiedy przy kolejnym dublu znów zrzuciłam z siebie płaszczkę, zauważyłam, że w oknie są nie tylko gumowce, ale i twarz statysty, który zerka na tę scenę, ryzykując przy tym upadek z rusztowania. Chwila konsternacji, ale w końcu machnęłam ręką i pomyślałam: „Dobra, niech ma, na ekranie zobaczy to samo”.

Aby język giętki...

DANIEL PASSENT O BOJÓWKARZACH

Agresywne osiłki napakowane państwowymi pieniędzmi, w podkulturowych butach walczą z Deutschlandem i z komunizmem 30 lat po jego pogrzebie.

**STANISŁAW SKARŻYŃSKI
O RAFALE ZIEMKIEWICZU**

Nie jest żadnym intelektualistą, jego książki to płytkie jak kałuża brednie, mające nabijać kieszeń nienawistnika.

ZBIGNIEW PREISNER O POLSCE

Ja w to społeczeństwo już nie wierzę. Jesteśmy skarlatym narodem. To nie jest kraj, w którym chcę żyć.

RAFAŁ BLECHACZ O GRZE NOCĄ

Mieszkam na wsi, między Nakłem a Bydgoszczą. Lubię czasami ćwiczyć w nocy, więc tam nie przeszkadzam sąsiadom.

**KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ
O NINIE TERENTIEW**

Zwykle po występie mówiła do mnie „Krzysieńku”. Ale po koncercie w Koszalinie usłyszałem: „No, panie Daukszewicz, nasze drogi się rozeszły”.

**AGATA KULESZA
O WOJCIECHU SMARZOWSKIM**

Uwielbiam z nim pracować, bo jest artystą, fachowcem, a przy tym bardzo porządnym człowiekiem.

ANNA DYMNA O PRACY

Nie lubię bylejąkości, nudy i lenistwa. Jak coś robię, to na 150%.

**ARKADIUSZ (ARKADIUSZ WEREMCZUK)
O MODZIE**

Jest przeżarta konsumpcjonizmem, podobnie jak cały świat. Niewiele jest wyjątkowych ubrań, z aurą. Dominuje szkodliwa nadprodukcja.

URSZULA O RÓŻNICY WIEKU

Tomek jest ode mnie młodszy o 20 lat. Ważniejsze niż metryka było wielkie serce i wrażliwość, którą ma.

**AGNIESZKA GROCHOWSKA
O MANDATACH**

Jestem z tych, którzy lubią co jakiś czas dostać mandat za 200 zł i 6 punktów karnych.



Labolant, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek podczas konferencji prasowej. Polskie szkolnictwo i nauka są naprawdę w dobrych rękach.

...ale głos – majątek!

W 2020 r. (dobrze) zorganizowana grupa przestępcza obrabowała bank w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, a była uzbrojona w... sztuczną inteligencję – ujawnił „Forbes”. Nowe technologie umożliwiły tak wierne odwzorowanie głosu ważnego klienta instytucji, że jej pracownik przyjął telefoniczną dyspozycję przelewów na 35 mln dol. Podobno występnym algorytmom grozi 10 lat w celi bez prądu.

Goło i niewesoło

Wiedeńskie muzea rozpoczęły prezentowanie dzieł sztuki na platformie OnlyFans, kojarzonej głównie z treściami erotycznymi. To reakcja na politykę m.in. Facebooka oraz Instagrama, które usuwają, w dużej mierze automatycznie, wszelkie przedstawienia nagości, łącznie z pracami np. Rubensa. Helena Hartlauer, rzeczniczka Rady Turystyki Wiednia, zwróciła uwagę, że taka polityka uniemożliwia popularyzację wielu obrazów czy rzeźb najważniejszych dla miasta. – Jeśli nie można ich użyć w tak kluczowej przestrzeni jak media społecznościowe, jest to niesprawiedliwe i frustrujące. Dlatego pomyśleliśmy o OnlyFans – wyjaśniła. Taki, *nomen omen*, akt nieposłuszeństwa wobec największych serwisów.

Bo dobra zabawa nie ma płci

Od 2024 r. w Kalifornii duże sklepy detaliczne będą musiały prowadzić osobne działy z neutralnymi płciowo produktami dla dzieci. Evan Low z Partii Demokratycznej, współtwórca nowych przepisów, przyznał, że inicjatywa została zainspirowana historią ośmioletniej córki



członka jego personelu, która musiała się udać do sekcji dla chłopców, by znaleźć pewną zabawkę. – Segregacja zabawek według społecznych wyobrażeń na temat tego, co jest odpowiednie dla której płci, jest antytezą nowoczesnego myślenia – przekonuje polityk. Równouprawienie lalek i resoraków? Brzmi jak najgorszy koszmar ministra Czarnka.

Technologia z ludzką twarzą?

W szkolnych stołówkach w North Ayrshire w Szkocji uruchomiono system płatności oparty na technologii rozpoznawania twarzy. Ma on m.in. znacznie przyspieszyć wydawanie posiłków, co jest istotne także ze względów epidemicznych, gdyż ograniczy kolejki. Firma CRB Cunninghams podkreśla, że jej produkt nie powinien budzić kontrowersji, bo nie skanuje w czasie rzeczywistym, lecz korzysta z wcześniej przygotowanych wzorów twarzy uczniów, przechowywanych na serwerach szkoły. Ciekawe, czy system umożliwia wyproszenie sobie dokładki metodą „na piękne oczy”?

Włóż okulary, gdy wlepiasz kary

O tym, że technologie „rozpoznawcze” bywają zawodne, przekonało się angielskie małżeństwo, które otrzymało mandat, gdyż fotoradar pomylił ich auto z... kobietą. Na adres Dave’a i Pauli Knight z hrabstwa Surrey przyszła informacja o nałożeniu na nich kary za jazdę buspasem w Bath, mimo że nie byli w tym czasie w owym mieście.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Zanim się stanie na podium, trzeba się nieźle natrudzić. Chińska tyżwiarka figurowa Wang Yuchen podczas kwalifikacji przed igrzyskami zimowymi oraz Francuzka Celia Seber podczas mistrzostw świata w gimnastyce artystycznej.

Okazało się, że kamera zidentyfikowała częściowo zasłonięte słowo „knitter” na ubraniu pieszki jako numer rejestracyjny samochodu pary – KN19 TER. Fotodarczy, z takim wzrokiem pora zmienić zawód.

Gadżety na płasające kobiety

W Chinach popularność zdobywa urządzenie do uciszania seniorek, które wspólnie tańczą w parkach i na placach. Mowa o gadżecie, który rzekomo jest w stanie wyłączyć głośnik z odległości 50 m, zapewniając otoczeniu upragnioną ciszę. Wynalazek może znaleźć wielu nabywców, gdyż szacuje się, że starszych pań, które we wspomniany sposób dbają o zdrowie i nawiązują kontakty społeczne, jest w Państwie Środka ok. 100 mln, a ich konflikty z resztą społeczeństwa są częste i nieraz gwałtowne. Taniec, jak widać, nie łagodzi obyczajów.

Szlachtuj, ale szanuj!

Z gry komputerowej „World of Warcraft” usuwane są przejawy rasizmu wobec orków: z dialogów znika określenie „zielonoskórzy”, którym ludzie nazywali swoich nienawidzonych wrogów. Inna sprawa, że firma Blizzard może być motywowana nie poprawnością polityczną, ale tym, że to słowo występuje także w świecie wykreowanym przez Games Workshop. Tak czy inaczej, w grze orków nadal można zabijać, ale przynajmniej nie są już obrażani.



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz
e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczko,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Anna Karpowicz-Westner

Czułość świata



Nakarmić ptaszki



Magic Hour

Czułość świata przełożona na czułość obrazu. Światoczułość. W każdym obrazie Anny Karpowicz-Westner odnajduję przekonanie, jeśli nie dowód na to, że tyle czułości świata dla nas, ile czułości nas dla świata. Tak, świat jest okrutny i nie jeden raz boleśnie nas doświadczają – przyznaje Anna – ale jest też niezwykle hojny poprzez kolor, poprzez światło. Uważność spojrzenia na otaczający świat przenosi na płótno i jak mówi, nie może się od niego oderwać – każdy obraz wymaga swojego czasu. Narastają kolejne faktury, nawarstwienia olejnej farby. Uważność na obraz, zwłaszcza przy tej technice, jest szczególnie istotna, bo wysychając, farba się zmienia, a najważniejsze to zachować świetlistość kompozycji. Anna lubi obraz sprawdzić. Za każdym razem, kiedy patrzę na obrazy Anny Karpowicz-Westner, chcę pobycić dłużej i dłużej w ich światach zamkniętych, jak w kropli bursztynu, w sennych godzinach małych miasteczek z uliczkami przechodzącymi w wiejskie drogi. Zatrzymanie się przy nich to wejście w stan pogodzenia, empatii, a przede wszystkim tajemnicy świata, egzystencji, obrazu.

Małgorzata Czyńska

ARTEMIS – Galeria Sztuki
Kraków, ul. Poselska 15
do 20 listopada

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Koniec lata z różową chmurą

REŻ. IWONA KEMPA

SZKOLARNIA

JORDAN TANNAHILL

**TEATR
COLLEGIUM
NOBILIUM**

ul. Miodowa 22/24 | 22 635 99 39

Kasa czynna:

wt-pt 11.00-19.00

sb-nd 13.00-17.00

lub do rozpoczęcia spektaklu
ewejscio.wki.pl / KupBilecik.pl

eBilet.pl

www.tcn.at.edu.pl

PREMIERA: 6 LISTOPADA
SPEKTAKLE: 7-10 LISTOPADA I 18-19 LISTOPADA



KULTURA
DOSTĘPNA

patroni medialni

naszemiasto.

chilli
zet

P
przeгляд

partnerzy teatru

eBilet.pl

TEATR NA
KULTURĄ

COLLEGIUM
NOBILIUM
TEATR

TEATR CAPITOL

SCENOGRAFIA
Marek Chowaniec

KOSTYUMY
Tomasz Jacyków

OPRACOWANIE MUZYCZNE
Jerzy Mączyński

Ray Cooney

Kochane pieniązki

REŻYSERIA
Jerzy Bończak

PRZEBUD
Elżbieta Woźniak

PREMIERA
PAŹDZIERNIK 2021

Mikołaj KRAWCZYK

Lesław ŻUREK

Alżbeta LENSKA

Andżelika PIECHOWIAK

Jarosław RABENDA

Olga BOŃCZYK

Anna KORCZ

Wojciech WYSOCKI

Tomasz
SCHIMSCHNER

Hiroaki MURAKAMI

Waldemar OBŁOZA

Robert MOSKWA

Aleksander MACHALICA

Sebastian KONRAD

Ilona WROŃSKA

Marcin TROŃSKI

Andrzej POPIEL

Robert WABICH



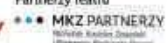
GRAMY BEZPIECZNIE

KUP BILET

www.teatrcapitol.pl

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 1ddc92ca3a